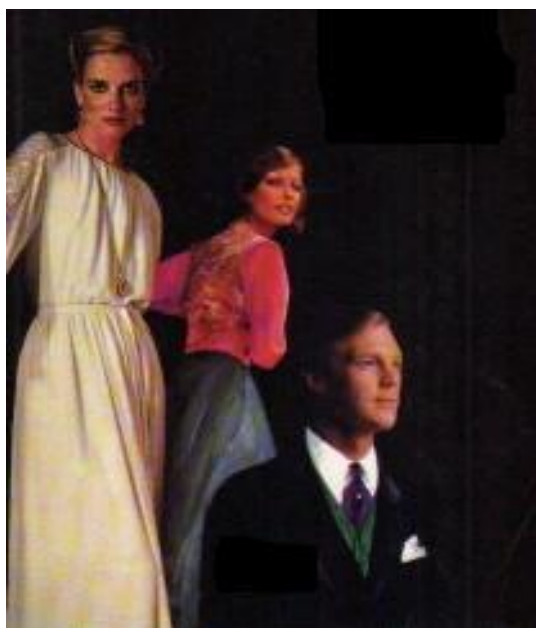




**JADWIGA
COURTHS-MAHLER**
Zaufaj mi, Katarzyno



Przekład: Barbara Tarnas

Rozdział pierwszy

Katarzyna nakrywała stół do śniadania. Postawiła filiżanki, włożyła chrupiące bułeczki do niklowanego koszyczka, a cukiernicę i dzbanuszek ze śmietanką umieściła dokładnie pośrodku stołu.

Lina, która służyła w tym domu już od ponad dwudziestu lat, przyniosła imbryk z kawą i gazetę.

Katarzyna odebrała od niej jedno i drugie, gazetę położyła obok filiżanki wuja Karola, imbryk zaś postawiła na maszynie spirytusowej; niebieski płomień wystrzelił w górę. Teraz jeszcze jedno spojrzenie na całość. Wszystko było gotowe. Katarzyna zerknęła na zegar. Była za dwie minuty ósma.

Odruchowo przyglądała włosy i podeszła do okna.

Widok taki sam, jak co dzień.

I jak co dzień od lat stała tutaj dokładnie o tej samej porze i zatopiona w marzeniach spoglądała na dwór. I wciąż ten sam widok.

Mały sklepik z wąskimi witrynami. Wystawione tam były, usypane między deseczkami, kawa, ryż, migdały i rodzynki. Nad tym piętrzyły się cytryny, puszki z herbatą, buteleczki z maggi, a w tle mur z pudełek makaronu i płatków owsianych.

Gdy ktoś wchodził do sklepu, rozlegał się nieprzyjemny dźwięk dzwonka, który docierał do Katarzyny.

Wszystko tu było monotonne i nudne.

Katarzyna ziewnęła kilka razy i przetarła oczy. Potem westchnęła głęboko.

Ta wysoka, zgrabna dziewczyna o subtelnych rysach twarzy i szlachetnej budowie ciała wyglądała jak obcy przybysz w tym staroświeckim, niegustownie urządzonym pokoju. Chociaż miała na sobie tylko skromną kretonową sukienkę w niebieskie pasy, wyglądała wytwornie. Wyrażało się to w jej postawie i wyrazie twarzy. Błękitne oczy otoczone długimi ciemnymi rzęsami spoglądały melancholijnie i nadawały twarzy trochę mroczny wyraz. Ciemne, prawie czarne włosy, gładko zaczesane, lekko układały się dookoła skroni. Delikatną, lśniącą cerę podkreślała mocno czerwień subtelnych ust.

Wybiła ósma.

I w tej samej chwili otworzyły się drzwi za Katarzyną i weszła starsza pani, ubrana w ciemnoszarą alpagową suknię i czarny jedwabny fartuch. Twarz miała surową, o ostrych rysach, oczy spoglądały zimno i nieruchomo, a wąskie wargi były mocno zaciśnięte.

Katarzyna odwróciła się i poszła jej naprzeciw.

— Dzień dobry, ciociu Amelio.

— Dzień dobry, Katarzyno.

Z obu stron zabrzmiało to chłodno, bez odrobiny serdeczności. Pani Amelia odstawiła koszyczek z kluczami i obrzuciła stół badawczym spojrzeniem.

— Gazeta wuja Karola znów leży po lewej stronie filiżanki. Wiesz przecież, że wuj zawsze sięga po nią z prawej strony. Kiedy wreszcie nauczysz się porządku?

— Proszę wybaczyć, ciociu, zapomniałam... Katarzyna położyła gazetę po właściwej stronie.

— O takich rzeczach nie wolno zapominać, to prowadzi do nieładu. Co z ciebie będzie, jeśli nie masz poczucia odpowiedzialności?

Katarzyna milczała, ale jej usta drgnęły, jakby zacięły się w uporze.

Teraz drzwi otworzyły się po raz drugi. Wszedł Wuj Karol.

Powiadają, że małżonkowie niekiedy upodabniają się do siebie. Tu z całą pewnością tak było. Spojrzenie zimnych oczu, zaciśnięte usta zdradzające skąpstwo, sztywny wyraz twarzy — u obojga były jednakowe.

— Dzień dobry, wuju Karolu.

— Dzień dobry, Katarzyno.

Katarzyna naląka kawy do filiżanek, podała wujowi cukier i śmietankę i posmarowała bułeczki. Potem dopiero zabrała się sama do śniadania.

Wuj wkrótce rozłożył gazetę, ciotka zaczęła robić pończochy na drutach, Katarzyna zaś wpatrywała się zamyślona w swoją filiżankę. Wszystko tak, jak co dzień.

Dokładnie w pół godziny później Karol Rodeck, właściciel firmy skórzanej, wstał i złożył gazetę. Katarzyna przyniosła mu kapelusz i laskę i otworzyła drzwi. Karol Rodeck wyszedł na swój poranny spacer ulicami i zaułkami miasta. Wróci punktualnie o dziesiątej i wejdzie do swego kantoru w oficynie.

Od frontu znajdowało się tylko mieszkanie.

Szara dwupiętrowa kamienica miała szerokość czterech okien. Oficyna z przejściową bramą była trochę większa. Na parterze mieściły się kantory, oba piętra zajmowały składy z belami skór. Ich zapach przenikał także do mieszkania.

Z taką samą punktualnością obie panie zabrały się do swych domowych zajęć.

Pani Amelia Rodeck była wzorem pedanterii. W jej gospodarstwie wszystko przebiegało z największą dokładnością. Miała opracowany kalendarz zajęć. Domowe prace były ustalone na każdy dzień, na każdą godzinę, tyle że co roku wszystko przesuwało się z powodu niedziel. Miały swe dokładne terminy większe czy średnie sprzątanie, pranie, prasowanie, reperowanie. Także

jadłospis był ułożony na cały rok. Pani Amelia nigdy się nie zastanawiała, jak niejedna kobieta, co ma ugotować. Jej kalendarz oszczędzał myślenia o tym.

W ogóle w tym funkcjonującym bez zakłóceń gospodarstwie można było się całkowicie obyć bez myślenia, tego absolutnie nikt nie wymagał.

Katarzyna mogłaby swoje codzienne prace wykonywać we śnie. Czuła się jak nakręcony automat. Ale jednak nie zrezygnowała całkowicie z myślenia. Czasami za tym białym dziewczęcym czołem aż się kłębiło od myśli. I wtedy burzyła się w niej młoda krew. Katarzyna gorączkowo tęskniła za wolnością, za pięknym, słonecznym, wesołym życiem w wielkim świecie, za poważną pracą. Otepiające monotonne zajęcia, na jakie skazywał ją ten filister i opiekun — wuj, były dla niej nie do zniesienia. Jej dusza wyrwała się do wolności. Ale marzenia i tęsknoty na nic się nie zdały.

A kiedy czasem folgowała porywom serca i próbowała się zwierzać wujostwu, spoglądali wówczas na nią, jakby nie była przy zdrowych zmysłach. — To od tego czytania — mówiła ciotka Amelia z wyrzutem — jeszcze całkiem zgłupiejesz.

Wuj Karol natomiast wruszał ramionami. — Mrzonki! Pomagaj lepiej cioci Amelii w gospodarstwie, to nie będziesz się nudziła.

Tyle mieli do powiedzenia.

Pewnego razu Katarzyna stała się bardziej natarczywa.

— Chciałabym się nauczyć czegoś pożytecznego, wuju. Pozwól mi na rok pojechać do dużego miasta.

Wtedy wuj zmierzył ją od stóp do głów zimnym, niemal pogardliwym spojrzeniem.

— Chyba oszalałaś. Przyzwoita kobieta powinna siedzieć w domu. Dopóki jestem twoim opiekunem, musisz mnie słuchać. Nie pozwolę, byś wałęsała się po świecie. Kiedy będziesz pełnoletnia, wtedy możesz robić, co zechcesz. Basta!

Kiedy wuj Karol mówił „basta”, nie było już dalszej dyskusji.

Tak więc Katarzyna liczyła dni i godziny do swojej pełnoletności. I wyobrażała sobie, co wtedy będzie. Najchętniej zostałaby aktorką. To wydawało się jej cudowne! W tajemnicy czytała wiele dramatów, a kiedy była sama, deklamowała swym pięknym, dźwięcznym głosem całe sceny. Wtedy ogarniało ją oszołomienie i entuzjazm. Już w szkole z okazji różnych uroczystości recytowała wiersze i nauczyciele bardzo ją chwalili. Jeden z nich powiedział jej nawet kiedyś, raczej żartem, że ma talent aktorski. Jego słowa utkwily w głowie dziecka. Odtąd stale deklamowała w tajemnicy szczególnie podniosłe fragmenty z klasyków i marzyła o sławie i laurach.

Chyba większość dziewcząt przez jakiś czas marzy o scenie i sądzi, że ma powołanie do wielkich dokonań. Nad duchowym życiem Katarzyny nie czuwało jednak czułe matczyne oko. ani też rozsądny ojciec nie wytłumaczył jej, że na tej ciernistej drodze tylko niewielu wybranych osiąga wymarzone szczyty. Jeśli idzie o Katarzynę, to raczej gorące pragnienie wydostania się z tej beznadziejnej, ponurej ciasnoty dodawało jej wciąż nowych bodźców. W każdym razie chciała zająć się czymś, co by wypełniało jej życie. Chciała przebywać gdzieś, gdzie się śmiano i płakano, gdzie wolno było radować się i smucić do woli. I może znalazłaby kogoś, kogo mogłaby pokochać całym sercem, w którym zgromadziło się tak wielkie bogactwo miłości.

Wieczorem, kiedy już o dziesiątej musiała gasić światło w swym pokoju, przeważnie długo siedziała z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w nieskończoność. Pełne tęsknoty, zagmatwane myśli przelatywały jej przez głowę, oplątując romantycznymi marzeniami.

Kiedy jednak znów jasny dzień zaglądał do okien, twory wyobraźni rozwiewały się, pozostawała jedynie tęsknota i nadzieja.

Katarzyna Rodeck zjawiała się w domu wuja jako ośmioletnia dziewczynka. Rodzice jej w krótkim odstępie czasu padli ofiarą epidemii tyfusu. Ojciec był dalekim kuzynem Karola Rodecka, a ten był najbliższym krewnym osieroconego dziecka. Chcąc nie chcąc, musiał ją wbrew woli zabrać do siebie. Pani Amelia była jeszcze mniej zachwycona tym dodatkiem rodzinnym. Bardzo się bowiem niepokoiła, że jej wzorowe gospodarstwo wskutek obecności małego dziecka zostanie wytracone ze zwykłych trybów. W wyobraźni już widziała ślady barbarzyńskich dziecięcych stóp na wywoskowanej do połysku podłodze.

Biedną dziewczynkę przyjęto lodowato, a kiedy chciała się czule przytulić do ciotki, spragniona miłości, została z irytacją odepchnięta, ponieważ pogniotłaby fartuch tej surowej kobiety.

Przez jakiś czas pozostawiono ją samą w pokoju. Spłakana Katarzyna po cichutku zajrzała do brzydkiej, nieprzytulnej bawialni. Nagle drzwi raz jeszcze się otworzyły i wszedł chłopiec wysokiego wzrostu. Wielkie, głęboko osadzone szare oczy spojrzały początkowo ze zdumieniem, potem ze współczuciem na płaczącą dziewczynkę. Podszedł do niej i życzliwie pogłaskał ją po głowie.

— To ty jesteś tą małą Katarzyną?

Dziewczynka przestała płakać i energicznie skinęła głową.

— Tak, a ty kim jesteś?

— Jestem Helmut, syn twojej ciotki Amelii i wuja Karola, a więc jestem twoim kuzynem.

— Ale nie jesteś taki zły, jak oni?

Cień przemknął przez twarz młodzieńca.

— Oni nie są źli, Katarzyno, tylko poważni i surowi, tak jacy powinni być rodzice.

Spojrzała na niego niedowierzająco i potrząsnęła głową.

— Moi rodzice byli dobrzy, ach, jacy dobrzy! I znowu się rozpłakała.

Chłopiec zaczął ją pocieszać, opowiadał jej rozmaite historie i bawił się z nią.

Jego jasny, dźwięczny śmiech brzmiał ciepło i serdecznie w tym nieprzyjaznym pokoju. Ale oto weszła znowu ciotka Amelia i surowym głosem posłała Helmuta do jego zajęć. Katarzyna miała iść do Liny, która już wówczas służyła u Rodecków.

Zresztą było to dla niej o wiele przyjemniejsze niż przebywanie z surowo i zimno spoglądającą kobietą.

Pani Amelia miała kłopoty z tym żywym dzieckiem. Z wielkim trudem udało jej się ułożyć dla Katarzyny rozkład zajęć. Katarzyna zupełnie nie mogła zrozumieć, jak ma się zachowywać grzeczne, posłuszne dziecko. Ciotka musiała stoczyć niejedną walkę z krnąbrną małą duszą, aż ta stała się cicha i pokorna.

W tej lodowatej atmosferze dziecko może by się zagubiło, gdyby nie Helmut i służąca Lina. Oboje byli dla niej mili, jednak tylko ukradkiem, kiedy Rodecków nie było w pobliżu.

Ale w rok później Helmut opuścił dom rodzinny i już nie wrócił. Odtąd Katarzyna nie słyszała więcej wesołego, serdecznego śmiechu w tym cichym domu. Helmut był żywym, porywczym chłopcem, którego ojciec często karał za rozmaite wybryki. Rodzice nie rozumieli, że te wybryki były skutkiem nazbyt żywego usposobienia. Chcieli wychować syna na niewolniczo posłusznego ich rozkazom i dręczyli go swym rodzicielskim autorytetem.

Ale Helmut nie miał duszy niewolnika, stawał okoniem, opierał się uciskającej go ręce.

Ojciec chciał go wykształcić tak, by w przyszłości mógł przejąć firmę; podobnie jak on sam przejął firmę po swoim ojcu, tak Helmut miał odziedziczyć ją po nim. Nikt nie pytał, czy chłopak ma na to ochotę, ani też się nie zastanawiano, czy ma skłonności i zdolności w tym kierunku.

Helmut postanowił, że nie zostanie kupcem. Jego żywe usposobienie dążyło do innych celów. Ale wiedział, że nie będzie to takie proste. Nie znajdował zrozumienia u rodziców. Kiedy wyjechał, by odbyć w Berlinie roczną praktykę, nikomu nie powstało w głowie, że już nie wróci.

Tylko on sam wiedział to bardzo dobrze. Po upływie roku napisał do domu, że nie zostanie kupcem, tylko chce studiować. Błagał rodziców, by mu pozwolili.

Zdenerwowany ojciec udał się czym prędzej do Berlina, by z całą surowością sprowadzić syna na drogę obowiązku. Doszło przy tym do gwałtownej sprzeczki. Karol Rodeck niemal dopuścił się wobec syna rękoczynów.

Blady jak ściana, z oczami ciskającymi błyskawice, Helmut ujął ręce ojca i trzymał w mocnym uścisku. Namiętnie i z gniewem rzucił mu w twarz słowa o tym, jak ojciec wobec niego zawinił, jak przez niewolnicze wychowanie zdusił w nim wszystko, co dobre i szlachetne. Ojciec i syn stali naprzeciw siebie jak wrogowie, jeden nie potrafił przekonać drugiego.

Gdy Karol Rodeck wrócił do domu, wyrzekł się syna, zerwał z nim wszelkie więzi." Helmut nie otrzymywał odtąd z domu ani grosza. „Chyba, że wrócisz skruszony i poddasz się mojej woli" — rzekł Karol Rodeck do syna. Ten zaś odparł z uporem: „Wobec tego sam sobie poradzę, najwyżej będę głodował. Nie wrócę, dopóki nie zostanę kimś, dopóki nie osiągnę celu".

Odtąd nie wolno było przy rodzicach wymieniać imienia Helmuta. Małej Katarzynie bardzo go brakowało, w końcu jednak zatarł się w jej pamięci. Dzieci szybko zapominają.

Ale w jej snach rozlegał się czasem ciepły, wesoły śmiech; wówczas zrywała się i rozglądała dookoła.

Nierzadko nogi jakby same chciały ją ponieść w daleki świat, pragnęła uciec tak jak Helmut.

Im była starsza, tym częściej o nim myślała. Zdawała sobie niejasno sprawę, co go wypędziło z domu. Czasami wieczorem, kiedy Katarzyna przygotowywała kolację, Lina mówiła:

— Ciekawa jestem, jak powodzi się naszemu paniczowi. — Ale mówiła to cichutko, aby ani jedno słowo nie dotarło do uszu państwa.

Czy oni też myśleli o synu?

Tuż po zerwaniu z Helmutem panią Amelię dręczyły ciężkie sny, może nawet w tajemnicy stawała po stronie syna. Miała nadzieję, tak jak jej mąż, że głód i nędza skłonią skruszonego Helmuta do powrotu. Ale mijał rok za rokiem, a on nie wracał.

Karol Rodeck zasięgał ukradkiem informacji o synu. Helmut był w Berlinie, studiował filozofię, a potem został nauczycielem domowym w pewnej niemieckiej rodzinie, z którą wyjechał do Ameryki.

Rodzice nie mieli pojęcia, ile trudu i wyrzeczeń kosztowało Helmuta osiągnięcie celu. W czasie rocznej praktyki oszczędzał, starał się nie wydawać niepotrzebnie ani grosza, bo zdawał sobie sprawę z tego, że ojciec nie da mu nic, kiedy się dowie o jego postanowieniu. Lecz zaoszczędzona kwota była bardzo mała. Helmut udzielał korepetycji, kopiował dokumenty, pisał artykuły do pism, by zdobyć środki na studia. Prowadził życie pełne wyrzeczeń i niejednokrotnie kładł się spać głodny. Ale nigdy nie zwrócił się do rodziców o pomoc. Pragnął sam sobie poradzić i udowodnić wszystkim, że nie kierował się kaprysem, lecz chciał dokonać czegoś pożytecznego, chciał rozwinąć swoje siły twórcze.

Odkąd wyjechał do Ameryki, ślad po nim zaginął.

Dla starszych państwa najgorsze były plotki krążące po miasteczku, gdy Helmut nie wrócił do domu. To bolało ich bardziej niż strata wyrodnego syna. Karol Rodeck wziął wówczas do siebie syna swego brata, który w owym czasie umarł. Albert Rodeck miał zostać następcą Karola, aby stara firma nie upadła.

Ów bratanek spełniał wszelkie oczekiwania stryja. Był pokorny, cichy, zimno wyrachowany i biegły w interesach, pedantyczny, bardzo porządny, a zamiast serca miał w piersi maszynkę do liczenia.

Albert z pogardą myślał o swoim „zbiegłym” kuzynie i miał nadzieję, że on się już nigdy nie pojawi. Starał się być stryjowi niezbędny.

Przed rokiem na życzenie stryja poślubił córkę burmistrza. Mieszkał ze swoją młodą żoną w domu teścia i jako zięć burmistrza coraz wyżej zadzierał nosa.

W sobotnie wieczory grywano u Rodecków w skata, przy czym imprezy te odbywały się zawsze z udziałem pań. Zbierali się więc państwo burmistrzostwo, Albert z żoną i owdowiały lekarz, doktor

Kruger, przyjaciel Alberta. Panowie grali w skata, panie zaś robiły na drutach i szydełkowały przy kawie i ciasteczkach.

Tak wyglądało życie towarzyskie w domu państwa Rodecków; to byli jedyni ludzie, z którymi stykała się Katarzyna, pomijając koleżanki z lekcji tańca. Ale z nimi dziewczyna nie znajdowała wspólnego języka, miały one inne zainteresowania i zajmowały się głównie plotkami.

Katarzyna była samotna. Jedyłą jej przyjemnością były lekcje języka u pewnego starego Francuza, który osiadł w miasteczku. Jemu to Katarzyna zawdzięczała doskonałą znajomość francuskiego. Karol Rodeck nie miał nic przeciwko tym lekcjom, mimo iż pani Amelia uważała, że to zbytek, zwłaszcza że Katarzyna, jej zdaniem, umiała już tyle co jej nauczyciel. Karol Rodeck

jednak oświadczył rzeczowo, że Katarzyna powinna dalej uczyć się języka, aby pieniądze już wydane na ten cel nie poszły na marne. I tak zostało.

Rozdział drugi

U państwa Rodecków znów grano w skata. Dookoła dużego okrągłego stołu w bawialni siedziało czterech panów, a w kącie na kanapie — panie.

Wuj Karol miał na głowie zieloną haftowaną krymkę. Twarz jego była nieruchoma, jak zazwyczaj podczas gry w karty. Albert Rodeck, mały, krępy mężczyzna o rzadkich jasnych, starannie zaczesanych włosach, zdawał się naśladować mimikę swego stryja. Jego własna twarz, pozbawiona wyrazu, układała się w pełne godności zmarszczki. Tylko niepewnie mrugające oczy rzucały czasami iskrzące spojrzenie w bok.

Teść Alberta, burmistrz, otyły władca miasteczka; mógłby służyć jako model sylena. Jego oczy, zdradzające zamiłowanie do wina, lśniły na czerwonej nalanej twarzy. Usta miał grube i wydatne. Potężną głowę zdobiła błyszcząca różowa łysina, otoczona wianuszkami sztywnych siwych włosów. Każdą przemowę zaczynał od zwrotu „Co to ja chciałem powiedzieć...” Po tych słowach następowała pauza, sapnięcie — a potem pan burmistrz już wiedział, co chce powiedzieć.

A teraz kolej na doktora Krugera.

Był to mężczyzna w wieku około trzydziestu sześciu lat, średniego wzrostu, krępy, o rudawych włosach, bystrych przenikliwych oczach i jasnych brwiach i rzęsach; nosił okulary w złotej oprawie.

Przy stole panowała cisza. Z tym większym ożywieniem paplały panie w swoim kącie. Przynajmniej pani burmistrzowa, typowy przykład małomiasteczkowej paniusi, i jej córka Joanna, żona Alberta. Obie znały wszystkie plotki z miasteczka, wiedziały nawet, co który obywatel ma w garnku na obiad.

Katarzyna była zadowolona, że od czasu do czasu musiała się zająć podawaniem napojów orzeźwiających. Paplanina pań działała jej na nerwy, a różowa, jasnowłosa Joanna, która już teraz miała spory podwójny podbródek i wyglądała na bardzo ograniczoną, budziła w niej odrazę.

Ale najbardziej niesympatyczny był w jej odczuciu doktor Kruger, przenikający ją swymi świdrującymi oczami. Zachowywał się wobec niej szarmancko i dawał wyraźnie do zrozumienia, że mu się podoba.

Istotnie, już od dłuższego czasu nosił się z myślą powtórnego ożenku, a właśnie Katarzyna bardzo mu odpowiadała. Ładna, zgrabna dziewczyna nadawała się, jego zdaniem, do prowadzenia domu owdowiałego lekarza.

Katarzyna przeczuwała, co jej grozi, i była wobec niego bardzo powściągliwa. On tego jednak nie rozumiał. Czy to możliwe, aby jakakolwiek

dziewczyna zastanawiała się nad szansą zostania panią doktorową Kruger?! Nie brał nawet pod uwagę takiej możliwości. Już dawno wystąpiłby z tą propozycją, gdyby się nie wahał, czy zamiast Katarzyny nie poślubić trochę starszej co prawda, ale bardzo zamożnej córki mydlarza. Ostatecznie zdecydował się jednak na Katarzynę. Dziś wieczorem dał Albertowi Rodeckowi do zrozumienia, że w najbliższych dniach poprosi o rękę jego kuzynki.

Albert szepnął to stryjowi podczas powitania, a starszy pan tylko skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Zgoda, akceptuję sprawę. Basta!” Ale dobrze, że owo „basta!” tylko pomyślał, a nie wypowiedział, inaczej musiałby ze zdziwieniem stwierdzić, że w domu oprócz jego woli istnieje jeszcze wola kogoś innego.

Gdy goście się rozeszli, Katarzyna powiedziała „dobranoc” i chciała pójść do siebie. Wówczas wuj Rodeck rzekł:

— Zostań jeszcze chwilę, mam ci coś do zakomunikowania. Właśnie dowiedziałem się od Alberta, że doktor Kruger w najbliższych dniach poprosi o twoją rękę. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jakie to dla ciebie wyróżnienie i jakie szczęście.

Katarzyna pobladła, lecz jej oczy błyszczały ostro i jasno.

— Muszę cię prosić, wuju, abyś powstrzymał doktora Krugera przed tym krokiem, ponieważ nigdy nie zostanę jego żoną.

— Co takiego?

— Nie mogę wyjść za doktora Krugera.

Starszy pan wyciągnął szyję, jakby musiał zaczerpnąć powietrza.

— Chyba oszalałaś?! Dlaczego nie możesz?

— Bo go nie kocham. Wyjdę tylko za człowieka, do którego będzie należało moje serce.

— Bzdura! Bzdura! Co ty wiesz o miłości! To przyjdzie po ślubie.

— U mnie musi to przyjść przedtem.

— Ależ, Katarzyno — zawołała pani Amelia — co za głupie romantyczne mrzonki! To od tego ciągłego czytania romansów! Spójrz na mnie i na stryja. Skojarzyli nas nasi rodzice i bardzo się pokochaliśmy.

Kąciki ust Katarzyny drgnęły. Chciała powiedzieć: „Nie chciałabym wyjść za męża tak jak ty”. Ale powstrzymała się przed tym.

— Nie lubię doktora Krugera, nie mogłabym z nim żyć.

— Sądzę, że nie zdajesz sobie sprawy, jak znakomitą partię chcesz odrzucić. Przed doktorem Krugerem wszystkie drzwi stoją otworem, wszędzie będzie przyjęty z otwartymi ramionami.

— Niech więc tam idzie, tym lepiej dla niego.

— Co to wszystko ma znaczyć, Katarzyno? Kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze będziesz miała taką szansę! Zastanów się nad tym — rzekła Amelia przekonana o własnej słuszności.

— Proszę was, nie dręczcie mnie! Nie muszę się zastanawiać, bo i tak nie zmienię mojego postanowienia.

Karol Rodeck bębnił palcami po stole. Oznaczało to największe wzburzenie.

— Mimo to mam nadzieję, że nabierzesz rozumu. Nie życzę sobie, aby tego człowieka, tak zaprzyjaźnionego z naszym domem, spotkał tu afront. Wypraszam to sobie. Bądź zadowolona, że zdobędziesz takiego męża. Powinnaś za to dziękować Bogu. A może czekasz na księcia z bajki?

— Nie, wuju, nie czekam na księcia z bajki, ale nie chcę wyjść za człowieka, którego nie potrafię pokochać. Nie dałam doktorowi Krugerowi żadnego powodu, by robił sobie nadzieję na moją rękę. Nic nie poradzę, że stara się o dziewczynę, która mu wyraźnie okazuje, że go nie lubi. Toteż nie może czuć się urażony, jeśli mu dasz do zrozumienia, że nie powinien się oświadczać.

Przez chwilę panowała cisza. Potem starszy pan chrząknął bardzo donośnie i stanął przed Katarzyną.

— Nie powiem, żebyś się nam odwdzięczyła za to, cośmy dla ciebie zrobili. Zawsze byłaś upartą i przekorną istotą. Także i w tym wypadku nie chcesz nas posłuchać. No cóż, świat odplaca się niewdzięcznością! Właściwie nie powinienem oczekiwać od ciebie niczego innego.

— Ale przecież powinno to wam być obojętne, to nie ma nic wspólnego z wami! — rzekła Katarzyna gniewnym tonem. Przy każdej sposobności bowiem musiała wysłuchiwać wyrzutów, jaka to jest niewdzięczna.

— Dobrze, już dobrze, idź spać. Jeszcze zobaczymy.

— Ale ja się i tak za nic nie zgodzę! Nie chcę mieć nic wspólnego z doktorem Krugerem, czuję do niego odrazę! — zawołała Katarzyna zirytowana.

Wuj Karol obrzucił ją od stóp do głowy zimnym, surowym spojrzeniem.

— Opamiętaj się, to nieładnie, jak kobieta się tak unosi i podnieca. Idź spać.

Katarzyna powiedziała „dobranoc” i wyszła z pokoju. Serce jej wypełniały upór i gorycz.

A starsi państwo potrząsali głowami i narzekali na niewdzięczność młodzieży, która nie przyjmuje szczęścia, jakie jej się składa w dłonie, gotowe do natychmiastowego użytku.

Nazajutrz pani Amelia usiłowała raz jeszcze przemówić Katarzynie do rozumu. Ale dziewczyna nie dała się przekonać.

Wobec tego pani Amelia wybrała się, aby omówić tę sprawę z Joanną i panią burmistrzową. Znalazła u nich żywe zainteresowanie. Współczuły jej, że

wychowała tak niewdzięczną istotę, i oburzały się na „romantyczne mrzonki” Katarzyny. Irytację splekały kilkoma filiżankami kawy.

Karol Rodeck musiał skapitulować. A fakt, że został pokonany, uraził jego miłość własną bardziej niż sama sprawa.

Kiedy w dwa dni później ze skwaszoną miną wszedł do kantoru, Albert spojrzął na niego wyczekująco.

— Joanna powiedziała mi, że Katarzyna nie chce wyjść za mojego przyjaciela Krugera. Czy to możliwe, drogi stryju?

— Tak, i byłoby to wskazane, byś w jak najbardziej oględny sposób uprzedził o tym doktora. Trzeba zapobiec, by nie wystąpił ze swoją propozycją. Bardzo nieprzyjemna sytuacja.

— Istotnie, sytuacja fatalna. W ogóle Katarzyna jest zarozumiała i wyniosła.

— Ach, to głupia, lekkomyślna geś. Ma to po swojej matce, osobie mocno nieźrównoważonej; ta kobieta pisała wiersze, które drukowano nawet w gazetach. A mój kuzyn był również przemądrzałym głupcem. Jak się ma takie wrodzone skłonności, nie pomoże nawet najsurowsze wychowanie.

— Biedny stryj!

— O, daj spokój! Wiesz, że nie znoszę współczucia. Bierzmy się do roboty. Czy nadeszła przesyłka z firmy Hiiniger i Company?

— Tak, stryju, punktualnie.

— To dobrze. Pokaż, co wpłynęło.

Zagłębił się w swojej poczcie. Albert gorliwie pisał dalej. Ale pomiędzy literami wciąż tańczyła przed nim piękna dziewczęca twarz.

Czemu Katarzyna nie chciała zostać żoną Krugera? Może kocha innego? Może spodziewała się, że to on... To całkiem możliwe.

I ta możliwość wzbudziła w nim lekki niepokój. Już dawniej rozważał, czy nie powinien ożenić się z Katarzyną. Lecz córka burmistrza miała dwukrotnie większy posag. I to rozstrzygnęło sprawę.

Albert nie miał zbyt wysokiego mniemania o kobietach, a jego małżonka nie przyczyniała się do zmiany tej opinii. Tym bardziej był przekonany o swoich własnych zaletach. Toteż wkrótce był niemal pewien, że Katarzyna jest w nim nieszczęśliwie zakochana. I dlatego odrzuciła Krugera. Ta myśl podsyciała jego próżność. Utkwiła w nim. Zdecydował się więc pocieszyć Katarzynę — bądź co bądź była bardzo ładna. Z tym chwalebny postanowieniem zakończył wieczorem swoją pracę.

Katarzyna nie miała pojęcia o jego osobliwych zamiarach. Czuła bardzo dobrze, że popadła w niełaskę przez swoją stanowczą odmowę. Jeśli wuj i ciotka byli dotąd wobec niej chłodni i powściągliwi, to teraz zachowywali się

lodowato. Lecz Katarzyna się tym zbytnio nie przejmowała. Jej pragnienie wolności znalazło nową pożywkę.

Im bardziej chłodni i surowi byli wobec niej wuj i ciotka, im bardziej ponura i szara rzeczywistość ją otaczała, tym barwniej wyobraźnia Katarzyny malowała jej przyszłość, kiedy już nie będzie musiała przebywać w tym ohydnyim starym domu, przesiąkniętym odorem skór i zamieszkanym przez zimnych, małostkowych ludzi. Ach, jakże pragnęła wyrwać się z tego okropnego otoczenia i jak cudownie wyobrażała sobie życie na wolności, w więzi ze sztuką!

— Panno Katarzyno, już utarłam migdały. Może panienka robić ciasto — rzekła Lina pewnego rana, gdy Katarzyna przyniosła do kuchni naczynia po śniadaniu.

— Ciasto? — Katarzyna spojrzała na nią zdziwiona.

— Przecież jutro są panienki urodziny. Zapomniała panienka? Katarzyna potrząsnęła głową. Jakżeby mogła zapomnieć o dniu, który przynosił jej wolność. Przecież kończyła dwadzieścia jeden lat!

— Nie Lino, nie zapomniałam. Tylko nie pomyślałam o cieście z tej okazji.

— Jak to dobrze, że mamy to wszystko wypisane w terminarzu. Pani Rodeck także zapomniała, musiałam jej przypomnieć, żeby mi wydała migdały. Proszę mi powiedzieć, panienko, czy ciocia jest na panienkę zła?

— Możliwe.

— Tak też sobie pomyślałam. Inaczej na pewno nie zapomniałaby o migdałach.

Katarzyna w milczeniu zawinęła rękawy sukienki aż do łokci i zabrała się do roboty. Mechanicznie ugniatała ciasto. Myśli jej bowiem wybiegały daleko, w piękny, słoneczny, czerwony poranek. Wcale nie była taka spokojna, jak się wydawało. Przecież niebawem miało się spełnić jej najgorętsze życzenie.

Nazajutrz, gdy Katarzyna weszła do bawialni, by nakryć stół do kawy, ujrzała, jak co roku, swój urodzinowy stół stojący pomiędzy oknami. Jak zwykle leżały na nim same praktyczne i nieciekawe prezenty: materiał na suknię, fartuchy, chusteczki do nosa i kilka par pończoch zrobionych przez ciotkę na drutach. Pośrodku stało ciasto i małe pudełko pralinek.

Katarzyna tylko przelotnie zerknęła na prezenty. Zajęła się od razu swoimi obowiązkami, po czym stanęła przy oknie i czekała, aż przyjdą wuj i ciotka. Przyjęła od nich lodowate życzenia i spokojnie podziękowała. Ale wewnątrz wszystko w niej dygotało.

Co ten dzień jej przyniesie?

Najbliższe pół godziny upłynęło jak zwykle, jak zwykle przyniosła wujowi laskę i kapelusz.

Ale zanim wuj wyszedł, powiedział krótko:

— Muszę z tobą pomówić. Przyjdź o dziesiątej do kantoru.

— Dobrze, wuju.

Katarzyna powiedziała to bardzo spokojnie. Lecz krew burzyła się w jej żyłach. Wiedziała przecież, co przyniesie jej ta rozmowa. Czas mijał bardzo powoli.

Wreszcie mogła już pójść do wuja. Punktualnie o dziesiątej weszła do kantoru, gdzie pracowali wuj i Albert. Pozdrowiła obu mężczyzn.

Karol Rodeck spojrzał znad swego pulpitu, dokładnie wytarł pióro, odłożył je i zatrzasnął kałamarz.

— Albercie, idź teraz i dopilnuj wysyłki skór. Ja muszę porozmawiać z Katarzyną.

Albert zerwał się gorliwie i wyszedł, ale przedtem rzucił Katarzynie wyjątkowo życzliwe spojrzenie. Nie umiała sobie wytłumaczyć tego spojrzenia; przecież nie miała pojęcia, co Albert sobie wymyślił. Zwróciło tylko jej uwagę, że spojrzał na nią inaczej niż dotąd. Ale nie miała czasu, aby się nad tym zastanawiać.

Wuj podsunął jej krzesło.

— Usiądź.

Usiadła posłusznie. Teraz wuj wyciągnął z biurka stos papierów i wąską księgę i położył przed nią.

Powoli wyjął z etui okulary i nałożył je. Potem chrząknął i spojrzał na Katarzynę.

— Dziś skończyłaś dwadzieścia jeden lat. Tym samym stałaś się pełnoletnia i prawnie przestałem być twoim opiekunem. Chyba o tym wiesz?

— Tak, wuju.

— Muszę teraz zdać ci sprawę ze stanu majątku, jaki ci pozostał po rodzicach. Znajdziesz w tych papierach wszystko dokładnie spisane. Z pieniędzy na twoje wychowanie, które stanowiły procent od majątku, brałem tylko tyle, ile było potrzeba na bezpośrednie wydatki. Nie liczyłem wyżywienia i mieszkania. Tak więc z owego kapitału każdego roku odkładałem małą sumę i dodawałem do twego majątku. Mam nadzieję, że potrafisz to docenić.

— Tak, wuju, dziękuję — rzekła Katarzyna stłumionym głosem. Wobec tej zimnej tyrady za nic na świecie nie mogłaby się zdobyć na cieplejsze słowa podziękowań.

— W porządku. Myślę, że nie zabraknie ci sposobności, by okazać nam wdzięczność. Ale o tym później. Wedle moich obliczeń pozostaje ci majątek w wysokości około trzystu tysięcy marek. Jest to dosyć, by ci zapewnić w skromnych warunkach życie pozbawione trosk.

Katarzyna zerwała się i z radosnym zdumieniem spojrzała na wuja.

— Taka jestem bogata? Tyle pieniędzy należy do mnie?

— Tak. Od dziś możesz swobodnie nimi dysponować. Katarzyna mimo woli się wyprostowała. Ogarnęło ją niesłychanie radosne uczucie. Dziewczynie nie orientującej się w sprawach finansowych wydawało się, że jest bogata jak krezus. Trzysta tysięcy marek! Suma po prostu zawrotna! Posiadanie takiego majątku musi przynieść upragnioną wolność. Może sobie ułożyć teraz życie wedle własnego upodobania, życie pozbawione trosk o pieniądze, która to sprawa podczas układania planów na przyszłość w głębi duszy ją niepokoiła. Sądziła bowiem, że posiada tyle majątku, ile stryj na nią wydaje. Teraz musiała jednak coś powiedzieć.

— Dziękuję ci za wszystkie twoje trudy, wuju.

— Właśnie chciałem teraz o tym pomówić. Apeluję do twego poczucia wdzięczności. Wiem, że twoje niespokojne usposobienie ciągnie cię do życia wolnego, niczym nie skrzepowanego. Prawdopodobnie wymarzyłaś je sobie bardzo romantycznie. Nie mogę cię zatrzymywać, gdybyś chciała odejść, ale muszę ci przypomnieć, że ciotka Amelia się starzeje i potrzeba jej pomocy. Jeśli nie jesteś całkowicie pozbawiona serca i uczucia wdzięczności, pozostaniesz u nas, dopóki jakiś dzielny mężczyzna nie weźmie cię za żonę, a tym samym dowiedziesz nam, że nasze usilne starania o twoje wychowanie nie poszły na marne.

Katarzyna słuchała go przerażona.

Czy po to uwolniono ją z więzów, by zamienić je teraz na nowe, jeszcze mocniejsze? Czy mają prawo od niej wymagać takiej ofiary w imię wdzięczności? Niespokojnie szukała jakiegoś wyjścia. Ale nie widziała żadnego. Czy naprawdę nie znajdzie się dla niej jakaś droga do wolności? Czy wszystko, czego się po tym dniu spodziewała, ma zostać zaprzepaszczone?

Nie, nie da się znowu uwiązać, nawet w taki sposób! Była to winna sobie samej. Tu, w tym domu, nie była niezastąpiona, wszystko będzie funkcjonowało i bez niej.

Zebrała się w sobie i popatrzyła wujowi twardo w twarz.

— Nie mogę, wuju, dać ci teraz ostatecznej odpowiedzi. Przysięgam, że na razie przez jakiś czas zostanę. Gdyby ciocia była chora, a ja istotnie byłabym niezastąpiona, bez namysłu pozostałabym na zawsze. Ale nie wydaje mi się,

aby to było teraz istotnie takie konieczne. Mam także obowiązki wobec siebie samej, wuju. Nie mogę się tutaj tak swobodnie rozwijać, jak tego pragnę.

— To są mrzonki, których nie jestem w stanie zrozumieć.

— Ale dlaczego mnie powstrzymujesz, dlaczego nie chcesz mnie puścić?

— Bo ludzie wzięliby nas na języki.

— Ach, to z powodu ludzi?

— Nie, również z twojego powodu. Jesteś jeszcze niedoświadczona i nie zdajesz sobie sprawy, że tam, w świecie, będziesz stale narażona na grzech i niebezpieczeństwo.

— Ale tyle młodych dziewcząt pracuje zawodowo!

— Są to dziewczęta, które albo nikogo nie mają, kto by się nimi zajął, albo są lekkomyślne i lubią przygody. Bądź zadowolona, że masz dom, w którym możesz się schronić.

Katarzyna zamyślona patrzyła przed siebie. „Schronić się”. Otóż to. Póki jest w tym domu, znajduje się „pod ochroną”. Ale ona nie chce tego, pragnie być wolna, pragnie się pozbyć tej „ochrony”.

Gdyby mogła zostać aktorką — jakże wspaniale byłoby się wcielać w idealne postaci i za pomocą sztuki porywać ludzi na słoneczne, jasne szczyty! Jakie to musi być wspaniałe uczucie budzić w sercach ludzi cierpienie i radość, rozwijać piękno i dobroć, a przy tym samej osiągać wielkość! Znow opanowała ją gorąca tęsknota, ale zarazem niepokój, czy ma dość talentu, by dokonać czegoś wielkiego. Gdyby mogła mieć pewność! Gdyby wiedziała, jak się do tego zabrać, by tę pewność uzyskać. Choć była tak niedoświadczona, zdawała sobie sprawę, że sama wola i pragnienie nie wystarczają, by osiągnąć upragniony cel. Nabrała głęboko powietrza i wyprostowała się.

— Proszę cię, wuju, zostaw mi trochę czasu, bym mogła wszystko przemyśleć. Nie mogę ci jeszcze teraz powiedzieć, co zrobię.

Starszy pan spojrzał na nią surowo i z dezaprobatą.

— Dobrze, więc teraz odejdz. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia — rzekł krótko.

Katarzyna powoli przeszła do bawialni, gdzie ciotka Amelia siedziała przy oknie z robótką. Usiadła naprzeciwko niej i wzięła do ręki szycie. Ponieważ nie podjęły rozmowy, Katarzyna mogła bez przeszkód snuć swoje myśli.

Po chwili pani Amelia powiedziała:

— Zrobiłabyś o wiele mądrzej, gdybyś wyszła za doktora Krugera. Przykro mi, że ten zacny człowiek otrzymał, choć pośrednio, rekuzę. Jeszcze tego kiedyś gorzko pożałujesz.

— Nie ciociu.

- Ale uraziłaś pana Krugera.
 - Przykro mi, ale nie wątpię, że on się szybko pocieszy. W sobotę wieczorem był bardzo wesoły.
 - On tylko nie chce pokazać, że jest mu przykro.
 - Owszem, ciociu, jest mu przykro, że nie przyjął z entuzjazmem jego propozycji. Ale to tylko jego urażona ambicja, nic więcej.
 - Dziwna z ciebie dziewczyna.
- Słowa te Katarzyna nader często słyszała z ust ciotki.

Rozdział trzeci

W domu Rodecków znów grano w skata. Całe towarzystwo jakby się umówiło, by okazywać Katarzynie swoje oburzenie. Unikano rozmowy z nią. omijano ją spojrzeniem, doktora Krugera natomiast otaczano serdeczną życzliwością, która była jakby jednym wielkim wyrzutem skierowanym przeciwko Katarzynie. Dziewczyna przyjmowała to ze spokojem. To nieuprzejme zachowanie się gości wcale jej nie upokarzało, raczej wzmagало jej upór.

Kto dał tym ludziom prawo, aby się tak wobec niej zachowywać? Co innego wujostwo — ale jak rodzina burmistrza śmiała ją krytykować? Otaczającą ją niechęcią wcale się nie przejmowała.

Doktor Kruger robił bardzo obrażoną minę, kiedy musiał się do niej zwrócić. Poza tym starał się okazywać przesadną wesołość.

Gdy rozdano karty, oświadczył zaskoczonemu towarzystwu, że zaręczył się z panną Meinert, córką mydlarza. Początkowo zapanowało przykre milczenie. Wszystkie spojrzenia skierowały się z potępieniem i wyrzutem na Katarzynę. Potem gratulowano Krugerowi trochę niepewnie, a kiedy w dodatku rzekł, że w przyszłości będzie musiał zrezygnować z „miłych wieczorów” — „państwo rozumieją, obowiązki narzeczonego. Moją narzeczoną pragnie spędzać ze mną te nieliczne wolne chwile” — wówczas ciemne chmury spiętrzyły się na czołach graczy i niczym zatrute strzały rzucono w stronę Katarzyny oskarżycielskie spojrzenia.

Zrobiło się tak cicho i uroczyście, jak gdyby oddawano umarłemu ostatnią posługę.

Podczas tego wieczoru, upływającego w pogrzebowym nastroju, Katarzyna z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Odczuwała nieprzewartą chęć powiedzenia czegoś ironicznego.

— Wobec tego chyba nie będzie pan musiał teraz wydawać ani grosza na mydło, panie doktorze? — zapytała głośno wśród uroczystej ciszy.

Wszyscy z oburzeniem spojrzeli na młodą dziewczynę.

— Ależ, Katarzyno!

— Słucham, ciociu Amelio!

— To bardzo nietaktowne pytanie.

— Bardzo przepraszam, że nieopatrznie powiedziałam coś, co mi przyszło do głowy. Nie oczekuję oczywiście odpowiedzi, panie doktorze. To była tylko niewczesna ciekawość. Czy mogę panu dolać do pełna?

— Bardzo proszę.

To „bardzo proszę” zawierało całe tomy słów. Odtąd panna Katarzyna była dla doktora Krugera niczym powietrze. Jedynie Albert rzucał jej od czasu do czasu ukradkiem życzliwe spojrzenie, którego Katarzyna nie „umiała sobie wytłumaczyć. Albert w ogóle grał tego wieczora bardzo nieuważnie, był roztargniony i otrzymał naganę od stryja i teścia.

Pani Amelia poleciła Katarzynie zaparzyć świeżą herbatę dla pań. Ledwie dziewczyna wyszła z pokoju, ciotka podążyła za nią.

— Jestem oburzona twoim nietaktownym zachowaniem, Katarzyno. Nie dość, że uraziłaś jego uczucia, to w dodatku kpisz z niego.

— Jego urażone uczucie już przestało go dręczyć, i to dość szybko. Zresztą przyznaję, że było to niegrzeczne z mojej strony. Sama nie wiem, co mnie podkuśliło, by tak nagle z tym wyskoczyć.

— Słowo wyleci wróblem, a powraca wołem. Doprawdy, zbyt lekkomyślnie szafujesz słowami. Sądziłam, że miałaś u nas tylko dobry przykład.

Katarzyna westchnęła.

— Tak, ciociu, wy dziesięć razy pomyślicie, nim raz coś powiecie.

— Mówisz to znowu takim tonem... Z tobą naprawdę trudno dojść do ładu.

Pani Amelia urażona udała się do bawialni.

Gdy Katarzyna wróciła do pokoju, nikt z nią nie rozmawiał. Joanna wstała nawet i przesiadła się dalej od niej. Katarzyna spojrzała na nią w milczeniu, spokojnie złożyła robótkę, wstała i ruszyła do drzwi.

— Dobranoc — rzekła głośno i chciała wyjść. Karol Rodeck spojrzał znad kart.

— Dokąd idziesz?

— Do swego pokoju.

— Dlaczego? Przecież wszyscy jeszcze tu siedzimy.

— Bo jestem tu zbędna i przeszkadzam. Joannie było za ciasno koło mnie. Nie chcę nikomu zawadzać. Dobranoc.

„Gościnne występy teatru miejskiego z Chemnitz od 1 lipca do 31 sierpnia.

Wystawiane będą dramaty klasyczne i współczesne oraz farsy”.

Duże czerwone afisze tej treści rozklejono na wszystkich rogach ulic miasteczka. Zachęcano do nabywania abonamentów i podawano ceny miejsc. Wymieniano także nazwiska aktorów i ich emploi. Wreszcie informowano, gdzie można nabyć bilety i że przedstawienia będą się odbywały w dużej sali w parku miejskim.

Katarzyna wracała z lekcji francuskiego, kiedy ujrzała taki afisz. Oczy jej się rozpromieniły. Przycisnęła rękę do serca, które biło szczególnie mocno. Czyż nie było to przeznaczenie?

Aktorzy z Chemnitz objeżdżali każdego roku okoliczne miasteczka, ponieważ trwała przerwa teatralna i mieli kilka wolnych tygodni. Lecz Katarzynie, mimo uwielbienia dla teatru, rzadko było wolno oglądać występy. Jej opiekunowie niechętnym okiem patrzyli na te „lekkomyślne rozrywki”.

Ale teraz miała dość pieniędzy, by zapłacić za bilet. Odruchowo sięgnęła po portmonetkę, gdzie tkwił banknot stumarkowy.

Drżąc z podniecenia stała przed afiszem i pochłaniała jego treść. Litery tańczyły jej przed oczami, wzburzona krew płynęła w żyłach. Co robić? Jak wykorzystać tę okazję? Przede wszystkim musi załatwić sobie bilety. Piszą tu o abonamentach; to coś dla niej. Kupi od razu abonament, zanim w domu zechcą jej to wyperswadować. Taka sposobność nieprędko znów się zdarzy. Może wśród aktorów znajdzie kogoś, kogo się będzie mogła poradzić, kto będzie jej mógł powiedzieć, czy ma talent, czy nie. Może... Ach, jakie perspektywy ścielą się przed nią, tak spragnioną sztuki, wolności i światła!

Szybkim krokiem podążyła do wskazanego punktu sprzedaży biletów i poprosiła o abonament. Zatopiona w myślach położyła na ladzie banknot, drżącymi rękami zgarnęła do portmonetki resztę i ujęła abonament niby kosztowny klejnot. Otwierał on jej drogę do krainy marzeń. Jej serce przepelniała ogromna radość, gotowa była płakać i śmiać się ze szczęścia. Jaką obfitość piękna i uniesień przyniosą jej te wieczory teatralne!

Abonament upoważniał do wejścia na co czwarte przedstawienie.

Wracała do domu jak uskrzydłona. Był już najwyższy czas. Lina właśnie wносиła supę. Katarzyna szybko się rozebrała i wbiegła do jadalni. W czasie obiadu nie wolno było rozmawiać, toteż Katarzyna zachowywała dla siebie tę podniecającą i niezwykłą, jej zdaniem, wiadomość, aż skończy się obiad.

Nalewając wujowi kawę, którą pijał zawsze po obiedzie, rzekła na pozór spokojnie:

— Kupiłam sobie abonament do teatru. Państwo Rodeckowie spojrzeli na nią zaskoczeni.

— Abonament? Abonament do teatru?

— Tak.

— Dla siebie samej cały abonament?

— Tak, ciociu.

— To niesłychane!

— Że kupiłam abonament?

— Że zrobiłaś to bez naszego zezwolenia. Skąd miałaś na to pieniądze?

— Od wuja Karola.

Pani Amelia spojrzała na męża zdziwiona.

— Dalesz jej?

— Tak, oczywiście. Ponieważ Katarzyna od chwili uzyskania pełnoletności będzie sama pokrywała swoje wydatki. Musiałem więc dać jej pieniądze.

— A ty wydajesz bezmyślnie masę pieniędzy na tak bezużyteczną rozrywkę?

— Mam nadzieję, że będę miała z tego dużo korzyści, ciociu. Pani Amelia roześmiała się ironicznie.

— No tak, staniesz się jeszcze bardziej szalona i ekscentryczna niż dotąd, całkiem znikujesz. Ja nigdy bym nie pozwoliła, byś wydała na to tyle pieniędzy.

— A skoro już to się stało, chyba pozwolisz, że będę chodziła do teatru?

— Nie, nie pozwolę! To niesłychane, co ty za naszymi plecami... W tym miejscu Karol Rodeck przerwał żonie spokojnie:

— Nie gorączkuj się tak, Amelio. Katarzyna jest dostatecznie dorosła, by zdawać sobie sprawę z tego, co robi. Oczywiście to niewybaczalne, że nas przy tym pominęła. Ale to jej sprawa. My spełniliśmy z nawiązką nasz obowiązek wobec niej i z czystym sumieniem możemy teraz zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność za jej dalsze postępowanie. Ja umyvam ręce. Niech odtąd sama o sobie decyduje.

— Ale to niewdzięczne z jej strony, że nagle nas ignoruje.

— Świat zawsze odplaca niewdzięcznością, Amelio. A jeśli mam być szczery, niczego innego się nie spodziewałem, odkąd nasz własny syn z taką niewdzięcznością nas opuścił.

Twarz starszej pani oblała się przy tych słowach mocną czerwienią. Druty podejrzenie zabrzczały. Katarzyna ujrzała, że ręce ciotki drżą. Po raz pierwszy wspomniano Helmuta, odkąd opuścił rodziców. W gorącym, miękkim sercu Katarzyny obudziła się nagle litość. Czyżby za tą szorstką, zimną postawą ciotki krył się utajony żal i ból po synu marnotrawnym? Czyżby ona w swej młodszej naiwności ją skrzywdziła?

Szybko podeszła do starszej kobiety i ujęła jej dłoń.

— Droga ciociu, nie chciałam was urazić. Wybaczcie mi.

Jej ciepły, młodzieńczy głos błagał o wstęp do tego zatwardziałego serca. Lecz pani Amelia już się opanowała.

— Uważaj, bo mi spuścisz oczka — rzekła poirytowana.

— Więc je znów nabiorę.

— To niepotrzebna strata czasu. Już dobrze. Ale niewdzięczność pozostaje niewdzięcznością.

Usta Katarzyny drgnęły. Wciąż ten sam wyrzut, ten sam chłód serca i oziębłość. Budzące się cieplejsze uczucie Katarzyny zostało stłumione.

Chyba się myliła, sądząc, że ciotka Amelia w głębi duszy cierpi. Katarzyna zajęła swoje zwykłe miejsce. Lecz obudziło się w niej znowu wspomnienie Helmuta.

Co też się stało z tym chłopcem o gorącym sercu, pełnym radości życia? Czy jeszcze żyje? Czy żałuje, że odszedł z domu rodzinnego? Tak bardzo zapragnęła dowiedzieć się czegoś o nim. Jakże dobrze rozumiała, co go wyгнаło z tego domu!

Wujostwo siedzieli naprzeciwko siebie i nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy. Pomiedzy nimi stał cień przeszłości, wywołany przez słowa Karola Rodecka. Ich serca nie były jednak aż tak skamieniałe, by mogli przejść do porządku dziennego nad tym wspomnieniem. I bali się spojrzeć sobie w oczy, by nie wyczytać z nich utajonej zgryzoty. Lepiej tego nie ruszać.

Przyjechali aktorzy. Dla mieszkańców miasteczka było to wydarzenie, że mogli oglądać na scenie tych samych artystów co mieszkańcy Chemnitz. Nie tyle pragnienie obcowania ze sztuką, ile ciekawość skłaniała ludzi do kupowania biletów. W dużej sali w parku miejskim, gdzie była całkiem ładna scena, ustawiono w równych, ciasnych rzędach ponumerowane krzesła. Była tu nawet galeria, co prawda tylko z miejscami stojącymi. Ale obszerna sala i tak mogła pomieścić sporo osób.

Wyposażenie sceny było dość skromne, ale aktorzy przywieźli ze sobą sporo akcesoriów technicznych. Gospodarz parku dał aktorom do dyspozycji swoje meble z salonu i innych pokoi. Przy pewnej dozie sprytu i wyobraźni można było sobie jakoś poradzić. Aktorzy podczas wakacji chętnie grali tu nawet na własne ryzyko, gdyż w czasie przerwy urlopowej nie otrzymywali gaży od swej dyrekcji w Chemnitz.

Ponieważ każda cywilizowana społeczność winna mieć swojego wodza, aktorzy wybrali na kierownika zespołu kolegę Georga Wiganda, który grał role bohaterów. Uzgodniono, że wpływy będą dzielone procentowo, stosownie do otrzymywanych gaż w Chemnitz.

Zespół zebrał się 1 lipca na scenie, by odbyć próbę. Przedtem jednak obejrzano garderoby. Trzeba tam było wykorzystać parawany i ruchome dekoracje, by przegrodzić pomieszczenia, które mieli do dyspozycji. Kilka aktorek zaczęło kręcić nosami, narzekały na „okropnie prymitywne warunki”, ale szybko je usadzono słowami „lepszy rydz niż nic”.

Potem rozpoczęto próbę.

Georg Wigand najpierw wygłosił do kolegów małą uroczystą przemowę.

— Słuchajcie, moi drodzy, nawet w tej pipidówce musimy dźwżyć wysoko sztandar sztuki. Proszę więc, abyście nie partaczyli, zachowajcie odpowiedni poziom, musimy pokazać, że...

— ...jesteśmy braćmi — wtrącił Adi Kertner z najpoważniejszą miną.

— Adi, czy ty przemawiasz, czy ja?

— Czy to ty, czy twój duch zadaje mi pytanie?

— Muszę cię ukarać grzywną w wysokości dwudziestu fenigów.

— Wobec tego poproszę o zaliczkę. Nie jestem w posiadaniu tak wielkiej sumy.

— Zaliczka, czy ktoś mówił o zaliczce? Adi, mój piękny Adi, chodź, niechże cię przycisnę do serca za to zbawienne słowo — zaśmiał się Paul Hartenberg, nieśmiały kochanek.

— Proszę o spokój! Zaczynamy próbę!

— Temat zaliczki jest o wiele ciekawszy — mruknął Hieronim Berthold, grywający zazwyczaj rolę ojców.

— I ty, Brutusie! — zawołał Wigand z bólem.

— To był tylko niewczesny odruch mego doczesnego „ja”. Wybacz mi, o szlachetny dyrektorku!

— Powstrzymaj tylko dyszący zemstą chór, niech mi pozwoli dożyć do końca próby, a wówczas twój grzech będzie ci odpuszczony.

— Będę cię chronić własnym ciałem.

— Zgoda, a teraz bez dalszych słów bierzmy się do roboty.

Georg Wigand był człowiekiem niezwykle przystojnym. Miał ogniste czarne oczy, które patrzyły łagodnie i ujmująco, gęste czarne włosy krótko przycięte i tylko nad czołem tworzące czuprynę; był wysoki, smukły, miał piękne białe dłonie, lśniące zęby i szlachetne rysy twarzy. Wszystko to sprawiało, że był bohaterem uwielbianym przez rzesze kobiet. Miał wspaniały talent, choć nie wykazywał się lotnością geniusza. Od sezonu zimowego zaangażował się na pięć lat do teatru w Chemnitz z gażą w wysokości sześciuset marek. Był więc najlepiej opłacanym aktorem w tym gronie.

Tuż po nim był Adi Kertner, komik charakterystyczny. Jako rodowity berlińczyk odznaczał się szczególnym impertynenckim i humorystycznym tonem. Był najbardziej interesującym i najinteligentniejszym członkiem zespołu, człowiekiem, który głęboko ukrywał własne przemyślenia i tylko czasami w komiczny sposób je ujawniał. Nie okazywał, że w gruncie rzeczy jest głęboko poważny. Zawsze ze wszystkiego żartował i wszystkich, którzy go drażnili, prześladował swym sarkazmem.

Był niewysoki, lecz smukły, zawsze elegancko i starannie ubrany, i miał bardzo wyrazistą twarz. Jego ciemne oczy z żywym zainteresowaniem obserwowały wszystko dookoła. Był człowiekiem raczej brzydkim, ale była to interesująca brzydota, która bardziej pociągała niż niejedna nic nie mówiąca piękna twarz. Z powodu zamiłowania do eleganckiego wyglądu nazwano go „pięknym Adim”. Nie miał nic przeciwko temu. Trudno było określić jego wiek. Nawet bez szminki wydawał się mieć dwadzieścia lat, kiedy indziej zaś czterdzieści. Powiadano o nim, że kryje w sercu wielką nieszczęśliwą miłość. Istotnie był już od lat potajemnie zaręczony z dziewczyną, której rodzice nie zezwalali na ten związek. I co najciekawsze — dotrzymywał dziewczynie wierności. Dla aktora otoczonego ponętnymi pokusami to wyczyn nie lada. Adi Kertner był człowiekiem wykształconym. Dużo czytał, studiował filozofów, interesował się wszystkimi dziedzinami sztuki. W Chemnitz przyjmowano go w najlepszych domach i bardzo ceniono za jego inteligencję i dowcip.

Paula Hartenberga, nieśmiałego amanta, otaczał swoistą ojcowską przyjaźnią, chociaż aktor ten miał już trzydzieści lat.

Paul był dobroduszny, miły i przystojny, choć zbyt delikatny jak na mężczyznę. Jego naiwne, błękitne oczy przeważnie spoglądały pogodnie na świat. Poza tym stale kochał się nieszczęśliwie i bardzo często zmieniał obiekty miłości.

Najzdolniejszym, ale też najbardziej godnym pożałowania członkiem zespołu był Franz Huber. Miał dni, kiedy jego grę można było przyrównać do gry wielkich artystów, ale zdarzało się także, że grał bardzo źle. Za dużo pił i dawno by już zszedł na psy, gdyby jego niezwykle energiczna małżonka nie trzymała go w ryzach. Wieczorem wyciągała go po prostu z gospody, nie przejmując się jego wymyślaniami. Pewnego razu, kiedy już szczęśliwie doholowała go do domu, wziął od niej klucz, by otworzyć drzwi. Przepuścił żonę przodem, a ledwo przekroczyła próg, zatrzaskała za nią drzwi i z powrotem pośpieszył do przyjaciół. Odtąd pani Huber trzymała męża pod ramię, prowadząc go do domu. Kiedy miał swój dobry okres, był jej wdzięczny za tę troskliwość, ale w złym okresie traktował ją grubiańsko. Pani Huber grywała role matek.

Małżonka Hieronima Bertholda była dobroduszną, starszą kobietą; ogromnie wesoła, nie przebierała w słowach, niezmiernie lubiana przez publiczność i kolegów.

Prócz grupy głównych aktorów z Chemnitz przyjechało jeszcze tylko kilku statystów. Reszta pań i panów z zespołu występowała gościnnie pojedynczo na małych letnich scenkach albo wypoczywała, jeśli mogła sobie na to pozwolić.

Pierwszego wieczoru mieli wystawiać „Romea i Julię”, więc jeszcze raz powtórzyli tekst. Zaraz potem wspólnie zabrali się do ustawiania dekoracji, ponieważ ze względów oszczędnościowych nie wzięli z Chemnitz pracowników technicznych.

Najwięcej trudności sprawiał pałac, i mimo usilnych starań nie wyglądał zbyt okazale. Także balkon przed pokojem Julii sprawiał kłopot. Panna Hellman, która grała rolę Julii, okropnie się denerwowała, bo balkon trzeba było wciąż przebudowywać. Wreszcie jakoś się z tym uporano. Około trzeciej po południu aktorzy skończyli przygotowania i poszli do restauracji na obiad.

— Georg Wigand jeszcze przed obiadem poszedł do obu kasjerów, którzy sprzedawali bilety, aby się z nimi rozliczyć. Był mile zaskoczony, bo otrzymał dość znaczną sumę. Na pierwsze przedstawienie sprzedane zostały wszystkie bilety, jak też sporo abonamentów. To był dobry początek. Zadowolony wracał do kolegów. Adi Kertner pociągnął go za rękaw.

— Tymczasowy dzierżawco mojej urody i talentu, jeśliś zgarnął tę niewdzięczną mamonę, to podziel się z nami jej nadmiarem.

— Dostaniecie, moi drodzy. Ale najpierw pozwólcie mi zjeść talerz zupy, bo inaczej umrę z głodu. Potem spadnie na was deszcz błogosławieństw. Oko wam zbieleje!

— Wspaniale! Wspaniale! Niech zbieleje!

— Jeśli moja dola wyniesie więcej niż milion, to odmówię jej przyjęcia.

— No nie! To już wołałbym wznieść pomnik dobroczynnym obywatelom tego miasta.

— Nie bądźcie tacy rozrzutni. Nie szasta się tak milionami.

— Paul, złotko, jaki z ciebie mądrała!

— Dyrektorku, nasze serca gnębi cierpienie całego świata.

Tak wołali jeden przez drugiego. Potem wpadł Hieronim Berthold.

— Gdzie jest mój przyjaciel dyrektor? Sprowadźcie go tu, bym go mógł przycisnąć do serca! On ma pieniądze! Oto jest!

Chciał rzucić się do Wiganda, lecz piękny Adi go powstrzymał.

— Nie tak gwałtownie, mój szlachetny ojcze, bo pognieciesz mu banknoty. Obchodź się z nim delikatnie, póki go nie wyżyłujemy!

— Ludzie, ale z was istne wampiry — jęknął Wigand. — Nawet nie dacie mi spokoju zjeść.

Ledwie Wigand skończył zupę, już był otoczony ze wszystkich stron.

— Dawaj mamonę, szlachetny przyjacielu ludzi.

— Jeśli się nie pośpieszysz, zginiesz marnie.

— Kto tu się waży grozić naszej władzy? Cicho tam! Dyrektorku, masz we mnie obrońcę.

Wigand ze śmiechem odsuwał od siebie napastników.

— Jeśli nie usiądziecie spokojnie, zwięję z kasą.

— Ho, ho, "trzymaj go mocno, Nelly, usidlij go swym syrenim uśmiechem.

Nelly Dannewitz ujęła ramię Wiganda i szepnęła: — Powiedz mi na ucho, dyrektorku, masz dużo pieniędzy?

— Tak, nawet więcej, niż się spodziewałem. Wtedy go puściła.

— Moi drodzy! — zawołała ze śmiechem. — On ma dużo pieniędzy, więc bądźcie grzeczni i siadajcie.

Po tych słowach wydała z siebie tak głośny okrzyk radości, że kelner wpadł do pokoju.

Huber stanął przed nim, dziko wywracając oczami i z miną przestępcy.

— Oddal się, wyfraczony niewolniku, i nie przeszkadzaj nam w podziale łupu.

Wigand położył teraz pieniądze na stole. Hieronim Berthold musiał obliczyć, ile przypada na każdego z nich po potrąceniu wydatków. Trwało to dość długo, ponieważ podniecone bractwo nie mogło się uspokoić.

Tylko Paul Hartenberg podszedł do okna i spoglądał na zalaną słońcem ulicę. Adi zbliżył się do niego.

— Czyżbyś zasnął, Hagenie, mój synu?

Nieśmiały amant spojrział z góry na Kertnera i pociągnął go za rękaw ku sobie.

— Adi, dziś rano, kiedy szedłem na próbę, widziałem tu dziewczynę, powiadam ci, dziewczynę—cud, uroczą! Co za figura, nie mogłem się napatrzeć. Niestety, zniknęła w bramie jakiegoś domu. Nie sądziłem, że w tej zapadłej dziurze może być coś tak pięknego i uroczego.

— Ty spotykasz coś takiego wszędzie, mój drogi Paul. Trzymaj swoje serce na wodzy, bo inaczej złamie się po raz trzysta pięćdziesiąty siódmy.

Hartenberg usiłował nadać swej twarzy melancholijny wyraz. Ale wyglądało to ogromnie komicznie.

— Ach, jesteś potworem pozbawionym wszelkich uczuć i rozkoszujesz się moją męczarnią.

Adi chwycił go za ucho, przyciągnął w dół do siebie i szepnął tajemniczo: — Ofelio, idź do klasztoru!

Potem zostawił go i podszedł znów do stołu.

Tymczasem Berthold skończył obliczanie i Wigand wypłacał aktorom honorarium. Radosnym okrzykiem nie było końca.

— Stawiam butelkę szampana! — zawołał Hartenberg.
— Ja także!
— I ja!
— Nie teraz, dziś wieczorem, po przedstawieniu — zaproponował Wigand.
— Dobrze, niech będzie dziś wieczorem. Każdy stawia butelkę szampana.
— Ja nie — mruknął Berthold — bo będzie za dużo, ale przyłączę się do picia.
— Dać mu w skórę!
— Pozwólcie mi dokończyć. My dwaj żonaci, Huber i ja, jesteśmy zbyt poważni na takie hulanki.
— Słyszycie, co on gada?
— Dajcie mi skończyć. No więc oboje z żoną zapraszamy was wszystkich w niedzielę na obiad do nas do domu. Anna robi wspaniałe puree ziemniaczane i kotlety, a robi to po mistrzowsku.
— Brawo! Brawo! Niech żyją Bertholdowie!
— Piękna Anno, tylko nie usmaż za mało kotletów — rzekł Kertner. — Pamiętaj, że ostatniej zimy Paul sam zjadł pięć sztuk i do tego ogromną miskę puree.
— Ty nędzny oszczerco, zjadłem tylko cztery sztuki! — zawołał Paul.
— No, nie kłóćcie się, dzieciaki — rzekła Anna Berthold w swój dobroduszny sposób. — Umówmy się na liczbę przeciętną. Zrobię po trzy sztuki na głowę, przy tych wysokich cenach będzie to i tak nie byle jaki wydatek.
— O urocza A—a—anno! — zaśpiewał Hartenberg. Pani Huber zastukała w szklanekę.
— A teraz dajcie mnie coś powiedzieć.
— Spokój, szarlatani, teraz głos ma pani Teresa Huber.
— Zapraszam was z Franzem następnej niedzieli na kawę i ptysie z bitą śmietaną.
— Hura, hura! Niech nam żyje sto lat nasza Teresa!
— Uważajcie, moi drodzy — przestrzegł Kertner — żebyście się nie pomylili. Więc w najbliższą niedzielę będą u Bertholdów ptysie z puree, a za tydzień u Huberów kotlety z bitą śmietaną i kawa.
— Żeby ci to tylko nie zaszkodziło, piękny Adi—zaśmiała się Anna Berthold.
Aktorzy wypili jeszcze jedną kawę i poszli do domów, by przygotować się na wieczór.

Rozdział czwarty

Skończył się pierwszy akt „Romea i Julii”. Kurtyna opadła i głośnie brawa nagrodziły aktorów za ich trud.

Teraz Paul Hartenberg, który nie musiał się przebierać, stał przy kurtynie i zerkał przez szparę na widownię. W jednym z pierwszych rzędów siedziała owa śliczna dziewczyna, którą widział dziś przed południem. Była to Katarzyna Rodeck. Wcześniej śledziła akcję na scenie z rozpalonymi policzkami i płonącymi oczami, teraz zaś z oczekiwaniem spoglądała na kurtynę. Nic dziwnego, że Hartenberg nie mógł oderwać od niej oczu.

Nagle poczuł czyjaś dłoń na ramieniu.

— Hej, Paul, pozwól jeszcze komuś nacieszyć się pięknym widokiem. Stoisz i gapisz się, jakbyś wrósł w ziemię.

— Ach, Adi, czy wiesz, na kogo patrzę? Ta śliczna dziewczyna, o której ci mówiłem, siedzi na parterze. Widziałeś ją?

— Tak, widziałem, to doprawdy śliczne stworzenie. Poza tym ciesz się, bo i ta twoja płomienna miłość pozostanie nie odwzajemniona. Więc znów zostaniesz szczęśliwym posiadaczem nieszczęśliwej miłości. O, moje złamane serce, cóż ci po tym?

— Na jakiej podstawie to wnioskujesz, Adi?

— Jej oczy wędrowały innymi szlakami, nie kierując się w stronę twojej uroczej twarzyczki jak księżyc w pełni. Właśnie ze względu na ciebie obserwowałem ją przez cały akt przez szparę w kulisie. Miała oczy zwrócone tylko na naszego Romea. Nasz szanowny pan dyrektor wygląda dziś doprawdy bardzo pięknie. Człowiek gotów uwierzyć, że on ma duszę i rozum, ale to tylko pozór, złudzenie. A to biedactwo na parterze już dało się złapać i teraz miota się w sieci. Założę się o trzy butelki szampana, że tak jest.

— Naprawdę sądzisz, że nie mam szans?

— Z całą pewnością.

— Więc mam dalej samotnie wędrować przez świat. Widać taki już mój los, zawsze mijam się z miłością.

— Mówisz to z nieszczęśliwą miną, a tak naprawdę to cieszysz się, że tak jest. Bo gdyby wszystkie kobiety, których pożądasz, ulegały ci... nie daj Boże! To nie do pomyślenia!

— Nie byłbym wcale taki pazerny, wymagałbym jedynie, by każda choć trochę mnie lubiła.

— Doprawdy, miły z ciebie chłopak.

— No cóż, żaden normalny mężczyzna nie może być w sprawach miłości takim monogamistą jak ty.

Kertner spoważniał.

— Proszę cię, nie poruszaj spraw, których nie potrafisz pojąć. Skończmy z tym, dobrze?

— O Boże, czyżbyś się nie znał na żartach?

— Owszem, jak najbardziej, ale nie w tej sprawie. O, popatrz, tam idzie nasz dyrektor. Cały promieniujący urodą i słonecznym blaskiem bohatera. O, Romeo, trudno się dziwić, że kobiety tak za tobą szaleją.

— Znów sobie ostrzysz na mnie zęby? Lepiej daj spokój! Puśćcie mnie, też chcę zobaczyć.

— Aha, ty także spostrzegłeś, że duże błękitne oczy dziewczyny były utkwione w tobie pełne zachwyty i podziwu.

— No cóż, nie jestem ślepy, a taka piękna, powabna istota bądź co bądź nieczęsto się zdarza. Dacie mi wiarę czy nie, ale jej promienne oczy uskrzydlały mnie. W końcu grałem tylko dla niej.

— Biedactwo! — rzekł Kertner poważnie.

— Dlaczego?

— Bo byłoby lepiej, gdyby ona ciebie nie widziała ani ty jej.

— A to czemu?

— Bo będziesz teraz roztaczał cały swój wdzięk, aby ją całkowicie oczarować.

— Nie wiadomo, czy jeszcze tu przyjdzie.

— Na pewno, siedzi na krześle numer piętnaście, to miejsce jest abonamentowe, zarezerwowane na co czwarte przedstawienie.

— Skąd to wiesz, Adi?

— Z obliczeń naszych kasjerów. Sprawdziłem to, oczywiście w twoim interesie.

— Bardzo ci jestem wdzięczny. Ale teraz uciekajmy, rozpoczyna się drugi akt.

Zaraz też rozległ się dzwonek.

Katarzyna po prostu upajała się słowami poety, jej dusza była uskrzydłona, czuła się jakby przeniesiona w inny świat, pełen blasku i piękna.

Wigand zaś tego wieczora niemal przechodził samego siebie.

Również jego partnerka, panna Hellmann, grała doskonale. Zdaniem Katarzyny, Julia wyglądała oszalamiająco pięknie, nic więc dziwnego, że Romeo tak gorąco do niej przemawiał.

Zresztą Julia urządziła swemu Romeo małą scenę zazdrości po drugim akcie. Oczywiście, za kulisami i bez świadków.

— Georg, co cię łączy z tą kobietą z parteru?

— Z jaką kobietą?

— Ach, nie udawaj, że nie rozumiesz. Myślisz, że nie widzę, jak na nią patrzysz i nie spuszczasz z niej oczu?

— A gdyby nawet tak było, no to co? Daj mi spokój z twoimi scenami zazdrości. Nie masz do tego prawa, nudzisz mnie.

— Już mnie nie kochasz?

— Tylko nie dramatyzuj. Oczywiście bardzo cię lubię. Ale wolno mi chyba popatrzeć na ładną dziewczynę?

— Popatrzeć, popatrzeć... Jakbyś miał na tym poprzestać.

— A jeśli nie, no to co? Przecież wiesz, że zawsze do ciebie wracam. Za bardzo jesteś mi potrzebna, abym się mógł artystycznie rozwijać.

Twoja gra mnie uskrzydla. Dziś znowu byłaś wspaniała, trzymaj się tak dalej i nie psuj sobie i mnie nastroju zazdrością. Przecież wiesz, że nie znoszę więzów, nie bądź więc drobiazgowa. Helena spojrzała na niego z wyrzutem.

— Byłoby lepiej, gdybym cię nie kochała — rzekła z goryczą.

— Ach, nie pleć głupstw, Heleno. To wszystko nonsens. Oszczędź mi tego drobnomieszczańskiego sentymentalizmu.

Z tymi słowami odszedł.

Panna Hellmann patrzyła za nim oczami pełnymi gniewu.

Potem poszła do garderoby, by otrzeć wilgotne oczy.

Przedstawienie toczyło się dalej. Romeo grał już tylko dla pięknej dziewczyny z parteru. A podczas antraktów stał przy kurtynie i spoglądał przez wąską szparę, nie bacząc na gniewną minę Heleny.

Katarzyna wzbudzała jego zainteresowanie. Bardzo korzystnie odcinała się od swego otoczenia. Nie tylko urodą. Jej skromna suknia nie była przeładowana ozdobami tak jak suknie innych młodych kobiet. Odznaczała się spokojną wytwornością.

Wigand chętnie by się dowiedział, kim ona jest. Wyglądało na to, że przyszła do teatru sama, gdyż podczas przerw pozostawała na miejscu, zatopiona w myślach.

Po każdym akcie, gdy opadała kurtyna i aktorzy się kłaniali, szukał wzrokiem jej oczu. Za każdym razem ich oczy się spotykały. Jego oczy płonące, jej wielkie, pełne blasku i oczarowania. Chociaż na Wiganda spoglądało wiele pięknych kobiet, we wzroku tej dziewczyny było coś zagadkowego, co przyciągało tego tak wybrednego, uwielbianego przez kobiety

mężczyznę. Może to bezgraniczne zatopienie się w poezji, walka jej duszy o wyzwolenie, gorące pragnienie piękna, wielkości, może to nadawało jej oczom ten cudowny wyraz. Że było w niej coś niezwykłego, spostrzegł nawet ten przesycony adoracją kobiet mężczyzna i to go ujęło i rozplómiło jego serce.

Katarzyna zaś nie wiedziała, co się z nią dzieje. Zresztą wcale się nie zastanawiała, czemu jej krew tak pulsuje w żyłach. Bezwładnie poddawała się czarowi i czuła się ogromnie bogata i szczęśliwa. Siedziała bez ruchu na swoim miejscu, nie ruszyła rąk, by klaskać, lecz jej oczy błyszczały ze wzruszenia i zachwyty.

Gdy przedstawienie dobiegło końca, szła jak we śnie pośród posuwającego się i popychającego tłumu. Na dworze nad miasteczkiem rozciągało się jasne gwiazdziste niebo. Był ciepły wieczór, przesycony wonią lata.

W bramie parku miejskiego stała Lina i czekała na swoją panienkę. Obok niej, z rękami w kieszeniach płaszcza, z papierosem w ustach i w cylindrze stał Adi Kertner, który już wcześniej zdażył się przebrać.

Ujrzał zbliżającą się Katarzynę i bacznie ją obserwował. Podeszła do starej służącej.

— Jestem, Lino, chodźmy szybko do domu — Kertner usłyszał jej miły głos.

Potem obie kobiety znikły w ciemnościach. Kertner popatrzył za nimi, gwałtownie wydmuchał dym z papierosa i wyrzucił niedopałek.

— O wy, naiwne istoty — rzekł półgłosem do siebie. Potem zwrócił się do Hartenberga, który właśnie do niego podszedł.

— Jesteś wreszcie gotów, Paul? Czekam tu już na ciebie dziesięć minut, choć skończyłeś wcześniej niż ja.

— Bo tak długo musiałem ścierać szminkę. Przecież trzeba było ukryć całą moją urodę pod warstwą szminki.

— Głupiec!

— Cóż to, Adi, jesteś w złym humorze?

— W złym humorze? To za mało powiedziane. Jestem wściekły!

— Dlaczego?

— Właśnie, dlaczego? Sam tego nie wiem.

— No to chodź na kufelek piwa, inni tam doszlusują.

— Nie, idź sam. Jestem dziś w podłym, ludożerczym nastroju, nawet sam dla siebie jestem ciężarem. Dobranoc.

I szybko się oddalił. Paul Hartenberg popatrzył za nim potrząsając głową. „Znow ma ten swój nietzscheański nastrój, nie można się z nim dogadać”, pomyślał i wszedł do restauracji.

Tymczasem Katarzyna szła w milczeniu obok Liny. Była rada, że wujostwo nie byli z nią w teatrze. To by uszczupliło jej przyjemność. Byłoby dla niej okropne, gdyby musiała wysłuchiwać ich złośliwej, nierzeczowej krytyki przedstawienia.

Wreszcie Lina przerwała milczenie.

— Ładnie było w teatrze, proszę panienki? Wówczas Katarzyna ocknęła się z zamyślenia.

— Tak, Lino, bardzo ładnie.

— Ja także lubię oglądać aktorów. W zeszłym roku byłam na takiej sztuce, kiedy to ładna, młoda dziewczyna musiała wypić truciznę, którą jej podał kochanek. Trucizna była w szklance lemoniady, a potem tego bardzo żałował. To było bardzo smutne, niemal sobie oczy wypłakałam. Ale jednak było piękne. Chciałabym znów pójść do teatru. Czy ciocia panienki mi pozwoli?

— Przecież nie może ci tego zabronić.

— No, nie wiem. Pani Rodeck jest czasem bardzo dziwna.

— Na pewno pozwoli, Lino. Zastąpię cię w tym czasie, podaruję ci też bilet.

— Panienska jest taka dobra. Przecież dopiero co dała mi panienska pieniądze na spódnice.

Katarzyna się uśmiechnęła.

— Ach, Lino, chyba po to mam tak dużo pieniędzy, abym mogła czasem zrobić komuś przyjemność.

— Ale nie wszyscy ludzie myślą tak, jak panienska. Panienska jest bardzo dobra.

Gdy obie wróciły do domu, było już całkiem ciemno. Tylko w przedpokoju paliła się mała lampka, którą przygotowała Lina. Państwo Rodeckowie już poszli spać.

Katarzyna wbiegła szybko na palcach na górę do swego pokoju. Długo siedziała przy oknie i szeroko rozwartymi oczami spoglądała w ciepłą, cichą letnią noc. Jej serce przepelniała niezmiernie radość. Jakie wspaniałe było życie, jak to cudownie, że darowało jej tyle piękna! I Katarzyna cieszyła się, że minęło dopiero jedno z piętnastu przedstawień, na które wykupiła abonament. Jaki bezmiar radości jeszcze ją czekał! Kuszące spojrzenie ciemnych oczu mężczyzny zabrała ze sobą w krainę marzeń.

Nazajutrz rano Katarzyna obudziła się z uczuciem radosnego oczekiwania. Jakie to cudowne móc się na coś cieszyć! Jakiś tajemniczy blask rozjaśniał od wczoraj jej dni.

Nakrywanie do śniadania wcale nie wydawało się jej takie nudne. A i słońce świeciło piękniej niż zazwyczaj. Nawet dzwonek w sklepie brzmiał nie tak ostro jak zawsze.

Tylko wuj i ciotka mieli bardziej kwaśne miny niż zwykle. Zachowywali się wobec niej bardzo chłodno i powściągliwie. Ani słowem nie wspomnieli o teatrze.

Katarzyna starała się skierować rozmowę na ten temat. Serce jej było przepelnione tym, co wczoraj przeżyła. Jakże chętnie podzieliłaby się wrażeniami z kimś, kto by ją zrozumiał. Ale spotkała się z zimną odmową.

— Oszczędź nam tych wynurzeń. Nie interesują nas te lekkomyślne zabawy — rzekł wuj z wyniosłą miną.

Tak więc Katarzyna stłumiła w sobie uczucia. Gdyby miała teraz u boku człowieka, który by z miłością i zrozumieniem na nią wpłynął, może wówczas zdołałaby odróżnić złudę od rzeczywistości. A tak, musiała sama wszystko przemyśleć, a jej głębokie życie wewnętrzne, jej ideały nadawały wytworom jej wyobraźni realne kształty.

Miała bardzo mętne pojęcie o świecie i życiu. Dla niej niezbitą pewnością było to, że aktorzy w życiu prywatnym są równie nieskazitelni jak odtwarzane na scenie postaci. I jej samotna, spragniona szczęścia dusza zdążyła ślepo ku nim. Przede wszystkim ku jednemu, ku temu, który swymi ciemnymi oczami zasiał w jej sercu głęboki niepokój. Lecz także o Julii myślała z zachwytem. Jakie to piękne, jakie cudowne tak uskrzydlać ludzi, jak ona, budzić ich zachwyty. Czyż nie jest możliwe, że również w niej samej drzemie talent, który tylko należy rozbudzić, by mógł w pełni rozkwitnąć?

Im częściej Katarzyna chodziła do teatru, tym bardziej utrwalało się w niej pragnienie, by zostać aktorką. Nie zdawała sobie sprawy, że to chęć poznania Wiganda wciąż od nowa budziła i pogłębiała jej stare pragnienie. Była zdecydowana poprosić o radę jakąś doświadczoną osobę.

Pewne zaufanie poczuła do pani Anny Berthold. Ta aktorka miała w sobie coś dobrodusznego, swojskiego. Katarzyna zastanawiała się, jak by to urządzić. Chciała pójść do tej kobiety i poprosić ją o radę, w jaki sposób mogłaby zostać aktorką i czy należy się o to starać.

Oczywiście nie powiedziała o tym ani słowa wujostwu. Wiedziała, że swoimi planami rozpętałaby burzę. Zdecydowała, że postawi ich przed faktem dokonanym.

Tymczasem jej życie zewnętrzne toczyło się starym, utartym torem.

Pewnego przedpołudnia poszła z Liną na cotygodniowy targ. Stara służąca niosła duży kosz z jarzynami i owocami.

Gdy skręcały z targu na ulicę, nagle stanął przed nimi Georg Wigand. Spostrzegł, jakie głębokie wrażenie wywarło na Katarzynie niespodziewane spotkanie z nim. Był znawcą kobiet i bez trudności przejrzał, co się dzieje w duszy tej młodej istoty. Zatapiając swój wzrok głęboko w jej oczach, przepuścił kobiety przed sobą. Sam poczuł przy tym pewne podniecenie. Świeża, czysta uroda Katarzyny obudziła w tym rozpieszczonym przez kobiety człowieku coś, czego już dawno nie odczuwał. Naiwne, niemal nabożne spojrzenie jej niewinnych oczu poruszyło jego serce.

Dyskretnie zasięgnął języka co do jej osoby. Wiedział, że jest sierotą, że mieszka w domu wuja i opiekuna i że... jest bardzo bogata. Pogłoska o jej wielkim bogactwie rozniosła się po miasteczku dzięki gadulstwu Liny i ta ostatnia okoliczność nie pozostała bez wpływu na postanowienie Wiganda, by zawrzeć znajomość z Katarzyną.

Sierota, zamożna, niezależna, to byłoby coś dla niego. A w dodatku była piękna i bez pamięci w nim zakochana. A gdyby tak zechcieć naprawdę?

I Wigand zaczął chcieć. W każdym razie postanowił spróbować. Pozbyć się za jednym zamachem wiecznych kłopotów finansowych, uciążliwych długów u szewca, krawca i gospodarzy — wcale nieźle!

I miły, przytulny dom, a nie zimna, brzydka kawalerska buda, do tego ładna, wyrozumiała żoneczka, która go ubóstwia i spełnia każde jego życzenie — to doprawdy było bardzo kuszące. Kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze nadarzy mu się taka okazja. Spróbuje więc zawrzeć z tą małą znajomość.

Szedł za nimi w stosownym odstępnie.

Pod Katarzyną uginały się nogi. Nie odwracała się, ale wiedziała, że on idzie za nią. To oczywiście jeszcze bardziej ją onieśmieliło. Nie ważyła się podnieść wzroku i odpowiadała na pytania Liny tak bez sensu, że pocziwa kobieta ze zdziwieniem kręciła głową. Dopiero po wejściu do domu Katarzyna odważyła się zerknąć za siebie.

I rzeczywiście, nadchodził po przeciwnej stronie ulicy.

Jakby ją ktoś gonił, wbiegła po schodach do swego pokoju, podeszła do okna i zerknęła przez zasłonę.

Jego ostry, bystry wzrok spostrzegł delikatne poruszenie zasłony. Skierował przenikliwe spojrzenie w stronę jej okna i powoli minął dom.

Katarzyna cofnęła się przerażona. Czy ją zauważył?

Stała pośrodku pokoju i przyciskała ręce do dziko bijącego serca.

„O Boże, o Boże, ja go kocham!”, myślała drżąc i przerażona tą świadomością stała bez ruchu, aż zawołano ją z dołu. Wówczas ocknęła się, odświeżyła płonąca twarz zimną wodą i zesza. Gdy w kwadrans później stała

przy stoliku z przyborami do szycia koło okna w bawialni i wyjmowała robótkę, ujrzała nagle Georga Wiganda, który właśnie przechodził. Z rozpaloną twarzą cofnęła się szybko w głąb pokoju. On to zauważył i uśmiechnąwszy się, poszedł dalej. Ręce Katarzyny drżały podczas szycia, wewnątrz niej zaś szalała burza uczuć. Miała ochotę śmiać się i płakać i była zachwycona, że jej dusza wyrwała się z trzeźwego, skostniałego spokoju szarej codzienności i ulatywała ku słonecznym wyżynom.

Znów nadszedł dzień, w którym Katarzyna szła do teatru.

Tym razem nie było w programie nazwiska Georga Wiganda. Wystawiano farsę, w której nie brał udziału. Przed wejściem Katarzyna spotkała burmistrza i Alberta Rodecka. Ojciec miasta wybierał zawsze komedie, kiedy od czasu do czasu wypadało mu się pokazać w teatrze.

Przywitali się z Katarzyną bardzo chłodno, i młoda dziewczyna szła — niezbyt podbudowana tym spotkaniem — obok nich szeroką dróżką parku, prowadzącą do sali teatralnej. Tuż przed wejściem na widownię stał Georg Wingand — właśnie miał pójść na scenę, aby wszystkiego dopilnować. Gdy ujrzał Katarzynę obok burmistrza i jego rodziny, zatrzymał się.

Zdjął kapelusz, by pozdrowić ojca miasta. Oczy jego pozdrawiały jednak Katarzynę. Potem odszedł. Dziewczyna, w obawie, że oni zaczną teraz mówić o Wigandzie, weszła pośpiesznie na salę i usiadła na swoje miejsce. Na szczęście burmistrz miał miejsce dość daleko od niej. Katarzyna była rada, że Wigand dziś nie gra, ponieważ jutro wypadał wieczór ze skatem i gdyby musiała wysłuchiwać ich krytyki, byłoby to dla niej nie do zniesienia. Dziś nie mogła się tak całkowicie skupić na przedstawieniu, była nieuważna i roztargniona.

Przypisywała to obecności krewnego i jego teścia, ale nie w pełni było to prawdziwe. Ośrodek jej zainteresowania znajdował się za kulisami. Tam myśli jej szukały Wiganda. On zaś stał tymczasem za małą szparą w kulisie i z uśmiechem ją obserwował. Widział dobrze, że nie spoglądała, tak jak zazwyczaj, z promienną, pełną entuzjazmu twarzą na scenę. I wiedział dlaczego. Na długo przed końcem przedstawienia wyszedł; chciał się przejść po parku, aby pochwycić jeszcze jedno spojrzenie Katarzyny, kiedy opuści ona teatr.

Gdy wyszedł, ujrzał Linę opartą o drzewo; poznał tę osobę, która towarzyszyła Katarzynie przed południem.

Niby przypadkiem skierował kroki w jej kierunku i nagle się zatrzymał, jak gdyby dopiero teraz ją spostrzegł.

— Czy pani na kogoś czeka?

Lina wyprostowała się. Ona także od razu go poznała. Kiedy kilka dni temu była w teatrze, grał pięknego, młodego księcia, który zakochał się w swojej własnej macosze. Najpierw ukazał się na scenie w białym jedwabnym ubraniu, potem w czarnym aksamitnym, w okropnie długich pończochach i bardzo krótkich spodniach. Ale wyglądał przepięknie. I znów było bardzo smutno. Miał on bowiem okrutnego ojca, który kazał zastrzelić jego najlepszego przyjaciela. Tak opowiadała Katarzynie następnego dnia.

A teraz ten piękny młody człowiek stał przed nią i spoglądał życzliwie.

— Tak, proszę pana, czekam na naszą panienkę Katarzynę.

— Ach, tak, na córkę państwa?

— Nie, nie, to nie córka, pan Rodeck jest tylko jej wujem.

— A więc panienka jest tylko ubogą sierotą?

— Sierotą owszem, ale nie ubogą, uchowaj Boże. Nasza panna Katarzyna jest bardzo bogata i bardzo dobra. Zawsze mi coś daje. Odkąd jest pełnoletnia, może wychodzić, kiedy tylko zechce. Panienka sama mi to mówiła.

Wigand uśmiechnął się. Poczciwa staruszka była bardzo gadatliwa i wydawała się zadowolona, że może porozmawiać.

— Chyba pani bardzo lubi panienkę?

— Rozumie się, proszę pana. Była taka biedna i nie miała ani jednej życzliwej duszy, odkąd nasz panicz odszedł z domu. Więc zawsze przychodziła do mnie i mówiła: „Lino, czy ty także jesteś na mnie zła?” A przecież nie mogłam się na nią gniewać, była takim kochanym stworzeniem.

— A jej wuj i ciotka nie byli dla niej dobrzy?

— Mój Boże, oni już się odzwyczaili od małych dzieci. A to było bardzo żywe dziecko. Moi państwo są trochę surowi. Ale doprawdy, nie chcę o nich mówić źle. Broń Boże! To są sprawiedliwi ludzie, co prawda to prawda.

— Panienka chyba często chodzi do teatru?

— Tak, ona od razu kupiła masę biletów. Moi państwo byli na nią za to bardzo źli.

— Widocznie nie lubią teatru?

— Nie, nigdy tam nie chodzą. Aleja byłam, proszę pana, kiedy pan grał tego pięknego księcia. O Boże, ale się popłakałam. To było takie wzruszające.

— Więc się pani podobało?

— O Boże, tak bardzo się przejęłam, że płakałam jak bóbr. Wcale się nie dziwię, że panienka tak często chodzi do teatru.

— Pani także by chciała?

— No pewnie, proszę pana. Ale nawet gdyby pani Rodeck mi czasem pozwoliła, to jednak kosztuje okropnie dużo pieniędzy: pięćdziesiąt fenigów za miejsce na galerii.

Wigand się roześmiał.

— To za drogo? Proszę zaczekać, zaraz temu zaradzimy. Wyrwał kartkę ze swego notesu i napisał kilka słów. Potem podał ją Linie.

— Proszę zachować tę kartkę. Kiedy będzie pani miała czas i ochotę pójść do teatru, wystarczy przed wejściem ją okazać i będzie miała pani wolny wstęp na galerię.

— Ależ, proszę pana, ja nie mogę tego przyjąć.

— Niech pani weźmie. Ponieważ jest pani taka dobra dla swojej panienki, chce pani sprawić przyjemność.

Lina się rozpromieniła.

— Więc mogę chodzić nawet co niedziela, czy to nie za często?

— Kiedy tylko pani zechce.

— Dziękuję, tysiącrotnie dziękuję, łaskawy panie.

— Nie ma o czym mówić.

Skinął jej głowę z życzliwym uśmiechem i ruszył powoli przez park.

„Jaki to wytworny i przyjemny młody mężczyzna”, myślała Lina i ścisnęła mocno kartkę. Nie mogła odcyfrować, co on napisał, panna Katarzyna jej to potem przeczyta.

Kiedy przedstawienie dobiegło końca i publiczność się rozproszyła, wyszła także Katarzyna. Celowo się zatrzymała, by uniknąć spotkania z krewnymi.

Lina opowiedziała jej podniecona o swoim spotkaniu z Wigandem i pokazała kartkę.

„Wolny wstęp na galerię, Georg Wigand” — głosiła kartka.

Katarzyna przeczytała to Linie. Zbudziło się w niej przecucie, a raczej przekonanie, że Wigand tylko z jej powodu rozmawiał ze służącą, i to uczucie ją uszczęśliwiło.

Gdy obie wyszły z bramy parku, Wigand stał pod latarnią i czekał.

Lina od razu go zobaczyła i skinęła mu głową życzliwie jak dobremu znajomemu.

On zdjął kapelusz i złożył głęboki i pełen szacunku ukłon Katarzynie. Podziękowała mu lekkim, nieśmiałym skinieniem. A miała przy tym uczucie, jakby stąpała po różowych obłokach.

Lina musiała jej wszystko szczegółowo opowiedzieć, słowo po słowie, bo przecież były to jego słowa. Zadowolona, że może paplać, niczego nie opuściła.

Zatopiony w myślach Wigand patrzył w ślad za smukłą dziewczyną. Stał tak jeszcze, gdy podszedł do niego Kertner.

— Dzierżawco mojej urody i talentu, za kim spoglądasz tak tęsknie?

— Nie bądź taki wścibski, Adi.

— Nie, doprawdy nie jestem wścibski. Moje pytanie było pustym gadaniem, ponieważ i tak wiem, kogo śledzisz wzrokiem. Śliczną pannę Rodeck! Czy naprawdę chcesz rozpałcić ogień namiętności w tej niewinnej istocie?

— Daj spokój z tymi głupimi dowcipami. Nic takiego nie robię. Zresztą wcale nie jest powiedziane, że jej na mnie zależy.

Kertner wzruszył ramionami.

— Kobiety to niemądre stworzenia. Wszystkie dają się nabrać na twoją piękną maskę, bo sądzą, że zanią tkwi rozum i serce. Nie wiedzą, że na próżno poszukują jednego i drugiego.

— Dziękuję, znowu jesteś ogromnie miły.

— Bardzo proszę. Ale chyba nie pragniesz dostarczyć ilustracji do tego stwierdzenia?

— Co to ma znaczyć?

— To ma znaczyć, że jeśli naprawdę jesteś głupcem, to weźmiesz mi moje szczerze słowa za złe. Jeśli zaś nie jesteś głupcem, to ze wzniosłością wielkich umysłów przejdiesz nad moimi słowami do porządku i pójdziesz ze mną na piwo. Reszta zaraz nadciągnie. A może chcesz iść za panną Rodeck?

— Nonsens, w tej dziurze to nie do pomyślenia. Zresztą tu w ogóle trudno o zawarcie znajomości.

— Dla ciebie to fatalne, lecz dla panny Katarzyny Rodeck to szczęście.

— Dlaczego?

— Ponieważ przypuściłbyś szturm, by odnieść całkowite zwycięstwo. A po zakończeniu naszych gościnnych występów ruszyłbyś dalej, nie oglądając się wstecz. Ona zaś pozostałaby ze złamanym sercem.

— A gdyby stało się inaczej, gdybym się ożenił?

Kertner spojrział na niego, a wzrok jego aż iskrzył sarkazmem.

— A co by na to powiedziała Lenka Hellmann? Na szczęście nie dopuściłaby do tego.

Wigand się wściekł.

— Mnie nikt nie może na nic pozwolić ani niczego zabronić. Jestem całkowicie wolny. Nawet jeśli Helena uczepiła się mnie jak rzep psiego ogona, ja nie dałem jej do tego prawa.

— Pięknie, niech i tak będzie. Ale należy uwzględnić inny, ważniejszy punkt, bracie. Szacowne mieszczuchy pilnie uczęszczają na nasze

przedstawienia, biją nam brawa, śmieją się i płaczą i są wobec nas pełne życzliwości tak długo, jak długo zachowujemy dystans. Ale swoich córek na pewno nie daliby nam za żony i nawet nie można brać im tego za złe.

— Ale przecież i my jesteśmy ludźmi. Kertner uśmiechnął się szyderczo.

— Tak, można powiedzieć, że także jesteśmy. Ale tylko wszędobylskimi komediantami, których należy izolować, trzymać pod kloszem i korzystać z nich tylko w wolnych chwilach. Ale w żadnym wypadku na co dzień.

— Jesteś wielkim pesymistą.

— Może mam do tego pewne prawo. Próbowałem bowiem kiedyś zrobić takie doświadczenie, niestety, wypadło żałośnie. Wówczas broniłem się przeciwko niesprawiedliwym, moim zdaniem, przesądom, odniosłem lekkie obrażenia serca, wreszcie pojąłem i zrozumiałem. Później przeżyłem niejedno, co mnie ostatecznie przekonało. Ci szacowni mieszczanie mają w pewnym sensie rację, z ich punktu widzenia. No, a ja się wówczas pogodziłem z tym, że publiczność będzie akceptowała moje prawo istnienia tak długo, jak długo będę ją bawił. Ale nie wolno mi się posunąć ani o krok dalej.

— Istnieją jednak wyjątki.

— Zapewne, i z powodu tych wyjątków jestem jeszcze dziś całą duszą przywiązany do zawodu aktora. Tylko że wyjątki zdarzają się rzadko, przyjacielu, bardzo, bardzo rzadko. A w tej zapadłej dziurze raczej nie znajdziesz tak rzadkiej rośliny. Ale może jednak ci się poszczęści.

— Jak będzie, tak będzie! W każdym razie oszczędź mi tych swoich ponurych rozważań.

— Masz rację, jeszcze do tego nie dojrzałeś. A więc chodź, pogódźmy się i bądźmy weseli. Możemy sobie na to pozwolić. Interes kwitnie. Jeśli tak dalej pójdzie, to zdarzy się cud.

— Jaki?

— W czasie wakacji dobrowolnie zapłacę dług memu krawcowi. Mam nadzieję, że poczciwca nie trafi szlag z wrażenia.

Wigand się roześmiał.

— Wolałbym jednak do tego nie dopuścić. I chyba bym nie zapłacił.

— Ja jednak to zrobię. Jestem człowiekiem z zasadami, mimo że jestem aktorem. Z przyjemnością spłacam długi, kiedy mam na to pieniądze.

Tymczasem weszli do zarezerwowanej dla nich sali restauracyjnej. Wkrótce nadeszła reszta zespołu, panie i panowie. Zaczęła się wesoła uczta i szampańska zabawa.

Rozdział piąty

Nazajutrz wieczorem grano u państwa Rodecków w skata. Doktor Kruger już nie przychodził, spędzał wieczory u mydlarzy.

Wciąż jeszcze dawano Katarzynie odczuć, że postąpiła bardzo nieodpowiedzialnie, odrzucając propozycję małżeństwa z doktorem.

Ona jednak prawie nie dostrzegała, co się wokół niej dzieje, a nikt z obecnych nie miał pojęcia, jakie myśli i plany kryły się w głowie dziewczęcia.

Joanna od niedawna obserwowała Katarzynę wzrokiem pełnym zazdrości. Kilkakrotnie podchwyciła spojrzenia, jakie jej mąż rzucał w stronę dziewczyny.

Chociaż Katarzyna prawie nie zwracała uwagi na Alberta, Joanna była przekonana, że ona kokietuje jej męża. A w ogóle wolałaby, żeby Katarzyna wyszła za mąż i opuściła dom. Jej Albert tkwił cały dzień w kantorze, mógł więc widywać się i rozmawiać z Katarzyną, kiedy tylko chciał. Kto wie, co się dzieje za jej plecami! Nie ufała Katarzynie.

Lecz mimo całego swego ograniczenia Joanna była na tyle sprytna, że nie zdradziła się przed mężem ze swoim podejrzeniem. Postanowiła jednak, że będzie czujna.

Ciotka posłała Katarzynę do kuchni, by jak zwykle zaparzyła drugi imbryk herbaty. Dziewczyna była w kuchni sama, Lina szorowała schody.

Wówczas Albert wyszedł z bawialni i zatrzymał się przed otwartymi drzwiami kuchni.

— Tak pilnie pracujesz, Katarzyno?

Zaskoczona dziewczyna spojrzała w jego twarz promieniejącą życzliwością. Jej uwagę zwrócił czuły ton jego głosu.

— Szukasz czegoś w kuchni?

Podszedł o krok bliżej. — Nie, to znaczy, ciebie szukam, Kasiu.

— Mnie?

— Tak, ciebie.

— Masz jakieś życzenie? — zapytała spokojnie. Podszedł jeszcze bliżej.

— Chciałem cię o coś zapytać, droga Kasiu.

„Droga Kasia” zrobiła niechętną minę. Nie spodobało jej się zachowanie Alberta, choć nie wiedziała, dlaczego.

— No to pytaj — rzekła krótko.

— Dlaczego odprawiaś Krugera?

— Dostatecznie często wszystkim to tłumaczyłam. Czy to nie wystarcza?

— Nie, Kasiu, powiedz mi, czy kochasz kogoś innego? Twarz Katarzyny poczerwieniała.

„Aha”, pomyślał Albert zwycięsko i przysunął się do niej. Katarzyna zmarszczyła czoło i spojrzała na niego gniewnie.

— Nie masz prawa o to pytać, zrozumiałeś? — rzekła energicznie.

— Kasiu, nie udawaj — szepnął czule.

Jego wzrok i ton głosu zaniepokoiły Katarzynę. Cóż oznaczało owo dziwne przesłuchanie?

— Nie wiem, dlaczego miałabym udawać. Albert nagle położył rękę na jej ramieniu i szepnął:

— Kasiu, tak wypiękniałaś, że...ach, gdybym wiedział, to...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Gniewnym szarpnięciem uwolniła się i spojrzała mu w twarz błyszczącymi gniewem oczami.

— Co ci strzeliło do głowy, czyś ty oszalał?! — zawołała oburzona.

— Na litość boską, Kasiu, nie krzycz tak! Chyba wolno mi powiedzieć, że jesteś piękna, że cię podziwiam — rzekł Albert po cichu, uspokajającym tonem.

— Skończ z tym. Nie porusza mnie twój podziw, tak jak i twoje dotychczasowe lekceważenie.

— Lekceważenie? Ależ, Kasiu, zawsze bardzo cię lubiłem.

— No to bardzo dobrze udawałeś. Bo ja tego nie zauważyłam.

— I to cię uraziło, prawda? Jesteś na mnie zła, że nie spostrzegłem, jaka jesteś piękna?

Katarzyna się wyprostowała.

— Przestań! Nie chcę cię dłużej słuchać, odejdz!

— Ależ, Kasiu! Twój gniew cię zdradził. Masz mi za złe, że się z tobą nie ożeniłem, prawda? Kasiu, byłem głupcem, nie zdawałem sobie sprawy, jaka jesteś urocza.

Katarzyna zbladła z oburzenia, że mógł ją o coś takiego posądzać. W milczeniu wzięła imbryk i chciała wyminąć Alberta.

Wówczas chwycił ją za ramię, podniecony jej oporem.

— Kasiu! Wyrwała mu się.

— Nie dotykaj mnie! Jak ci nie wstyd? — rzekła przyciszonym głosem.

Zanim mógł odpowiedzieć, w drzwiach ukazała się Joanna.

— Jesteś tu w kuchni, Albercie? Czy pomagasz Katarzynie parzyć herbatę? — zawołała uszczypliwie. Zmierzyła przy tym Katarzynę zazdrośnym wzrokiem.

Katarzyna spokojnie minęła oboje i wróciła do pokoju.

— No, może mi powiesz, czego tu szukałeś?

Albert opanował się, udając, że jest urażony w swej męskiej godności.

— Żony nie muszą wszystkiego wiedzieć. Ale powiem ci, czego tu szukałem. Jeszcze raz chciałem przemówić Katarzynie do rozumu w związku z Krugerem.

— Przecież to nie ma sensu, on już się zaręczył.

— Ale takie wypadki mogą się powtórzyć, moje dziecko. Należy temu zapobiec.

Spojrzała na niego nieufnie.

— I bardzo się przy tym, jak widzę, podnieciłeś.

— No tak, człowiek irytuje się taką niemądrą dziewczyną. Cóż to za głupota odrzucać takie wielkie szczęście.

Joanna milczała. Ale nie była przekonana. Jej podejrzliwość na nowo się wzmogła. Postanowiła mieć oczy otwarte. Kiedy potem znów siedziała obok Katarzyny, rzekła do niej:

— Ty i Albert byliście tak zajęci rozmową. Czyba wam przeszkodziłam?

— Bynajmniej — odparła Katarzyna spokojnie.

— Czyba to był ciekawy temat?

Katarzyna spojrzała na nią badawczo. Czy Joanna widziała, co się stało w kuchni?

— Wierz mi, ta rozmowa wcale nie była dla mnie interesująca.

— A o czym mówiliście?

Miało to brzmieć całkowicie niewinnie.

— Zapytaj swego męża, on będzie wiedział lepiej ode mnie — odparła Katarzyna, złożyła swoją robótkę i spytała, czy może odejść. Nikt nie wyraził sprzeciwu.

W swym pokoju Katarzyna podeszła do otwartego okna i spojrzała na rozgwieżdżone nocne niebo.

Zajście z Albertem napełniło ją obrzydzeniem. Zarazem jednak umocniła się jej decyzja, aby jak najprędzej opuścić ten dom.

Z zachowania Joanny wywnioskowała, że jest ona zazdrosna. Naraz jakby otworzyły się jej oczy, nagle uświadomiła sobie także, że Albert już od dość dawna zachowuje się wobec niej jakoś dziwnie. A więc najwyższy czas stąd odejść

Zdecydowała zaraz jutro pójść do pani Anny Berthold. Dowie się jej adresu od gospodarza parku.

Pani Anna Berthold siedziała w swej bawialni, która z przylegającą do niej sypialnią stanowiła całe mieszkanie Bertholdów. Była właśnie zajęta przyszywaniem kolorowej taśmy do czarnej spódnicy, którą miała włożyć tego wieczoru na scenę. Jej pulchne palce manipulowały igłą zręcznie i szybko.

Przed nią na stole stał duży dzbanek z kawą, filiżanka i talerz z rogalikami.

Podczas szycia pani Anna co chwila wzmacniała się potężnym łykiem ulubionego napoju i kęsem rogalika. Potem szyła pilnie dalej.

Na stole znajdowały się różne rzeczy, które niekoniecznie powinny się tam znajdować: pusta butelka po piwie, popielniczka, para mankietów, cwikier, notes, papierośnica, rękawiczki i czapka Anny. Szacowna i bardzo szeroka sofa była również zarzucona odzieżą i gazetami, a na podłodze tkwiły zgodnie obok siebie dwa pantofle i jeden męski but.

Przy drzwiach stał duży kosz podróżny z otwartym wiekiem.

Otwarta była również szafa, w której kłębiła się odzież.

Wydawało się jednak, że pani Anna czuła się w tym bałaganie całkiem swojsko. Twarz jej wyrażała zadowolenie, a małe oczka śmiały się pogodnie i z humorem.

Toaleta jej pozostawiała wiele do życzenia. Miała ona na sobie ciemną spódnicę i barwny ranny kaftanik, który zdawał się pękać w szwach na jej obfitych, okrągłych kształtach.

Starsza pani nucila swym głębokim, niemal basowym głosem melodię operetkową. Z położonej obok sypialni rozlegał się głos Bertholda: „Nie ma nic bardziej godnego pogardy niż szumiąca młodzieńczym zapałem siwa głowa. Często to sobie powtarzałem!” I tak dalej.

Powtarzał swoją rolę na dzisiejsze przedstawienie. Wskutek pokojowego usposobienia miał pewne trudności z opanowaniem roli Orlanda Galotti. Zawsze musiał przedtem wprowadzić się w ponury nastrój.

Anna znała dobrze swego Hieronima. Kiedy miał wieczorem grać taką rolę, zawsze starała się go zirytować jakąś niemiłą sceną. Ta zawsze zgodna para kłóciła się na krótko przed występem i w ten sposób Hieronim wpadał w pożądaną gniewny nastrój.

Było to bardzo dobre małżeństwo. Niespokojna aktorska krew z biegiem lat ustąpiła miejsca pewnej flegmatyczności. W początkach ich małżeństwa nie brakowało burzliwych scen, podobnie jak u wielu innych, nie obeszło się bez awantur. Anna Berthold uciekła nawet kiedyś od swego Hieronima. Ale oboje nie mogli długo bez siebie wytrzymać. Hieronim sprowadził z powrotem swoją Annę i odtąd wszystko układało się coraz lepiej.

Podczas gdy starsza pani pilnie szyła, jej mąż parokrotnie do niej przychodził. Wyglądał niesłychanie śmiesznie. Stary letni płaszcz, który służył mu jako szlafrok, otulał górną część jego ciała. Szyja była odsłonięta, pozbawiona uwierającego kołnierzyka. Stopy tkwiły w dwóch potężnych, zielonych, pluszowych kapciach, które ząb czasu mocno nadszarpnęły, nogi zaś

opinały różowe, trykotowe kalesony. Ten wysoki, tęgi mężczyzna przedstawiał komiczny obraz. Ale Anna nie widziała nic zdrożnego w jego wyglądzie, tak samo jak jego nie raził jej widok.

Hieronim skubnął kawałek rogalika, na próżno rozglądał się za butelką piwa, wreszcie, zrezygnowany, nalał sobie filiżankę kawy. Potem znów wrócił do sypialni, by powtórzyć rolę.

Pani Berthold właśnie skończyła robotę i odetchnęła z zadowoleniem, kiedy ktoś cicho zapukał do drzwi.

Sądząc, że to kolega lub koleżanka, zawołała wesoło:

— Prosimy! Żyd, poganin czy też chrzczony, niechaj wejdzie, kto spragniony!

Drzwi uchyliły się wolno. Na progu stała Katarzyna Rodeck i nieśmiało spoglądała na pokój i na panią Berthold. Anna roześmiała się ubawiona.

— Proszę mi wybaczyć moje żartobliwe zaproszenie. Sądziłam, że to ktoś znajomy do mnie puka. Proszę wejść, czym mogę pani służyć?

Katarzyna weszła i zamknęła za sobą drzwi.

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam.

— Wcale pani nie przeszkadza.

— Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Katarzyna Rodeck.

— Bardzo mi miło, panno Rodeck, kim ja jestem, z pewnością pani wie — rzekła starsza pani, spoglądając z życzliwym uśmiechem na śliczną, poważną twarz dziewczęcia.

— Tak, pani Berthold.

W tym momencie otworzyły się drzwi sypialni i Hieronim wsunął głowę do pokoju. Na widok młodej kobiety cofnął się przerażony, żona jego się roześmiała.

— To był mój mąż, nie jest odpowiednio ubrany, dlatego tak szybko się wycofał.

— A więc jednak przeszkadzam.

— Ani trochę, proszę, niech pani usiądzie. A teraz proszę mi powiedzieć, co panią do mnie sprowadza.

Katarzyna pokonała nieśmiałość i zmieszanie, które obudził w niej widok tak niezwykłego dla niej otoczenia. Jednak czuła się trochę nieswojo, zastając panią Berthold w swobodnym negliżu i w niezbyt porządnym otoczeniu. Mimo woli pomyślała, co ciotka Amelia powiedziałaby o tym aktorskim domu. Ale ponieważ starsza pani bez żenady usiadła naprzeciwko niej i najwidoczniej wcale nie była skrepowana niespodziewaną wizytą, Katarzyna opanowała zdenerwowanie.

Wesołe oczy pani Anny spoglądały z przyjazną ironią na twarz gościa. Kobieta wiedziała, co teraz nastąpi. Katarzyna nie była pierwszą osobą, która przychodziła do niej w tej sprawie.

Ponieważ dziewczyna wciąż jeszcze szukała odpowiednich słów, pani Anna odezwała się spokojnie:

— Pani chciałaby zostać aktorką, prawda, drogie dziecko? Katarzyna spojrzała na nią zdumiona.

— Pani wie...

— Tak właśnie pomyślałam, bo nie wyobrażam sobie, jaką inną sprawę mogłaby mieć śliczna młoda panna do takiej starej kobiety jak ja. A więc, czy moje przypuszczenie jest słuszne?

— Tak, pragnę zostać aktorką. Nie mam nikogo, kogo mogłabym się poradzić, jak osiągnąć ten cel. Dlatego pozwoliłam sobie przyjść do pani. Do pani mam najwięcej zaufania.

— To mi bardzo pochlebia i przyrzekam pani nie zawieść tego zaufania. A więc proszę, niech pani pyta bez skrępowania.

Katarzyna odetchnęła głęboko.

— Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mogłabym zostać aktorką w jak najkrótszym czasie.

Pani Anna cicho się roześmiała.

— Dziecino, nie tak szybko. Czy pani w ogóle ma zdolności?

— Zdolności? Nie wiem. Ale byłabym ogromnie pilna i bardzo uważna. Poza tym tak gorąco pragnę dokonać czegoś wielkiego, pięknego.

Pani Berthold spoważniała. Wzruszyła ją naiwność i brak doświadczenia Katarzyny.

— To nie wystarczy, droga, miła pani. Jeśli nie ma pani naprawdę dużego talentu, a pociąga panią jakaś niepowstrzymana siła, której nie można się oprzeć, to niech pani poszuka sobie jakiegoś innego sposobu zarabiania na życie.

Katarzyna, zgnębiona, spojrzała w zyczliwą twarz starej kobiety.

— Nie chcę podejmować tego zawodu dla zarobku. Jestem zamożna i nie chodzi o pieniądze. Pragnę jedynie mieć jakiś szlachetny cel w życiu, jakiś zawód, który mnie wypełni, pracę, która da mi zadowolenie. Pragnę wydostać się z ciasnego, drobnomieszczańskiego kręgu, z przytłaczającej szarości dnia codziennego. Nie mam nikogo, komu byłabym potrzebna, komu mogłabym sprawić radość. Życie moje jest ubogie i puste, chciałabym je wzbogacić, pogłębić moje wewnętrzne ja, uszlachetnić mego ducha. Słowem, pragnę mieć świadomość, że moje życie nie jest bezwartościowe.

Wesołe zazwyczaj oczy Anny Berthold spoglądały z wielką powagą na piękną, młodą twarz, która się zarumieniła pod wpływem tych żarliwych słów.

— I to wszystko spodziewa się pani znaleźć na scenie? Drogie dziecko, proszę nie brać mi za złe mojej szczerości. Jest pani bardzo niedoświadczona i nierozważna. Skoro jest pani zamożna, ma pani przed sobą niejedną drogę, która doprowadzi panią do realizacji pragnień i ideałów prędzej niż kariera sceniczna. Proszę wierzyć starej, doświadczonej kobiecie. Gdyby nawet miała pani talent, sama by pani później żałowała, że została aktorką. Pani nie ma pojęcia, jak ciernista jest droga, którą pani chce obrać. A pani wcale nie wygląda na osobę, która łatwo przez to przebrnie; zbyt poważne i pełne zadumy są pani oczy. W teatrze trzeba być bardzo pewną siebie, umieć utrzymać się na powierzchni. Mówię oczywiście o aktorach przeciętnych, nie o wybrańcach bogów. Ale nawet tym nielicznym nie były oszczędzone ciernie. Mówię z panią szczerze, ponieważ nie chcę zawieść pani zaufania. Tak więc jeśli to nie jest nieuniknione, to niech pani raczej zrezygnuje z tego marzenia. Nie wszystko złoto, co się świeci. Wyrosła pani zapewne w porządnym, solidnym warunkach; wówczas bardzo trudno podjąć walkę o egzystencję, nie rezygnując z własnej osobowości. Niech pani przynajmniej jeszcze raz to sobie przemyśli. Zresztą pani rodzice chyba nie zezwolą na ten krok.

— Nie mam już rodziców, inaczej nigdy bym ich nie opuściła. A moim krewnym nie muszę się opowiadać.

Pani Berthold patrzyła przed siebie zamyślona, potem rzekła pogodnie:

— No cóż, spełniłam swój obowiązek i ostrzegłam panią. Pani decyzja należy tylko do pani. Teraz odpowiem pani na jej pytanie, jak zostać aktorką. Przede wszystkim należy...

W tej chwili zapukano do drzwi i Georg Wigand wsunął głowę w szparę.

— Wejdz, dyrektorku! Ta młoda osóbką tylko na tym skorzysta, . jeśli potwierdzisz to, co ja jej powiedziałam.

Wigand szybko wszedł do pokoju i uklonił się, ujrawszy błysk w oczach Katarzyny.

— Jestem do usług, łaskawa pani — rzekł swym pięknym, melodyjnym głosem.

Katarzyna oblała się rumieńcem, zdołała tylko bez słowa skinąć głową. Serce jej biło jak szalone, z trudem panowała nad sobą.

Pani Anna opowiedziała Wigandowi w swój dobrotliwie ironiczny sposób, co sprowadziło do niej Katarzynę. Ani ona, ani młoda dziewczyna nie miały pojęcia, że Wigand widział ze swego położonego naprzeciwko mieszkania, jak Katarzyna weszła do domu, i czym prędzej poszedł za nią.

Podczas gdy pani Anna opowiadała, oczy jego przemawiały do Katarzyny śmiałą, ale czarującą mową. Dziewczyna nie mogła oderwać od niego wzroku. Z drżącą błogością w sercu siedziała cichutko i spoglądała w jego piękną twarz. Całkiem zapomniała, po co tu przyszła, pragnęła tylko gorąco, by czas się zatrzymał.

— No więc powiedz teraz sam tej panience, dyrektorku, że nie wyjdzie jej na dobre, jeśli nie da się odwieść od swego planu — zakończyła pani Berthold swą relację.

Wigand popatrzył Katarzynie głęboko w oczy.

— Należałoby najpierw sprawdzić, czy łaskawa pani ma talent. Przecież wcale nie wiesz, czy nie jest powołana do wielkich rzeczy.

— Ach, daj spokój, nie przewracaj dziecku w głowie, synku! Wiesz równie dobrze jak ja, jak to wygląda z tą „wielkością”. Sam też jeszcze nie znalazłeś się na szczycie. A przecież masz wspaniały talent. I czy twój los jest taki wymarzony, czy jesteś szczęśliwy? Nie! A jesteś przecież mężczyzną, to zupełnie co innego. Jaka walka czeka taką młodą, ładną istotę, dopóki nie wykaraska się z najgorszych tarapatów, sam dobrze to wiesz. Bądź uczciwy tak, jak ja. Ta panienka przyszła do mnie z pełnym zaufaniem. Nie chcę jej stwarzać złudzeń. Ale, moje dziecko, nie powinna pani z tego powodu rozpaczać. Ponieważ jest pani zamożna i niezależna, znajdzie pani jakiś piękny i szlachetny cel w życiu także poza sceną.

Wigand nie odrywał wzroku od twarzy Katarzyny. Mimo zmieszania, jej oczy nie potrafiły ukryć, że serce płonie dla niego świętym ogniem. Był tak zachwycony jej uroczym wzrokiem, że w tym momencie nawet nie myślał o bogactwie Katarzyny. Na widok smutnej i bezradnej twarzy dziewczyny zapłonęło w nim prawdziwe, gorące uczucie.

— Moja szanowna koleżanka ma rację, łaskawa pani — rzekł czule. Katarzyna złożyła rękę.

— To taki wspaniały, piękny zawód podnosić ludzi na duchu, sprawiać im radość. Powodować przyśpieszone bicie serca u tysięcy osób, obdarowywać ich szlachetną radością, to cel, do którego warto dążyć.

Wigand przegarnął włosy piękną, wypiełgowaną dłonią.

— Nie wszyscy są tacy wdzięczni i pełni zrozumienia jak pani, łaskawa pani. Miałem przyjemność widzieć panią często w teatrze. Dla pani istotnie warto dać z siebie wszystko, co najlepsze.

— Ach, więc ty już panią znasz?

— Tylko z daleka. Łaskawa pani ma u nas abonament.

— Tak — rzekła Katarzyna, głęboko nabierając tchu. — Było dla mnie rozkoszą oglądanie postaci, w które pan się wciela. To objawienie piękna i wielkości. Już przedtem było mi ciasno i źle w moim małomiasteczkowym otoczeniu, teraz zaś czuję, że muszę się wyzwolić, pragnę wkroczyć w życie wielkie, bogate, chcę być pożyteczna i czynić dobro. Tutaj zginę w tej beznadziejności i ciasnocie umysłowej.

Pani Berthold spojrzała na Wiganda, jakby chciała powiedzieć: „Tu żadna rada nie pomoże”.

Wigand skinął lekko głową. Potem rzekł do Katarzyny:

— Może pani nam przedstawi jakąś próbkę swych zdolności. Proszę wyrecytować jakiś wiersz, który pani pamięta.

Katarzyna spojrzała na niego przerażona.

— Tutaj, przed panem... Nie, nie mogę. Wigand roześmiał się serdecznie, zęby mu zalsniły.

— Ależ, droga, łaskawa pani, publiczności także nie będzie pani mogła sobie wybierać.

„Ale to będą na ogół obojętni mi ludzie”, chciała powiedzieć, ale na szczęście się powstrzymała.

— Muszę się najpierw z tym oswoić, to dla mnie całkowite j zaskoczenie — rzekła cicho. Wyglądała przy tym tak ślicznie, że Wigand j coraz bardziej się w niej zakochiwał.

— Ale chyba może nam pani coś przeczytać. Masz pod ręką jakąś książkę, Anno? O, tam leży tom Goethego. Zobaczymy, co tam jest... Proszę, „Tasso”, niech będzie. Proszę więc to miejsce, łaskawa pani.

Podał jej otwartą książkę i pochylony nad nią wskazał właściwe miejsce. Stał tak blisko niej, że spostrzegł, jak drży ze zdenerwowania.

„Biedna, mała, słodka dziewczynko, twoje serduszko już płonie dla mnie jasnym płomieniem. Wystarczy mi chcieć, a będziesz moja — a ja chcę, chcę!” Tak myślał, cofając się.

Litery skakały Katarzynie przed oczami, widziała wszystko jakby przez czerwoną mgłę. Próbowwała czytać. Ale nie mogła. Coś ją dławiło w gardle. Ze smutkiem opuściła książkę.

— Nie mogę — rzekła cicho.

— Niech się pani nie przejmuje, dziecinko. Może później będzie pani wdzięczna losowi, że zabrakło pani niezbędnej odwagi — pocieszała ją pani Anna z uśmiechem.

Wigandowi zależało na tym, by Katarzynę trochę dłużej zatrzymać i wykorzystać czas. Kto wie, czy taka szczęśliwa okazja jeszcze raz mu się nadarzy!

— Więc najpierw ja to miejsce przeczytam, może później będzie pani mogła — rzekł. Stał przed nią w swobodnej pozie i zaczął czytać:

Czyż brzeg pucharu może wino wstrzymać,
Które się pieni, szumi i przelewa?
Za każdym słowem zwiększasz moje szczęście,
Za każdym słowem jaśniejsze twe oko.
Czuję się w wnętrzu przemieniony cały,
Czuję, że wolny od wszelkiej potrzeby,
Jak Bóg swobodny, a to wszystko tobie,
Tobie zawdzięczam! Niewymowna siła,
Co mną owłada, z twoich ust wypływa,
Tyś mnie całego uczyniła swoim.
Nic odtąd moim z mego „ja” całego,
W szczęściu i blasku me oko zamglone,
Umysł się zachwiał. Ledwie się utrzymam.
Rwiesz mnie ku sobie nieprzepartą siłą
I serce rwie się nieprzeparcie k 'tobie.
Oto całego zdobyłaś na wieki,
A więc też zabierz całą ma istotę!*

*** Przekład Jana Kasprowicza**

Pod koniec Wigand opuścił książkę i mówił na pamięć. I to jak mówił! Pełen ognia i namiętności, kusił, zniewalał, zwyciężał. Oczy podkreślały jego słowa i mówiły Katarzynie: „To wszystko dotyczy ciebie, do ciebie przemawiam, do ciebie czuję to, co Tasso czuł do księżnej!” Katarzyna słuchała jego słów i wiedziała, co zdradzają jego oczy. I ten mały pokoik stał się dla niej dużym, słonecznym namiotem, serce jej śpiewało radośnie, a oczy utkwione były w jego oczach. Zapomniała o całym świecie. Nie ruszała się, by nie rozproszyć tego czaru. A kiedy Wigand skończył, przez jakiś czas siedziała cichutko.

— Może spróbuje pani jeszcze raz — rzekł Wigand łagodnie i podał jej książkę.

Opanowała się.

— Nie — odparła drżąc — nie, nigdy bym tego nie potrafiła, nigdy. Była to zuchwałość z mojej strony, teraz to sobie uświadomiłam. Chyba lepiej, żebym zrezygnowała z mojego pragnienia.

— Georg, naprawdę wspaniale to wyrecytowałeś, nie zawsze ci się tak udaje. Sama słuchałam z zachwytem. Ale teraz przepraszam was na chwilę, muszę zanieść mężowi jego przybory toaletowe.

Katarzyna wstała.

— Dziecinko, niech pani zaczeka, aż uwolnię małżonka z jego więzienia. On także lubi młode, ładne osobki i zrobiłby mi awanturę, gdybym panią puściła, zanim on panią pozna.

I Anna znikła w sypialni.

Katarzyna i Wigand zostali sami. Młoda dziewczyna stała zmieszana, w milczeniu. Wigand wyprostował się stanowczym ruchem. Należało wykorzystać tę chwilę. Szybko do niej podszedł i podniósł jej dłoń czule i namiętnie do ust.

— Łaskawa pani, jakże wdzięczny jestem losowi za ten szczęśliwy przypadek. Czy wie pani, z jakim utęsknieniem myślałem o pani, od kiedy ujrzałem ją w teatrze? Katarzyno, słodka Katarzyno, proszę mi wybaczyć, ale porywa mnie uczucie. Kocham panią gorąco, mocno, niewymownie! Katarzyno, czy zechce pani zostać moją, moją na wieki?

Mówił to wszystko cicho, z obezwładniającą zmysły miłością. Katarzyna drżała ze szczęścia, oczy jej patrzyły na niego promiennie jak obiecujące szczęście gwiazdy. Nie umiała udawać, nie umiała ukryć miłości.

— Kocham pana bardziej niż własne życie! Ale nie jestem pana godna — rzekła cicho.

Porwał ją w ramiona i całował czerwone, lśniące dziewczęce usta.

— Słodka Kasiu, moja ukochana dziewczyno, nie mów tak, jesteś lepsza, szlachetniejsza ode mnie. Ale teraz cicho, nie mamy czasu. Muszę z tobą koniecznie pomówić. Kiedy wyjdiesz, ja wkrótce pójdę za tobą. Czekać na mnie w parku koło teatru, w głębi za żywoptotem. Tam nikt nam nie przeszkodzi. Będiesz? Bardzo cię o to proszę.

Czyż mogła mu odmówić?

— Tak, przyjdę — rzekła po cichu, ale stanowczo i wyraźnie. Odsunął się od niej. Anna Berthold znów weszła do pokoju.

— No, jeszcze chwileczkę, kochanie. Potem nie będę już pani dłużej zatrzymywała. Proszę przyjść do mnie znów, kiedy sobie pani wszystko dokładnie przemyśli. Wówczas jeszcze raz spokojnie porozmawiamy. Ach, oto mój mąż! Chodź tu, Hieronimie!

Przedstawiła ich sobie. Nie uszło jej bystrym oczom, że Katarzyna i Wigand są bardzo zmieszani. Spojrzała na swego młodego kolegę przenikliwym wzrokiem.

„Czyżby miał zamiar wprowadzić zamęt w tej młodej głowie, zbałamucić ją? Ta naiwna dziewczyna w swym dążeniu do wolności gotowa jest popełnić głupstwo. Szkoda by jej było. Helena natychmiast wydrapałaby jej oczy, i w ogóle...”

Ale nie miała wiele czasu na bliższe obserwacje. Katarzyna pożegnała się szybko i wyszła. Wigand jeszcze pozostał.

— Posłuchaj, mój chłopcze — rzekła pani Anna tonem inkwizytorskim — chyba nie zamierzasz zawrócić dziewczynie w głowie?

— Wigand roześmiał się: — Nie, Anno, na pewno nie.

— Byłoby jej szkoda.

— Bardzo szkoda.

— To miła, subtelna istota, tylko trochę za bardzo romantyczna, zapatrzona w ideały. Musi jej się dopiero rozjaśnić w głowie. A więc daj jej spokój.

— Z czym?

— Z umizgami.

— Czy koniecznie?

— Nie wygłupiaj się, mówię poważnie.

— Ja także. Bo pragnę się z tą młodą osobą ożenić.

Anna usiadła, oparła głowę na rękach i spojrzała ku niemu do góry z ironicznym uśmiechem.

— Wierzę ci, że pragniesz. Piękna i... zamożna dziewczyna, młoda, niedoświadczona, miękka jak wosk. Doprawdy, niegłupio to sobie wymyśliłeś. No to naprzód! Nie mogę ci w tym przeszkodzić. Ale co na to powie Helena?

— Przecież wiesz, że nie ma do mnie prawa.

— Ale rości je sobie.

— To jej sprawa, nie moja.

— Zgoda, powiedzmy, że dopniesz swego, i co z tego wyniknie?

— Szczęśliwe małżeństwo. Ja tęsknię do szczęśliwego domowego ogniska. Myślę, że byłbym równie dobrym mężem jak Hieronim.

— Hm, przez krótki czas, owszem. Póki będzie trwał urok nowości. A potem będziesz miał dość, synku. No, na szczęście jeszcze do tego daleko. Ale po co właściwie do mnie przyszedłeś?

Wigand spojrzał na nią komicznie zakochanym wzrokiem.

— Pragnąłem spędzić z tobą czule chwile sam na sam, Anno.

— A idź precz, ty wstrętny kretynie, zwróć swoje piękne oczy na kogoś innego. Hieronimie, wyrzuć go, on się do mnie zaleca!

— Na to może pomóc tylko zimny okład — rzekł jej mąż spokojnie. Wigand zakreślił Anną młynka i pocałował ją mocno w usta.

— Hieronimie, on mnie pocałował! — zawołała Anna, bez tchu opadając na krzesło.

— Skoro mu to odpowiada... Ja wolałbym kogoś młodszego, na przykład tę ładną dziewczynkę, która tu przed chwilą była.

— To potworne!

— Dlaczego?

— Bo taki stary piernik ogląda się za młodymi dziewczynami.

— A ty pozwalasz się całować przystojnym młodym mężczyznom i uważasz, że to w porządku?

— Wolę zwiewać, zanim rozpęta się małżeńska awantura. Żegnajcie i nie pozabijajcie się! Hieronimie, dziś po przedstawieniu urządzimy sobie pojedynek na noże i widelce, ten, kto zje więcej, musi więcej zapłacić. Addio!

— Wybiegł, pozostawiając małżonków samych.

Katarzyna nie wiedziała, jak dotarła do parku. Teraz przechadzała się koło teatru, pomiędzy żywopłotem, i starała się zebrać myśli i jakoś się opanować.

Wigand ukazał się za żywopłotem, stanął tuż przy niej i rozpostarł ramiona.

— Kasiu!

Śmiejąc się i płacząc dziewczyna uwięzła w jego objęciach, pozwalała się całować w usta i odwzajemniała jego pocałunki. Świat dookoła niej przestał istnieć.

Wreszcie z westchnieniem odchyliła głowę i spojrzała na niego rozmarzona.

— Czy to prawda?

— Co, kochanie?

— Że mnie kochasz.

— Tak, kocham cię — rzekł Wigand i w tej chwili sam był mocno przekonany, że to prawda.

Przytuliła się do niego.

— Mój Georg!

— Moja Kasia!

— Skąd wiesz, że mam na imię Katarzyna?

— Twoja wierna Lina mi to zdradziła.

— Ach, kiedy wczoraj z nią rozmawiałeś. Była z tego ogromnie dumna. Co ci jeszcze wypaplała?

— Że jesteś miła i dobra, i że twoi krewni są bardzo surowi. Spojrzała na niego z powagą.

— Surowi i zimni, ach, jacy zimni. Ja zaś zawsze, już jako małe dziecko, pragnęłam być kochana, tęskniłam za czułością. Lecz oni tego nie pojmowali.

Przytulił ją znowu i pocałował.

— Moje słodkie, kochane serduszko, moja biedna Kasia.

— Nie, teraz jestem bogata, taka bogata, że aż mi ciężko pod ciężarem mego szczęścia!

Drżąc spojrzała w jego ciemne, płonące oczy. Uważał, że jest czarująca ze swymi nieco potarganymi włosami, gorącymi ustami i oczami promieniującymi szczęściem.

— Czy twoi krewni nie będą nam robili trudności? Czy nie zabronią ci zostać żoną aktora?

— Nikt mi niczego nie może zabronić. A gdyby nawet chcieli, będę walczyła o swoje szczęście do ostatniego tchnienia.

— Ty słodka istoto! A czy zechcesz możliwie jak najprędzej zostać moją żoną? Bo widzisz, Kasiu, nie mogę ci ofiarować życia pełnego blasku. Lecz tęskno mi do przytulnego domu, jeśli nawet będzie to dom skromny. Czy zechcesz mi stworzyć takie ognisko? Ach, Kasiu, gdybyś wiedziała, jaki jestem spragniony ciepła rodzinnego, normalnego, uregulowanego życia. Kiedy człowiek jest sam, nie może usiedzieć w domu. Wówczas ucieka i wydaje więcej pieniędzy, niż posiada. Ale z tobą byłoby inaczej, prawda? Czy zadowolisz się skromnym bytowaniem?

Katarzyna spojrzała na niego z uśmiechem.

— Ach, jak to dobrze, że jestem zamożna, kochanie. Jakże się cieszę, że teraz życie twoje będzie pozbawione trosk, kochanie.

— Cieszę się, że nie jesteś biedna, ale tylko ze względu na ciebie — Wigand sam wierzył teraz w to, co mówił — i tylko dlatego, że nie będziesz musiała rezygnować z dotychczasowych przyzwyczajzeń. Ale czy krewni pozwolą ci dysponować bez przeszkód majątkiem?

— Nie mają prawa mi tego zabronić. I wuj Karol tego nie zrobi. Będzie na mnie zły, bardzo zły za to, że chcę wyjść za ciebie, ciocia także. Niezbyt szanują wasz stan. Ale pozwolą mi odejść, spokojnie i obojętnie, i będą radzi, że już nie muszą ponosić za mnie odpowiedzialności. Kiedy im oświadczę, że się z tobą zaręczyłam, nie obejdzie się bez gorzkich słów. Na to muszę być przygotowana. I proszę cię, byś na razie nie przychodził do wuja. Nie chciałabym, aby cię spotkała przykrość z jego strony, nie mogłabym tego znieść. Pozwól, że najpierw sama z nim pomówię.

— Niech się stanie jak chcesz. Ale czy nie będą usiłowali nastawić cię wrogo wobec mnie?

Objęła go i spojrzała swymi pięknymi, poważnymi oczami.

— Nie, i nikt nie potrafi odwieść mnie od decyzji należenia do ciebie.

— Tak bardzo mnie kochasz? Oczy jej załśniły.

— Georg, kocham cię tak, że mogłabym oddać za ciebie życie, nawet teraz, kiedy ono jest takie piękne.

— Od jak dawna mnie kochasz?

— Sądzę, że od chwili, kiedy cię po raz pierwszy ujrzałam.

— Jako Romea?

— Tak.

— Czy zauważyłaś, że grałem wtedy tylko dla ciebie?

Skinęła głową zatopiona w marzeniach i uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

— Czy wiedziałaś już, że cię kocham?

— Nie. O tym nie myślałam. Ale wtedy zrozumiałam, że to, co do ciebie czuję, to miłość.

Wigand przytulił ją do siebie. Znowu zaczęli się całować. Świeża, nieskalana uroda Katarzyny upajała go. Czuł, że ona jest dobra i czysta, że duszę ma jasną i krystaliczną jak górskie jezioro. Spotkał się z czymś całkiem niezwykłym, i to wprawiało go w zachwyt. Jego serce, które tak łatwo się rozpałało, należało teraz całkowicie do Katarzyny.

Pragnął ją uszczęśliwić, mocno to postanowił. Przecież to takie łatwe — i takie przyjemne.

Katarzyna wreszcie sobie przypomniała, że powinna wracać do domu. Umówili się, że pojutrze spotkają się tutaj o tej samej porze, bo trzeba omówić tyle spraw. Kiedy już przeprowadzi rozmowę z wujem, powiadomi go przez Linę, jak przyjęto jej oświadczenie o zaręczynach.

Jeszcze jeden pocałunek, jedno czułe spojrzenie. Potem Wigand z uśmiechem poprawił jej kapelusz i przygładził włosy.

— Masz piękne, miękkie włosy. Ale kiedy zostaniesz moją żoną, będziesz je układała całkiem inaczej. Takie wspaniałe włosy musi być widać. No już dobrze, idź, kochanie, pojutrze się zobaczymy.

Pocałował ją w usta, w ufne, promienne oczy, po czym Katarzyna szybko odeszła.

Gdy mijała bramę parku, Adi Kertner szedł właśnie aleją. Spojrzał na nią poważnym, badawczym wzrokiem. Potem udał się przez park do garderoby teatralnej. Zostawił tam wieczorem papierośnicę i chciał ją zabrać.

Kiedy ujrzał, jak Wigand przemierza park, gwizdnął cicho przez zęby.

„A więc i ta? One wszystkie są jednakowe.” Roześmiał się gniewnie.

— Gratuluje, znów pochwyciłeś gąskę w swe sieci! — zawołał do Wiganda, mierząc go dziwnym wzrokiem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Kertner wskazał palcem przez ramię.

— Ta urocza piękność z pierwszych rzędów krzeseł spotkała się z tobą oczywiście przypadkiem? Jak to człowiek może się mylić. Oceniałem ją wyżej. Ale jestem dyskretny, nic nie widziałem.

— Nie musisz zachowywać tajemnicy, Katarzyna Rodeck jest moją narzeczoną.

Kertner podniósł brwi, po czym zmrużył oczy. Przez na wpół przymknięte powieki spoglądał chwilę w twarz Wiganda.

— Do licha, moje najwyższe uznanie! Więc jednak dała się wziąć na lep. Biedna, naiwna dziewczyna.

— Daj spokój z tymi głupimi żartami! — zaperzył się Wigand.

— Ach, tak, więc sądzisz, że żartuję? O nie, mój drogi, naprawdę jest mi żal tej dziewczyny, nie wie, co ją czeka. Czy nikt nie może temu przeszkodzić? Mam na myśli jej krewnych.

Wigand odrzucił głowę do tyłu.

— Na szczęście nie, chociaż wiem, że byś tego pragnął. Chyba nie zazdrościsz mi szczęścia tylko dlatego, że sam nie możesz zdobyć dziewczyny?

Kertner spojrzał na niego, oczy mu błyszczały.

— No tak, teraz mi przygadałeś. Aleja ci odpowiem. Rzeczywiście, nie życzę ci szczęścia, bo nie potrafisz go docenić. Nie minie rok, a będziesz miał dość swojej żony. Przecież cię znam! Co do mnie, lepiej o tym nie mówmy. Ty i tak tego nie zrozumiesz. — Potem Kertner ciągnął dalej pogodnie: — Ale po co ta wrogość, kolego. Jesteś szczęściarzem. Teraz już wiadomo, do kogo w przyszłości będzie można zwracać się o pożyczkę.

— Ale jesteś złośliwa bestia! Gdybym nie wiedział, że zawsze sobie kpisz, że te sarkastyczne uwagi poprawiają ci samopoczucie, to bym się na ciebie wściekł.

— Daj spokój! Złość piękności szkodzi, robią się od tego zmarszczki. No to cześć, idę do swojej garderoby. A ty chyba zmierzasz do domu?

— Oczywiście.

I tak się rozstali.

Kertner poszedł krótkim, elastycznym krokiem dalej przez park ku garderobie. Miał ponurą minę i wymachiwał laską w powietrzu, jak gdyby chciał coś od siebie odpędzić.

„Biedne, naiwne dziecko, ale zrobi oczy, kiedy ten idol ukaże jej swe prawdziwe oblicze”, myślał ze współczuciem. Zbyt dobrze znał swego kolegę.

Rozdział szósty

Stało się coś niesłychanego. Katarzyna spóźniła się na obiad o dziesięć minut. Wuja i ciotkę wprawiło to w stan najwyższego oburzenia. Jedli już zupę, kiedy dziewczyna weszła i wypowiedziawszy słowa przeprosin, zajęła swoje miejsce.

Przez zaciśnięte usta starszych państwa nie przeszło ani jedno słowo nagany. Ale ich milczenie wyrażało surowe potępienie takiego zachowania.

Lina przyniosła jej talerz zupy. Była również przejęta tym niesłychanym wydarzeniem i nie mogła pojąć, że wszystko przeszło tak spokojnie.

Posiłek przebiegał w milczeniu. Lina posprzątała ze stołu, a Katarzyna zaparzyła kawę, którą pan domu pijał zaraz po obiedzie. Kiedy przyniosła kawę i postawiła przed wujem, rzekła tak spokojnie, jak to było tylko możliwe:

— Wuju Karolu, ciociu Amelio, pragnę powiedzieć wam coś bardzo ważnego. Czy zechcecie łaskawie mnie teraz wysłuchać?

Karol Rodeck powoli upił łyk kawy.

— Jeśli przedstawiś sprawę krótko, to proszę, mów — rzekł chłodno, nie patrząc na dziewczynę.

— Tak też zrobię. Chcę was powiadomić, że dzisiaj się zaręczyłam. Stąd moje spóźnienie na obiad.

Starsi państwo poderwali się i wlepili w nią osłupiały wzrok.

— Co takiego?!

— Z kim?!

— Z panem Georgiem Wigandem.

— Z Georgiem Wigandem? A któż to taki? Skąd znasz tego pana Wiganda i w ogóle czemu te pospieszne zaręczyny?

— Mój narzeczony jest aktorem. Małżonkowie jednocześnie opadli na krzesła.

— Aktorem?

— Aktorem?

Twarz starszego pana zastraszająco się zaczerwieniła. Ciężko dyszał, szarpnął kołnierzyk, jak gdyby się dusił.

— I nie wstydzisz się powiedzieć nam czegoś takiego? Chcesz poślubić aktora, błazna, komedianta? To niesłychane!

Katarzyna zbladła. Mimo to pozornie zachowała spokój, ponieważ była przygotowana na coś jeszcze gorszego.

— Nie masz prawa tak do mnie mówić, wuju. Mój narzeczony jest człowiekiem honoru. Kochamy się i nie musimy się wstydzić naszego związku.

— Człowiek honoru, piękny mi człowiek honoru, który za naszymi plecami nawiązuje z tobą romans!

— To nie jest tak. Otwarcie i uczciwie zapytał mnie dzisiaj, czy zechcę zostać jego żoną. Przyrzekłam mu to, i jeśli nie masz nic przeciwko temu, to dziś jeszcze przyjdzie i formalnie poprosi cię o moją rękę.

— Mam bardzo wiele przeciwko temu. Stanowczo sprzeciwiam się związkowi, który okryje nas hańbą! Co ludzie na to powiedzą?

— Nie masz prawa się przeciwstawiać. Hańbą was nie okryję, ponieważ nasze zaręczyny są uczciwe. A w moim postępowaniu nie mogę się kierować tym, co ludzie powiedzą.

Karol Rodeck uderzył dłonią w stół.

— No dobrze, pokażesz teraz, jaka naprawdę jesteś. Zawsze się buntowałaś przeciwko nam. Teraz doprowadzasz do szczytu swoją niewdzięczność, wystawiając nas na szyderstwo ludzi. Ale powiadam ci, ten pajac nie przestąpi progu mojego domu. Zapamiętaj to sobie! Musisz wybierać między nami a tym panem Wigandem.

Katarzyna wybuchnęła gorzkim śmiechem.

— Nie utrudniajcie mi wyboru. Gdybyście przynajmniej zechcieli być wobec mnie sprawiedliwi. Ale nie, za dużo wymagam! Nie potraficie mnie zrozumieć, tak samo jak ja was.

— Jesteś i pozostaniesz egzaltowaną wariatką! — zawołała ciotka zjadliwie i zmierzyła Katarzynę pogardliwym wzrokiem.

Dziewczyna zacisnęła mocno dłonie.

— Nie mam zamiaru, ciociu, przekonywać cię, że nie masz racji.

— Byłby to daremny trud.

— Proszę, spróbujcie przynajmniej porozmawiać ze mną spokojnie o tej sprawie.

— Spokojnie? Aż się trzęsę z oburzenia — rzekł Karol Rodeck i dodał spokojniej, ale kłującym, lodowatym głosem: — Jedno ci powiem, jeśli nie zerwiesz tych zaręczyn, to my raz na zawsze zerwiemy z tobą. Nie mam ochoty nawiązywać stosunków rodzinnych z komediantem.

— Wobec tego przyjdzie mi się pogodzić z tym rozstaniem. W takich okolicznościach nie mogę pozwolić, by mój narzeczony prosił was o moją rękę.

— Chętnie z tego zrezygnuję — szydził starszy pan.

— Czy żądasz, abym natychmiast opuściła twój dom, czy też pozwolisz mi tu zostać aż do ślubu? W tej sytuacji nastąpi to możliwie jak najprędzej."

— Możesz pozostać tak długo, jak uznasz to za konieczne, ale musisz mi przyrzec, że ten... aktor nie przestąpi progu mego domu.

— On tu nie przyjdzie.

— W porządku. Ale zapamiętaj sobie, ślub nie odbędzie się u mnie. Od chwili, kiedy opuścisz mój dom, by zostać jego żoną, wygasają wszelkie związki między nami, rozstajemy się na zawsze.

— Jeśli taka jest twoja wola, wuju! Nie będę dla was ciężarem dłużej, niż to jest niezbędne.

— To wszystko przez to przeklęte latanie do teatru! — zawołała pani Amelia złościwie. — Co za hańba! Przyzwoita dziewczyna nie rzuca się w ramiona jakiegoś nicponia.

Katarzyna się wyprostowała. Również w jej oczach błysnął teraz gniew.

— Ciociu, proszę, możesz mną pomiatać, ile chcesz, nie będę się bronić. Ale nie pozwolę obrażać mojego narzeczonego. Nie możecie pojąć jego wielkości, stoi zbyt wysoko ponad wami wszystkimi. A ja wcale nie zniżam się do niego, to on mnie unosi w górę ku sobie.

Pani Amelia wybuchnęła szyderczym śmiechem.

— Jesteś głupia. Ale kiedyś zapłacisz za swoją głupotę i słusznie będzie ci się to należało.

Wyszła i trzasnęła drzwiami.

Postanowiła pójść do Joanny i jej matki, by zawiadomić je o tym niesłychanym skandalu.

Także Karol Rodeck wstał.

— Będziesz musiała być ze mną w kontakcie w sprawach finansowych. Gdzie masz zamiar zamieszkać?

— Mój narzeczony jest na stałe zaangażowany w Chemnitz.

— W porządku, więc twoje pieniądze przekażę do tamtejszego banku, kiedy już tam będziesz. Jeśli będą ci potrzebne pieniądze na wyprawę, to powiedz.

— Dobrze, dziękuję.

— Nie dziękuj. Nie przystoi ci wymawiać słów wdzięczności. Nie sądziłem, że spotka mnie z twojej strony taki afront. Odrzuciłaś pewną egzystencję u boku wielce szanowanego człowieka, a wiążesz się z aktorem.

— Bo w nim widzę swe szczęście — rzekła Katarzyna dobitnie.

— Teraz tak sądzisz w swoim zaślepieniu. Sama sobie będziesz winna, jeśli doznasz rozczarowania. Takie małżeństwa nigdy się dobrze nie kończą, z tobą też nie będzie inaczej. Wtedy przypomnisz sobie, co ci powiedziałem. Nam nie będzie można niczego zarzucić, sama tego chciałaś.

Z tymi słowami wuj wyszedł z pokoju.

Katarzyna stała, patrząc w ślad za nim. Nie mieli dla niej ani jednego dobrego słowa, nie życzyli szczęścia. Zaręczyny jej przyjęli jako hańbę, jako

zbrodnię. A niech tam! Miała teraz miejsce, dokąd mogła się udać, gdzie mogła zapomnieć o całym świecie. Z gorącą tęsknotą myślała o ukochanym. Myśl ta łagodziła całą gorycz.

Gdy usłyszała, jak drzwi wejściowe zatrzęsnęły się za wujem, wyrwała się ze swego przygnębienia. Zebrała naczynia po kawie i odniosła do kuchni. Lina właśnie zmywała. Zwróciła do Katarzyny zatroskaną twarz.

— O Boże, panienko, tym razem państwo byli okropnie zagniewani. Jak panienka mogła się spóźnić na obiad.

Katarzyna uśmiechnęła się do tej poczciwej starej służącej.

— To jeszcze nie wszystko, Lino. Zrobiłam coś jeszcze gorszego.

— Na litość boską, co się stało?

— Zaręczyłam się, Lino, z panem Wigandem, z tym, który podarował ci bilet do teatru.

— Ojej... no nie, panienko, naprawdę? Z tym wytwornym panem? Teraz Katarzyna się roześmiała.

— Właśnie z tym, Lino. Wuj i ciotka uważają, że on nie jest dość wytworny. Lina osłupiała.

— To dlatego, że państwo nie chodzą do teatru. Gdyby go widzieli jako księcia! Co prawda te krótkie spodnie... No, panienko, ja jednak pragnę pani powinszować. Na pewno będzie panienka szczęśliwa, bo jest panienka taka dobra, i pani narzeczony także.

Uścisnęła dłoń Katarzyny swymi mokrymi od mydlin rękami, a dziewczyna tak się ucieszyła z tych pierwszych życzeń szczęścia, że uściskała staruszkę i serdecznie ucałowała ją w policzek.

— Dziękuję ci, moja poczciwa Lino. A dziś wieczorem, po skończonej pracy, poproszę cię, abyś zaniósła list do mojego narzeczonego, dobrze?

— Bardzo chętnie, panienko. Wobec tego się pośpieszę. Ach, tak, co to ja chciałam powiedzieć... Czy wolno mi o tym opowiadać?

— Nie mam nic przeciwko temu.

— No to dobrze. Ale Jette od burmistrza zrobi wielkie oczy, jak jej o tym powiem.

I Lina już z błogością myślała o sensacji, jaką wywoła swoją nowiną, i zastanawiała się, komu jeszcze mogłaby ją opowiedzieć.

Katarzyna poszła do swego pokoju i napisała liścik do narzeczonego. W oględny sposób przedstawiła mu, jak wypadła jej rozmowa z wujem, i poprosiła, by zawiadomił panią Annę Berthold o ich zaręczynach. Tajemne schadzki muszą się teraz skończyć. W tym małym miasteczku szybko by się to rozniosło, a nie chciała dawać powodów do plotek. I tak będzie dostatecznie

dużo gadania, kiedy ich zaręczyny wyjdą na jaw. Przyjdzie nazajutrz o dwunastej do pani Berthold, by się z nim zobaczyć. Na koniec raz jeszcze zapewniła go o swej głębokiej, szczerzej miłości i dziękowała mu za wszystko ze wzruszającą pokorą.

List ten zaniósł Lina przed wieczorem do mieszkania Wiganda. Poprosił ją, by jak najserdeczniej podziękowała Katarzynie i że wszystko załatwi zgodnie z jej życzeniem.

Jeszcze tego samego wieczoru po przedstawieniu, gdy wszyscy członkowie zespołu byli obecni, Georg Wigand oznajmił o swoich zaręczynach.

Koledzy byli trochę zaskoczeni, Helena Hellmann zaś dostała ataku płaczu. Trzeba było ją odprowadzić do domu. W związku z tym incydentem gratulacje wypadły dość wymuszenie. Jakoś nie było wesołego nastroju, choć Wigand postawił szampana i obiecał kolegom, że po ślubie urządzi wspaniałe przyjęcie. Co prawda dziękowano mu hałaśliwie i przesadnie, ale potem znów zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, że panna Hellmann liczyła na Wiganda. I choć nie można mu było niczego wprost zarzucić — było to jednak przykre i wszyscy współczuli koleżance.

Kertner siedział poważny i zamyślony. Po jego twarzy od czasu do czasu przebiegało drżenie zapowiadające burzę. Była to jedyna oznaka, że cała sprawa mu się nie podoba. Paul Hartenberg udawał wielką rozpacz, bo teraz jego ubóstwiana ostatecznie jest dla niego stracona. Anna Berthold złożyła Wigandowi ironiczne gratulacje. Ale od razu się zgodziła, kiedy Wigand ją poprosił, by wzięła jego narzeczoną pod swoje opiekuńcze skrzydła.

— Masz nieprzyzwoite szczęście, dyrektorku. Miejmy nadzieję, że okażesz się jego godny i że dziewczyna będzie z tobą szczęśliwa — powiedziała poważniej, niż to miała w zwyczaju.

Wszystko to sprawiło, że Wigand czuł się dość nieswojo. Zbyt szybko się pośpieszył z tymi zaręczynami. Sprawa z Heleną wcale nie była mu taka obojętna, jak udawał. Dziewczyna była mu oddana jak wierny pies i nie chciała nikogo innego, choć nie brakło jej adoratorów. Przede wszystkim była cenną i mądrą partnerką, dostosowywała się do jego sposobu gry i wprawiała go w odpowiedni nastrój. Póki występował z nią, nie istniała dla niego żadna inna kobieta. Ona to wiedziała i wiązała z nim duże nadzieje.

Gdy Wigand wypił pierwszy kieliszek szampana za zdrowie swojej narzeczonej, wstał Kertner. Na ustach miał ironiczny uśmiech, nozdrza mu drżały.

— A więc za szczęście i pomyślność twojej narzeczonej. Bardzo jej potrzeba, abyśmy za to wypili.

Wyrzekł te słowa, wychylił kieliszek do dna i cisnął nim o ścianę. Po czym znowu spokojnie usiadł.

Rozeszli się bardzo wcześnie. Hartenberg zbyt gorliwie topił swój ból miłosny w szampanie, tak że Kertner musiał go zaprowadzić do domu. Po drodze Hartenberg dawał upust swemu „rozdartemu, osamotnionemu” sercu. Kertner słuchał spokojnie. Kiedy dotarli do mieszkania Hartenberga, Kertner otworzył drzwi i wepchnął go do środka.

— Ach, słuchaj, Adi, kocham tę cudowną dziewczynę, wiesz, naprawdę ją kocham, i posłuchaj, ten Wigand to łajdak. Ach, jaki ze mnie biedny, nieszczęśliwy człowiek!

— Kochany, jesteś najprawdziwszym osłem, idź spać — rzekł Kertner oschle i zamknął za nim drzwi, dając drągalowi na pożegnanie przyjacielskiego kuksańca.

Minęło kilka tygodni od zaręczyn Katarzyny. W domu wujostwa sprawę tę całkowicie ignorowano. Także burmistrzostwo i Albert z Joanną nie złożyli jej gratulacji. Ciotka Amelia mijala ją w ciągu dnia milcząca i zimna. Podczas posiłków nikt nie odzywał się do niej ani słowem. Kiedy zbierano się w sobotnie wieczory, Katarzyna podawała do stołu, po czym odchodziła do siebie. Zachowanie krewnych już jej prawie nie sprawiało przykrości.

Wszyscy uważali, że mają prawo tak postępować. Nie zdawali sobie sprawy ze swojej bezduszości. W ich oczach Katarzyna była lekkomyślną, niewdzięczną istotą.

Ludzie ci nie zdołali pojąć, jak czysta i szczerą była miłość tej dziewczyny, że dusza jej zwracała się ze świętym, gorącym uczuciem ku człowiekowi, który obdarzył ją miłością.

Dla Katarzyny Wigand był bohaterem, ideałem, wspaniałym, szlachetnym duchem — dla jej krewnych był jedynie wagabundą i awanturnikiem.

Ci ludzie w swej krótkowzroczności nie zdawali sobie sprawy, że właśnie przez takie zimne i wrogie postępowanie wypychają Katarzynę z domu w jego ramiona.

Katarzyna ustaliła z Wigandem, że ślub odbędzie się w możliwie najkrótszym czasie. Gościnne występy wkrótce się kończyły. Natychmiast po powrocie do Chemnitz miał dać na zapowiedzi. Zamierzali wziąć cichy ślub. Na razie młoda para postanowiła wynająć umeblowane mieszkanie, potem Katarzyna sama chciała urządzić dla nich ognisko domowe.

Młoda dziewczyna, bezgranicznie szczęśliwa, snuła plany na przyszłość. Uwielbiała swego narzeczonego. Jego czuły, rycerski sposób bycia, jego gorące słowa miłości, szeptane, kiedy byli sami — wszystko to było dla mej czymś

nowym i niezwykłym. Dla człowieka, który zwykł był igrać z sercami kobiet, było czymś dziecinnie łatwym oczarować jej młode, niedoświadczone serce.

Zresztą on sam im bardziej poznawał Katarzynę, tym mocniej ją kochał. Zachwycała go jej niewinność idąca w parze z bezgraniczną czułością. Nigdy dotąd nie zetknął się z taką kobietą, doznawał więc wciąż czegoś nowego. Był szczerze zakochany w swojej pięknej narzeczonej i cieszył się na nowy przytulny dom, który pragnęła mu stworzyć. Wyobrażali sobie, jak urządzią pokoje. Oczywiście, będą utrzymane w guście Wiganda, tego Katarzyna domagała się stanowczo.

— Wiesz, kochanie, tutaj tak niewiele widziałam ładnego. Ty się lepiej na tym znasz — mówiła z uśmiechem. A on chętnie na to przystał. Nie orientował się, ile wynosi majątek Katarzyny. Mimo wszystko chętnie by się tego dowiedział. Nie mógł jednak wprost ją zapytać, a Katarzynie nie przyszło do głowy, by mu powiedzieć. Wydawało jej się, że to nie jest ważne.

Pewnego razu, kiedy sobie wyobrażali, jak będzie wyglądał ich przyszły dom, Wigand zapytał ze śmiechem:

— Powiedz, Kasiu, czy to nie wypadnie za drogo? Przecież wiesz, że jestem biedny jak mysz kościelna. Muszę tobie pozostawić wszelkie wydatki.

Roześmiała się cicho.

— Ile też może kosztować takie urządzenie? — zapytała. Wigand przez chwilę się zastanawiał.

— Jeśli policzymy wszystko, meble, bieliznę, sprzęt domowy, dywany i obrazy, wypadnie około dziesięciu tysięcy marek.

— Ach, jeśli tyle, to nie jest aż tak drogo — odrzekła Katarzyna beztrąsko.

— Dziewczyno, mówisz tak, jakbyś była krezusem — rzekł z uśmiechem.

— Bo też jestem, Georg. A w ogóle to po co by mi były pieniądze, gdybym nie mogła ci stworzyć przytulnego domu?

Wigandowi zrobiło się przyjemnie na myśl o majątku Katarzyny. Z uśmiechem, ale jak biedny grzesznik, wyznał jej, że ma długi — prawie trzy tysiące marek. Roześmiał się przy tym.

— No to uregulujemy je natychmiast, kiedy się pobierzemy. Nie dręcz się już tym. Na przyszłość nie będziesz musiał zaciągać długów, to, co jest moje, będzie należało także do ciebie.

Przytulił ją mocno.

— Kochanie! Cieszę się, że nie będziemy musieli skąpić. Wiesz, pragnę być zupełnie szczerzy, ale gdybyś nie miała pieniędzy, jeszcze długo nie moglibyśmy się pobrać. Moja gaża nie starczyłaby dla nas obojga.

Katarzyna westchnęła uszczęśliwiona.

— Chwała Bogu, że nie jestem biedna, że mogę pomóc tobie i sobie — rzekła wesoło.

Wigand był zadowolony.

O Boże, jakie to musi być cudowne uczucie żyć bez długów i wszelkich trosk! Dopiero wtedy rozwinie się naprawdę jako artysta, kiedy nie będzie go już przygniatała do ziemi ta podła bieda. Chciał odwdziaczyć się Katarzynie, chciał naprawdę uczynić ją szczęśliwą.

Helena Hellmann na pozór zachowywała się wobec niego z opanowaniem. Nigdy nie dała po sobie poznać, jak głęboko ją zranił. Ale czasami, kiedy go obserwowała, w jej oczach błyskał tajemny ogień.

Pewnego razu ujrzała go z Katarzyną na ulicy. Pobladła na ich widok, ale spokojnie odpowiedziała na jego ukłon.

— To była panna Helena Hellmann, prawda, Georg?

— Tak.

— Jest bardzo piękna i cudownie gra.

— Piękna? Nie, kochanie, pod tym względem nie dorównuje tobie. Puder i szminka mogą wiele. Ale na pewno jest dobrą aktorką.

— Chętnie z nią grasz, prawda?

— Tak, ona ma głębokie wyczucie i świetnie umie się dostosować. Jako partnerka na scenie stała mi się prawie niezbędna.

— Wierzę ci. Jest też chyba dobra i szlachetna? Wigand się uśmiechnął i przycisnął do siebie jej ramię.

— Dla ciebie wszyscy ludzie są dobrzy i szlachetni.

— Nie, nie wszyscy, Georg, ale panna Hellmann...

— No, dajmy temu spokój, kochanie. Powiedz mi lepiej coś miłego, bo zaraz musimy się rozstać.

Katarzyna uśmiechnęła się do niego i spojrzała czule. Nie mogła znaleźć słów.

— Moja droga Kasiu, obyś wreszcie została moją żoną! Jeszcze prawie dwa miesiące czekania...

Potem pożegnali się, ściskając sobie dłonie i spoglądając głęboko w oczy.

Ostatni raz przed odjazdem Wigand spotkał się z Katarzyną u Bertholdów. Przyszła przed nim. Pani Anna już się pakowała i jęczała przy tym żałośnie.

— Ach, to przekłete pakowanie! — zawołała do Katarzyny, która właśnie weszła. — Proszę mi wierzyć, dziecinko, to krzyż pański! Ledwie się człowiek gdzieś zadomowi, a już znów musi zwijać żagle. A jaką masę rupieci trzeba ze sobą taszczyć! A jeśli się nie weźmie wszystkiego, to zabraknie akurat tego, czego się nie zabrało.

Katarzyna z uśmiechem spojrzała na panujący w pokoju bałagan. Potem szybko zdjęła kapelusz i rękawiczki, położyła na stole i zaczęła pomagać przy pakowaniu.

— Droga pani Berthold, wspólnie zrobimy to znacznie prędzej. Niech pani lepiej chwilę odpocznie. Widzę, że na stole stoi świeżo zaparzona kawa.

— Prawda, w tym ferworze całkiem zapomniałam. Zaraz muszę. ..

Nalała sobie filiżankę i z westchnieniem opadła na krzesło.

— Nie da się ukryć, że człowiek się starzeje.

— Wcale tego po pani nie widać. Na scenie wygląda pani całkiem młodo. Zapewne była pani bardzo piękną dziewczyną.

Pani Anna uśmiechnęła się. Najwyraźniej jej to pochlebilo.

— Tak, nieraz mi to mówiono, moje dziecko. Ale to dawne czasy. Kiedy się dobiega sześćdziesiątki, nie ma się co łudzić.

Katarzyna zaskoczona, podniosła wzrok.

— Ma pani już tyle lat?

— Tak, tak, złotko. W przyszłym roku kończę sześćdziesiąt lat. Ale niech pani tego nie rozpowiada. W teatrze nie wolno się starzeć, dlatego też trzeba udawać, że się jest młodszym. Uchodzę za pięćdziesięciolatkę. A mój mąż jest starszy ode mnie o trzy lata. On też musi udawać młodszego. Inaczej wyrzucono by nas na złom jako niepotrzebne wraki. A gdybyśmy nie mogli występować, to lepiej w ogóle nie żyć.

— Tak bardzo kochają państwo swój zawód?

— Tak, dziecko, człowiek w końcu się z nim zrasta. Ale widzę, że pani ukochany przechodzi przez ulicę. Zaraz się tu zjawi i trzeba będzie się pożegnać.

— Tylko na krótko, za miesiąc przyjadę do Chemnitz. Droga, miła pani Anno, zanim Georg przyjdzie, chciałam pani serdecznie podziękować za dobroć, jaką mi pani okazała. Traktowała mnie pani jak kogoś bliskiego. Nie wiem, jak się pani za to odwdzięczę.

— Już dobrze, dobrze, dziecinko, chętnie to robiłam. Jest pani miłą, dobrą dziewczyną. A kiedy, pani przyjedzie do Chemnitz, Anna Berthold zawsze będzie gotowa pani pomóc. W nowych warunkach może się pani znaleźć w sytuacji, kiedy nie będzie pani wiedziała, co począć. Proszę wtedy przyjść do mnie. Jeśli zdołam, pomogę pani.

Katarzyna ujęła jej rękę i mocno, serdecznie uścisnęła w swoich dłoniach. Czuła, że starsza kobieta jest jej życzliwa. W tej chwili wszedł Wigand.

— Ojej, wygląda tu jeszcze bardziej beznadziejnie niż u mnie! Dzięki Bogu, że cię widzę, skarbie. Przynajmniej twój widok cieszy serce.

Wziął Katarzynę w ramiona i spojrzał jej czule w oczy.

— Anno, odwróć się na chwilę! Chcę pocałować moją narzeczoną — rzekł z uśmiechem.

Anna Berthold nie ruszyła się z miejsca.

— Ani myślę. Za swoje usługi jako przyzwoitka chcę przynajmniej zobaczyć coś ładnego. Ale zróbcie to szybko, bo słyszę, że Hieronim już idzie po schodach, więc będziecie mieli dwóch świadków.

Gdy Hieronim wszedł, po pierwszym pocałunku nastąpiły dalsze. Teraz Katarzyna, zarumieniona, uwolniła się z ramion Wiganda i przywitała się ze starszym panem. Hieronim z uśmiechem poklepał jej dłoń.

— Za każdym razem wydaje mi się, że w naszym tak zwanym salonie robi się jaśniej i słoneczniej, kiedy pani jest tutaj, panno Katarzyno.

— No, posłuchajcie tylko tego bałamuta, jak to uwodzi młode dziewczęta. Poczekaj, stary!

— Bądź cicho, moja Anno, bo inaczej zemszczę się i opowiem pannie Kasi, jak to wcale nie tak dawno pozwoliłaś się pocałować temu młodemu człowiekowi, i to nawet w mojej obecności.

— No, to całe szczęście, że potrafisz milczeć. Prawda, dziecinko, że pani nic nie słyszała?

— Nie, nie, ani słowa — zapewniła Katarzyna ze śmiechem.

Narzeczeni rozmawiali jeszcze o tym i o owym, podczas gdy gospodarze kończyli się pakować. Potem nastąpiło pożegnanie. Pani Anna swym dobrotliwie ironicznym sposobem bycia pomogła złagodzić ból rozstania.

Georg odprowadził Katarzynę do domu.

Już się przyzwyczaili do tego, że na ulicy wszyscy im się przyglądali. Prawie wszyscy znali „Katarzynę od Rodecków”, a jej zaręczyny z aktorem wzbudziły oczywiście sensację w miasteczku. Przedstawienia, na które uczęszczano coraz mniej licznie, ponieważ potrzeby artystyczne miasteczka zostały już zaspokojone, znowu zaczęły przyciągać publiczność. Wszyscy chcieli sobie obejrzeć „narzeczonego Katarzyny od Rodecków”. A ponieważ państwo Rodeckowie odrzucali chłodno wszelkie gratulacje, było jasne, że te zaręczyny odbyły się wbrew ich woli. I większość ludzi potępiała Katarzynę. Przecież to niesłychane, by dziewczyna z szacownej mieszczańskiej rodziny wydawała się za komedianta!

Najgłośniejszym rozwodzili się na ten temat doktor Kruger i Tekla mydlarzówna. Kruger rzekł do Alberta:

— Jakie to szczęście, że w porę pojąłem, iż twoja kuzynka nie byłaby właściwą żoną dla doktora.

Albert wzruszył ramionami. Już od dawna czuł się nieswojo na myśl o Katarzynie. Od czasu swej pechowej próby zbliżenia się do niej owego wieczoru uświadomił sobie, że jego kuzynka wcale nie była w nim zakochana.

Jedyną osobą w całym miasteczku, która z radością przyjęła wiadomość o zaręczynach Katarzyny, była Joanna. Przecież w ten sposób uwalniała się od dręczącej ją zazdrości. Poza tym nikt nie był Katarzynie przychylny. Unikano jej w miarę możliwości. Młodym dziewczętom matki zabraniały z nią rozmawiać.

Właśnie znów dwie koleżanki Katarzyny z lekcji tańca szły naprzeciw parze narzeczonych. Odwróciły głowy w bok i nie przywitały się z Kasią. Ona zaś uśmiechnęła się tylko ironicznie.

— Biedne, głupie dziewczyny! Sądzą, że mogą mnie obrazić — rzekła do Georga.

— Czy nie jest ci przykro, że z mojego powodu jesteś jak wyklęta? Spojrzała mu czule w oczy.

— Dajmy spokój tym niemądrym ludziom, mój kochany! Nie mogą mnie obrazić. Stoisz o całe niebo wyżej od nich.

Twarz Wiganda przybrała dziwny wyraz.

— Przeceniasz mnie, Kasiu. Jestem tylko człowiekiem, z wszystkimi wadami i słabostkami.

Spojrzała na niego z miłością.

— Na pewno masz jakieś wady i tak jest dobrze. Inaczej obawiałabym się twojej wielkości.

— Ach, ty mała marzycielko! Kiedy się dowiesz, jakie mam przywary, wtedy, bach!, i twój ideał legnie w gruzach.

Katarzyna spojrzała na niego poważnie.

— Kocham cię takim, jaki jesteś, i dopóki ty będziesz mnie kochał, wszystko będzie dobrze. Ach, Georg, nawet nie wiesz, ile ci zawdzięczam! Kochaj mnie, bo nie wiem, co bym zrobiła bez twojej miłości! Ale teraz musimy się pożegnać, mój drogi. Bądź zdrow!

— Żegnaj, Kasiu, moje słodkie dziecko! A więc od jutra, nie, od pojutraza za cztery tygodnie znów się zobaczymy. Tymczasem będziemy często do siebie pisali, abyśmy łatwiej mogli znieść rozstanie, prawda?

Jej piękna, poważna twarz mimo łez rozstania była rozświetlona wewnętrznym szczęściem. Wigand poczuł ciepło w sercu.

— Kochana, muszę już iść. Żegnaj, moja słodka, urocza Kasiu. Do licha z tymi ciekawskimi twarzami dookoła, nawet nie mogę cię pocałować. Ale nadrobimy to z nawiązką. A teraz idź, moja droga, nie dręczmy się dłużej. Bądź zdrowa!

— Żegnaj, Georg, mój ukochany, do szczęśliwego zobaczenia!

— Do zobaczenia!

Rozstali się. Katarzyna poszła w dół ulicy, Wigand zaś powoli zawrócił.

Rozdział siódmy

W dwa dni później Katarzyna siedziała w bawialni przy oknie, zajęta robótką.

Dookoła panowała cisza. Tylko od czasu do czasu dobiegało z kuchni brzęczenie naczyń, które Lina zmywała.

Pani Amelia Rodeck zaproszona została na kawę, więc wyszła. Dawniej zawsze zapraszano także Katarzynę, czuła się wówczas zawsze nieswojo. Teraz była wyklęta, już jej nigdzie nie oczekiwano.

Pani Amelia poinformowała ją o tym z dużą satysfakcją.

— Nie możesz brać ludziom tego za złe. Kto się sam poniża, musi być przygotowany na to, że inni będą nim pomiatali — dodała.

Katarzyna spojrzała tylko na ciotkę szeroko otwartymi, poważnymi oczami; w milczeniu strawiła uwagę.

Teraz siedziała sama w domu i snuła plany na szczęśliwą przyszłość. Cóż ją obchodzili ci małostkowi ludzie, którzy uzurpowali sobie prawo do sądzenia jej, bo nie byli w stanie jej zrozumieć. Nie chciała, by myśl o tym zakłócała jej radosne godziny.

A miała teraz tych godzin wiele. Wzeszło nad nią słońce szczęścia i otoczyło ją swymi promieniami.

Tak więc siedziała i wplatała w swoją robótkę same radosne myśli. Nagle ktoś zadzwonił. Katarzyna spojrzała do lusterka w oknie i ujrzała przed drzwiami smukłego mężczyznę. Nie widziała jego twarzy, miał słomkowy kapelusz o szerokim rondzie naciśnięty nisko na czoło.

Lina otworzyła drzwi i nieznajomy znikł w sieni. Służąca weszła do pokoju i rzekła podniecona:

— Panno Katarzyna, przyszedł jakiś nieznajomy pan. Najpierw zapytał o państwa. Powiedziałam mu, że pani wyszła, a pan jest w kantorze. Chciał od razu tam pójść. Ale potem zapytał: „Panienki też nie ma w domu?” I teraz mam panience powiedzieć, że prosi panienkę o rozmowę. Czy mam go wpuścić?

Katarzyna zastanawiała się przez chwilę, potem rzekła:

— Niech go Lina poprosi.

Lina wyszła i zaraz ukazał się w drzwiach obcy przybysz.

Miał chyba około trzydziestki. Jego opalona twarz o ostrych rysach, wysokim czole i głęboko osadzonych oczach zdradzała głębokie wzruszenie. Patrzył badawczo na Katarzynę. Odzież jego była nieco podniszczona, ale wyglądała porządnie. Koszulę miał czystą, lecz kapelusz stary i pomięty. Trzymał go w ręku.

Stali naprzeciw siebie w milczeniu, oblani jasnym słonecznym światłem, oczy dziewczyny wyrażały tylko niespokojne zastanowienie. Ten mężczyzna wydawał się jej znajomy, tylko nie wiedziała, gdzie się z nim zetknęła.

Nagle obcy się roześmiał głośno i serdecznie. Na dźwięk tego śmiechu Katarzynę ogarnęło radosne wspomnienie.

— Kasiu, jak ty wyrosłaś, jak wypiękniałaś — rzekł gość ciepło i serdecznie.

— Helmut, Helmut, to ty! — zawołała Katarzyna mile zaskoczona i jego widok napełnił jej serce ciepłem. Ujęła jego obie dłonie i ścisnęła, jak mogła najmocniej. — Więc znów się zjawileś, żyjesz i jesteś zdrowy! Ach, Helmut, wydaje mi się, że słońce znów świeci ciepło i jasno w tym zimnym domu.

Jego wielkie szare oczy patrzyły z zachwytem na piękną twarz dziewczyny, która wskutek radosnego przeżycia zdawała się niemal uduchowiona. Serce mu się ścisnęło, poczuł w gardle łzy.

— Mała Kasiu, droga mała Kasiu, w twojej osobie wita mnie stara ojczyzna. Niech się teraz dzieje, co chce, nie będę żałował, że wróciłem.

Przebiegł wzrokiem pokój. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Wszystko wygląda tak samo, jak przed dwunastu laty, nic się tu nie zmieniło.

Przesunął opaloną dłoń po gęstych włosach i z ust jego wydarło się ciche westchnienie.

— Jak się miewają rodzice, Kasiu? Wiem, że są zdrowi, od czasu do czasu dowiadywałem się o nich. Ale o ich stanie ducha ty chyba wiesz najlepiej. Co mówią o mnie? Czy wciąż jeszcze mają do mnie żal?

Katarzyna spojrzała na niego poważnie.

— Czy wciąż mają do ciebie żal, nie wiem. Nie mówi się tu o tobie. Tylko jeden jedyny raz twój ojciec cię wspomniał.

Oczy Helmuta zabłysły.

— Naprawdę? A więc nie zaliczono mnie jeszcze do umarłych? A co ojciec o mnie mówił?

Katarzyna się zmieszala.

— Najpierw usiądź! Czy podać ci coś orzeźwiającego? A może jesteś głodny? Może chcesz się czegoś napić?

Helmut uśmiechnął się i spojrzał na nią przenikliwie.

— Nie jestem ani głodny, ani spragniony, ty zaś nie jesteś dobrym dyplomatą. Nie przełknę ani kęsa w tym domu, dopóki się nie dowiem, jak rodzice mnie przyjmą. Sądząc z twego zachowania, nie mogę się spodziewać niczego dobrego. No, Kasiu, usiądź teraz przy mnie i porozmawiajmy. Matkę zaproszono na kawę, więc przed siódmą nie wróci, a ojciec wróci z kantoru

również z wybiciem tej samej godziny. Czy to pozostało dokładnie tak samo, jak przed laty?

Katarzyna usiadła naprzeciwko niego.

— Tak, dokładnie tak samo. Ujął jej rękę.

— Mała Kasiu, droga, mała Kasiu, no, nie rób takiej przestraszonej miny. Czytam w twoich oczach, co myślisz.

Katarzyna usiłowała się uśmiechnąć.

— To chyba nie jest takie proste.

— Więc posłuchaj. Myślisz teraz: „Ach, biedaczysko, gdyby on wiedział, jak się tu o nim nieprzychylnie mówi! Gdybym mogła go jak najogólniej przygotować na spotkanie z rodzicami.” Czy nie jest tak?

Katarzyna mocno się zaczerwieniła i zerknęła w bok. Na jego ustach ukazał się gorzki uśmiech.

— Może jeszcze wszystko obróci się na dobre, Helmut, na pewno. Twoi rodzice powinni się ucieszyć, że wróciłeś cały i zdrowy.

Wzruszył ramionami.

— Sądzisz może, że zabije się utuczone ciele na moją cześć?

Katarzyna wyprostowała się i spojrzała na niego wzrokiem szczerym i pełnym serdecznej dobroci.

— Nie wiem, Helmut. Wiem tylko jedno. Zrobiłabym to samo, co ty. Zrozumiałam, że musiałeś odejść, aby się nie zatracić.

Jego wyraziste oczy zdradzały, jaką ulgę przyniosły mu te słowa.

— Dziękuję ci, Kasiu, za te słowa! I powiem ci, że dziś postąpiłbym tak samo, jak wtedy. Ach, Boże, dziewczyno, ile zdarzyło się pomiędzy owym „wtedy” a dziś! Niejednokrotnie tęskniłem do tej małej miejsciny. Także o tobie myślałem. Co prawda tylko czasami. Przecież byłaś małą dziewczynką, kiedy opuściłem ten dom. Gdybym wiedział, jaką tymczasem stałaś się drogą, rozumną istotą, nie umiałbym tak długo tłumić swojej tęsknoty za domem. Wiesz, ile to dla mnie znaczy, kiedy tak siedzę przy tobie, trzymam twoją rękę, a twoje oczy patrzą na mnie tak serdecznie i są pełne siostrzanej troski? Taka kochana siostrzyczka to błogosławieństwo dla samotnego człowieka! Jestem dziwnie roztkliwiony, odkąd ciebie ujrzałem.

— Cieszy mnie to ogromnie. Kiedy przed laty przybyłam do domu twoich rodziców, właśnie ty zająłeś się serdecznie biedną sierotą. Nigdy nie mogłam ci za to podziękować, dopiero dziś. Lecz często o tobie myślałam, o twoim szczerym, wesołym śmiechu. Odkąd odszedłeś, nigdy już nie zabrzmiał tu taki śmiech.

— A ty sama? Czy także oduczyłaś się śmiać?

— Oduczyłam się? Ach, Helmut, sędzę, że nigdy nie umiałam się śmiać. Odkąd jestem tutaj, u twoich rodziców, zawsze tylko odczuwałam w sercu gorące pragnienie wolności, tęsknotę za odrobiną miłości i dobroci. Tutaj nikt nie wie, co to jest miłość. Wszyscy mijają się obcy i oziębli. Podobnie jest z radością.

Helmut skinął głową.

— Tak, tak, nigdy nie było tu nadmiaru serdecznego ciepła. Dla obcego dziecka z pewnością nie mogli mieć więcej uczucia niż dla własnego syna. Ty jesteś dziewczyną i nie mogłaś uciec tak, jak ja.

— Przynajmniej tak długo, dopóki nie stałam się pełnoletnia. Ale teraz już tu dłużej nie zostanę.

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Dokąd chcesz się udać?

Katarzyna opowiedziała mu o swoich zaręczynach, o tym, jak do nich doszło i jak z powodu tych zaręczyn została po prostu przez wszystkich wyklęta. I że dopiero dzięki narzeczonemu poznała wartość życia i głębokie szczęście miłości. Opowiedziała mu wszystko w prostych słowach. On zaś słuchał poważnie, w milczeniu. Znał świat i życie. Z opowieści Katarzyny dowiedział się jeszcze wielu innych rzeczy, których nie zdradziły mu jej słowa.

Zasmuciło go, że dziewczyna się zaręczyła. Sam nie wiedział, dlaczego. A jej opis idealnego ukochanego, który na pewno nie zgadzał się z rzeczywistością, zdradzał mu, że chyba ona sama wyidealizowała sobie jego obraz.

Ogarnął całą sprawę bystrą myślą i szczęście Katarzyny nie wydało mu się takie pewne, jak jej samej. Ale nic nie powiedział. Z zainteresowaniem pytał o wszystko, co jej dotyczyło.

Nie opuszczało go przy tym utajone uczucie żalu.

„Gdybyś wrócił wcześniej, może byś mógł zerwać dla siebie uroczy kwiat. Teraz już za późno”, myślał.

„Za późno, za późno” — nie mógł się uwolnić od tej myśli.

Potem próbował się bronić przed takim nastrojem. Czy po to wrócił do ojczyzny po dwunastu latach, by zakochać się w pierwszej ładnej dziewczynie, która okazała mu życzliwość? Czy powietrze ojczyste tak szybko zrobiło z niego sentymentalnego, smutnego marzyciela?

Dziewczyna była zaręczona. No cóż, do licha, wobec tego musi sobie wybić z głowy te głupie myśli. Istnieją przecież jeszcze inne ładne dziewczyny. Znajdzie gdzieś jakąś, która będzie mu odpowiadała. Nie przybył tu po to, aby się zakochać. Tymczasem Katarzyna skończyła swoją opowieść.

— Już wszystko ci powiedziałam o sobie i o swoim życiu, Helmut. Teraz ty mi powiedz, jak ci się przez ten czas powodziło.

Odrzucił głowę do tyłu, jak gdyby chciał się otrząsnąć z przykrych myśli.

— Dobrze i źle, Kasiu. Spójrz na mnie! Zgadnij, kim zostałem? Przyjrzała mu się z uśmiechem, ale dokładnie. Potem rzekła:

— Nie wyglądasz na człowieka, który wraca obładowany dobrami doczesnymi. Ale wzrok masz jasny i czysty, widać, że uczciwie dążysz do obranego celu. Potrafisz jeszcze, jak mi się wydaje, śmiać się wesoło i serdecznie i jesteś zdrow na duszy i ciele. To dużo.

— Może w twoich oczach. Czy sądzisz, że moi rodzice się tym zadowolą?

— Nie wiem.

— No więc nie chcę grać przed tobą komedii, Kasiu. Ta zniszczona odzież to maska. Powiedziałem ojcu: „Wrócę do domu tylko wówczas, kiedy do czegoś dojdę.” I osiągnąłem swój cel. Jestem uparty, nie wróciłbym, gdybym nie doszedł do czegoś, czym mógłbym zaimponować rodzicom. Ale najpierw chcę sprawdzić, czy ich serca zmiękną na widok ubogiego syna marnotrawnego. Ogromnie bym się cieszył, gdyby tak było. Opowiem ci pokrótce, jak potoczyło się moje życie.

W pierwszym okresie po kłótni z ojcem powodziło mi się źle. Głodowałem i marzłem na przemian, doszedłem do perfekcji w znoszeniu tych przeciwności. Myślę, że mógłbym wówczas występować jako głodomór. Czasem powodziło mi się tak źle, że już byłem gotów wrócić na klęczkach do domu. Sam dziś już nie wiem, jak mi się udało zdać egzamin państwowy. Dość jednak, że zdałem. Nawet zrobiłem doktorat, co prawda przy pomocy życzliwego mi człowieka. Człowiek ów zatrudnił mnie jako nauczyciela dzieci swego brata, który mieszkał z rodziną w Ameryce. Podpisałem umowę na dwa lata. Tak znalazłem się w Ameryce. Pewnego burzliwego dnia wylądowałem w Nowym Jorku.

Dwa dni później miałem jechać dalej, w głąb kraju. Mój nowy chlebodawca posiadał w nowo powstałej miejscowości duże fabryki. Dalszą podróż uniemożliwił mi jednak nieszczęśliwy wypadek. Podczas śnieżycy wpadłem pod tramwaj. Doznałem podwójnego złamania nogi. Zanim sobie uświadomiłem, co się stało, leżałem w szpitalu. Noga bardzo mnie bolała. Byłem pod opieką niemieckiego lekarza i niemieckich pielęgniarek. Poprosiłem, by zawiadomiono mojego chlebodawcę o wypadku.

Ponieważ i tak miał on zamiar przyjechać do Nowego Jorku, więc odwiedził mnie w szpitalu. Temu energicznemu, poczciwemu człowiekowi zawdzięczam, że towarzystwo tramwajowe wypłaciło mi odszkodowanie w wysokości ośmiu tysięcy dolarów. Na podstawie zeznań świadków stwierdzono, że motorniczy

nie dał sygnału ostrzegawczego. W gęstej śnieżycy nie mogłem w porę dostrzec tramwaju.

Naraz dysponowałem sumą, która zapewniała mi niezależność. Mój chlebodawca okazał się szlachetnym i wielkodusznym człowiekiem. Kiedy wyzdrowiałem i zgłosiłem się do mego, by objąć posadę nauczyciela jego dwóch synów, przyjęto mnie życzliwie i serdecznie.

Te dwa lata w jego domu były jasnym okresem mojego życia. Polubiłem obu moich uczniów, byli to mądrzy i mili chłopcy. Ojciec ich traktował mnie prawie jak przyjaciela, a matka, trochę chorowita, lecz dobra i szlachetna kobieta, wydawała mi się ideałem żony i matki. W tej ciepłej i serdecznej atmosferze rodzinnej czułem się swojsko i dobrze jak nigdy dotąd.

Gdy wygasła umowa, a moi uczniowie mieli teraz podjąć studia na niemieckich uniwersytetach, ojciec ich zaproponował mi założenie gazety w tej rozwijającej się miejscowości. Jest takie zapotrzebowanie, on zapewnia mi powodzenie, a jeśli mi brak pieniędzy, gotów jest pożyczyć.

Zgodziłem się skwapliwie. Zawsze pociągało mnie dziennikarstwo i chętnie bym został redaktorem. Słowem, założyłem gazetę. I wtedy wszystko potoczyło się w szybkim tempie. Takie szybkie sukcesy możliwe są jedynie w kraju o nieograniczonych możliwościach. Mój interes rozwijał się wraz z rozwojem i wzrostem liczby mieszkańców tej miejscowości. Gazeta cieszyła się powodzeniem, czytano ją także poza naszą miejscowością. Kiedy w pobliżu wydarzyła się wielka katastrofa kolejowa, o której opublikowałem szczegółowy artykuł, gazeta stała się znana również w dalszych okolicach. Pominię szczegóły, dość że jak na niemieckie warunki stałem się zamożnym człowiekiem.

Lecz tęsknota za ojczyzną nie dawała mi spokoju. Kiedy pół roku temu zdarzyła się sposobność sprzedaży pisma na wyjątkowo korzystnych warunkach, nie namyślałem się długo i wróciłem do Niemiec. Tutaj także szczęście mi dopisało. W Berlinie bowiem powstało nowe wydawnictwo. Wszedłem do tego przedsiębiorstwa, inwestując w nie lwią część mojego majątku, i zostałem naczelnym redaktorem. W ten sposób zyskałem idealne dla siebie pole działania. Za czternaście dni rozpoczynam moją nową pracę. O Boże, jak ja się z tego cieszę! Ale przedtem pragnę pogodzić się z rodzicami. Czy mi się to uda? To tyle, Kasiu, teraz masz obraz mojego życia.

Katarzyna wysłuchiwała relacji Helmuta ze szczerym zainteresowaniem. Teraz głęboko westchnęła.

— Chwała Bogu, Helmut, że wszystko tak dobrze się ułożyło. Możesz być dumny, że w tak młodym wieku osiągnąłeś tak szczytny cel.

Helmut się uśmiechnął.

— Dumny... Nie! To, że mi się poszczęściło, to jeszcze nie powód do dumy. Dumny jestem tylko z okresu, kiedy głodowałem i marłem. Że nie straciłem wówczas odwagi. Cała reszta to sprawa przypadku.

— Tak sądzisz? Gdybyś swoją pracowitością nie zyskał protektorów, stałoby się inaczej. Na pewno nie zadziałał tu tylko przypadek.

— Nie będziemy się o to sprzeczać, Kasiu. Jestem zadowolony z tego, co jest. A teraz cieszę się na nową interesującą działalność. Ze wszystkich rozkoszy, jakie oferuje nam świat, najpiękniejsza to samodzielna, dająca satysfakcję praca.

Katarzyna zamyślona spoglądała na jego energiczną, miłą twarz. Tak, zapewne to pięknie zawdzięczać tak wiele własnej pracy, własnej walce. Ona także zawsze czuła palące pragnienie działania, nim się cała zatopiła w miłości do Georga.

— Zostaniesz tu czternaście dni? — zapytała.

— To zależy od rodziców. Muszę zobaczyć, jak mnie przyjmą. A potem, kto wie, czy tak długo tu wytrzymam, wśród dobrych przyjaciół i znajomych z dawnych czasów. W ciągu tych lat staliśmy się sobie obcy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Katarzyna patrzyła przed siebie zamyślona, Helmut zaś mógł bez przeszkód przyglądać się jej pięknej, poważnej twarzy.

Wydawało mu się niemal cudem, że ta śliczna dziewczyna o tak szerokich horyzontach wyrosła tu, w tym trzeźwym, zimnym, gnuśnym otoczeniu. Odważnie, nie bacząc na sądy ludzi, zaręczyła się z człowiekiem, którego uważano za stojącego niżej, niegodnego jej stanu. Podniosła go wysoko ponad wszystkich, ponieważ go kochała, ponieważ wyposażyła go w zalety, które w nim widziała. Czy nie był on raczej ucieleśnieniem ulubionych i czczonych postaci poetyckich, które w nim kochała? Wydawała się jeszcze taka naiwna, niedoświadczona mimo swej powagi. Zresztą gdzie miała zdobyć to doświadczenie? Tutaj, w tym monotonnym, otepiałym życiu na pewno nie.

Że też tu wcześniej nie przybył! Jeszcze przed kilkoma miesiącami być może zdobyłby serce tej dziewczyny, która tak łaknęła miłości. Jakże łatwe zadanie miał zapewne ten mężczyzna, który zawładnął jej sercem. Teraz było już za późno...

Znów zazgrzytały mu nieprzyjemnie w uszach te dwa słowa.

— A więc z powodu tych zaręczyn popadłaś w niełaskę, Kasiu?

— Tak, całkowicie — odparła cicho.

— Potępiają coś dla nich niezwykłego, ponieważ nie są w stanie zrozumieć tego swymi ptasimi mózdzkami. Biedna Kasiu, chyba mocno ci dokuczają?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Łatwo przez to przebrnęłam, bo nie mam tu nikogo, kogo bym kochała. Ból sprawić nam mogą tylko ci, których kochamy i cenimy. Tutaj nikt nie potrafi mnie zrozumieć. Nikt nie zdoła pojąć, co to znaczy być dla kogoś wszystkim, móc oddać mu się całym sercem. Cóż mnie obchodzi, do jakiego stanu należy mój narzeczony? On kocha mnie, a ja kocham jego, to wystarczy. A kiedy za kilka tygodni stąd wyjadę, nie pozostawię nikogo prócz starej Liny, która czasami będzie mnie wspominała.

— Stara Lina? Przypomniałaś mi tę poczciwą duszę. Należy do tej rzadkiej, wymierającej już kategorii wiernej służby. Chyba nie ma u mojej matki lekkiego życia. Ale wytrzyma do końca. Będę musiał potem przywitać się z nią szczególnie serdecznie. Była dla ciebie zawsze dobra, prawda?

— Tak, tylko ona odnosiła się do mnie serdecznie. I jako jedyna złożyła mi gratulacje z okazji zaręczyn.

Ujął jej dłoń.

— Dołączam się do tych gratulacji, Kasiu. Obyś zaznała szczęścia, które sobie wymarzyłaś! A jeśli potrzebny ci bezgranicznie oddany przyjaciel, jestem zawsze gotów ci pomóc. Pamiętaj o tym.

Uścisnęła jego dłoń z wdzięcznością.

— Drogi, kochany Helmucie — rzekła serdecznie — dziękuję ci gorąco i nigdy nie zapomnę tego, co mi powiedziałeś. — Spojrzała przy tym na niego jak czuła siostra na swego odnalezionego brata. Ścisnęło mu się serce. Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. Wówczas wzrok jego padł na fotografię Alberta i Joanny. Wziął ją i przyjrzał się uważnie.

— Chyba znam tę twarz. Te rzadkie, przylizane włosy z przedziałkiem, to mętne spojrzenie...

— To Albert z żoną.

— Ach, prawda, kuzyn Albert. Dawniej wzorowy chłopiec, którego stawiano mi jako godny naśladowania przykład. O Boże, jakże ja nienawidziłem tej bladej, zawsze pokornej twarzy! A więc tak wygląda przykład, który mi zalecano naśladować. Brrr... To już wolę siebie takim, jakim jestem teraz.

Roześmiał się głośno i serdecznie.

— Ja także — potwierdziła Katarzyna z uśmiechem.

— Albert został wyznaczony na następcę mojego ojca w firmie, jak mi dziś powiedziano. I ożenił się? Kim jest jego małżonka? Sądząc z fotografii, jest otyłą, głupią i zadowoloną z siebie gęsią.

Katarzyna zaśmiała się cicho.

— Świetnie ją scharakteryzowałaś. Ale jest za to córką zamożnego burmistrza.

— Ach, tak, więc Albert pozostał gorliwym człowiekiem. Więc ojciec ma w nim godnego następcę. Sądzę, że moje przybycie będzie mu wielce nie na rękę. Na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, gdybym zaginał na zawsze gdzieś w świecie. A może sądzisz, że nie mam racji? Czy jesteś o nim lepszego zdania?

— Nie — odpowiedziała Katarzyna twardo i przypomniała sobie zachowanie Alberta w kuchni. — Jest obłudny, za jego skromnym, godnym sposobem bycia kryją się paskudne myśli.

Helmut spojrział na nią badawczo.

— Czy cię może skrzywdził? — zawołał z namiętną wściekłością. Przeraziła się jego tonu.

— Daj spokój, odpowiednio go usadziłam.

Helmut gwałtownym ruchem odstawił fotografię na miejsce.

— Takie świętoszki to najobrzydliwsi ludzie — rzekł ponuro. Potem znowu spokojnie usiadł.

— Porozmawiajmy jeszcze trochę. Musimy wykorzystać czas, by zostać dobrymi przyjaciółmi. Opowiedz mi jeszcze o sobie i o swoim życiu w tym domu.

— Niewiele jest do powiedzenia — rzekła Katarzyna, lecz zaczęła opowiadać. Sprawiało jej ulgę, że mogła wszystko wyrzucić z serca. Roztaczała przed nim swoje myśli i uczucia, otwierała przed nim całą swoją duszę. Szczerzej i bardziej otwarcie niż narzeczonemu mówiła mu o wszystkim, co dotyczyło jej życia wewnętrznego i zewnętrznego.

Przed jego oczami roztaczał się obraz pełen uroku, szczerzej miłości i gorącego pragnienia, by osiągnąć wielki, szlachetny cel w życiu. Siedziała przed nim przedziwna istota. Była tak wielkiego ducha, że w tym ciasnym otoczeniu nie zmarniała, lecz w ukryciu wspaniale się rozwinęła. Jeśli ta młoda, niedoświadczona dziewczyna trafi w odpowiednie ręce, stanie się piękną i szlachetną istotą!

Spędzili na rozmowie jeszcze dwie godziny. Znów stali się sobie tak bliscy, jak gdyby się nigdy nie rozstawali.

Tymczasem Lina skończyła swoją pracę i kręciła głową. Ten obcy człowiek siedział przecież zbyt długo. Kilka razy nasłuchiwała, czy już wyszedł, ale słyszała tylko, że młodzi ludzie rozmawiają ze sobą z ożywieniem. Kiedy chciała właśnie odstawić miedziany kociołek, rozległ się w bawialni głośny,

serdeczny śmiech. Lina, przerażona, odstawiła kociołek i opadła na krzesło. Ten śmiech... kolana się pod nią ugięły.

„Dobry Boże, co to znaczy? Przecież tak samo śmiał się nasz młody panicz!”

Powoli zaczęło jej świtać w głowie, kim jest ten dziwny gość. Ale jako dobrze ułożona służąca nie ważyła się wejść do pokoju, zanim jej nie zawołają. Tak więc znowu zabrała się do roboty, mając zamęt w głowie, i z trwożnym napięciem czekała, co będzie dalej.

Od czasu do czasu przerywała pracę i mówiła do siebie po cichu:

— Ojej, jak to się skończy!

Znała swoich państwa, toteż była przygotowana na najgorsze. Robota nie szła jej tak sprawnie jak zazwyczaj. Wreszcie jednak skończyła zajęcia w kuchni i poszła do swego pokoiku, ogarnęła się i przewiązała świeży biały fartuch.

Właśnie weszła do kuchni, kiedy Helmut otworzył drzwi od bawialni i wszedł do niej, a za nim Katarzyna.

Stara służąca utkwiała badawczo oczy w twarzy Helmuta, który z uśmiechem na nią spoglądał.

— Przecież to nasz młody pan! Niech Bóg błogosławi pański powrót, paniczu! — rzekła drżącym głosem.

— Dobra, pocziwa Lino, poznała mnie Lina?

— Nie od razu, paniczu, mam już słaby wzrok. Ale usłyszałam śmiech. Wtedy od razu poznałam.

— Widzisz, Helmut, także Lina poznała twój śmiech. Helmut mocno uścisnął ręce Liny.

— Cieszy się Lina, że wróciłem?

— O Boże, jakże mam się nie cieszyć, skoro już myślałam, że panicz nie żyje! Ale co powiedzą państwo! Żeby to tylko dobrze poszło!

— A Lina nie wierzy, że dobrze pójdzie?

— Ach, mój Boże, któż to wie? Przecież nawet nie wolno było wymawiać imienia panicza. Twardzi ludzie z rodziców panicza. Ale też panicz bardzo ich uraził, kiedy zwiął, przepraszam, uciekł z domu.

Helmut się roześmiał,

— Istotnie, zwiąłem, Lino. To dobre i wyczerpujące określenie. Wywołało to niejedną awanturę, prawda?

Lina, zmartwiona, pokręciła głową.

— Nie, było całkiem spokojnie, tylko pani Rodeck stłukła dzban od umywalki, ten w niebieskie kwiatki, kiedy starszy pan wrócił z podróży.

Helmut spoważniał.

— Tak, stłukła dzban? A więc nie było jej tak całkowicie obojętne, że nie wróciłem?

Powiedział to po cichu, jakby sam do siebie. Teraz podszedł do kalendarza kuchennego, wiszącego nad stołem.

— Dzisiaj mamy dwudziesty trzeci września, chwileczkę, dziś na obiad była pieczeń barania z fasolką szparagową. Zgadza się?

Katarzyna głośno się roześmiała.

— Naprawdę potrafisz się śmiać, Kasiu. Jak to ślicznie brzmi!

— To bardzo śmieszne, że dzięki kalendarzowi cioci Amelii wiesz po dwunastu latach, co mieliśmy dziś na obiad.

Helmut podszedł do okna i przez szparę w grubych zasłonach spojrzął na oficynę.

Ujrzał ojca w oknie kantoru.

Helmutowi wyrwało się z ust głębokie westchnienie.

— Ojciec... on także niewiele się zmienił — rzekł półgłosem. I wzrok jego zatrzymał się na twardej, zaciętej twarzy ojca, póki ten nie odwrócił się od okna.

Potem Helmut spojrzął na zegar. Do siódmej brakowało tylko parę minut. Wrócił z Katarzyną do bawialni. Ukryty za zasłoną spoglądał na matkę, która punktualnie za minutę siódma szła ulicą w stronę domu.

— Kasiu — rzekł ochryple — rozkłada mnie atmosfera domowego ogniska. Zbiera mi się na płacz, jakbym był małym chłopcem. Znowu powraca to wszystko, co, jak myślałem, poszło już dawno w zapomnienie. Wszystko, co mnie bolało i co cieszyło.

Pozostał przy oknie i pełen oczekiwania zwrócił twarz w stronę drzwi.

Rozdział ósmy

Pani Amelia spotkała się z mężem w korytarzu. Gdy Lina otworzyła drzwi, weszli jednocześnie. Stara służąca nie miała odwagi powiedzieć, że przyjechał Helmut. W milczeniu odebrała od swojej pani kapelusz, parasolkę i płaszcz.

Potem, gdy małżonkowie wchodzili do bawialni, zaczęła się po cichu modlić.

Karol i Amelia Rodeckowie spojrzeli ze zdziwieniem na nieznanego mężczyznę, którego twarzy nie mogli rozpoznać, ponieważ był odwrócony do okna. Ostatnie promienie słońca wpadały do pokoju, omijając go.

Starszy pan właśnie chciał coś powiedzieć, gdy Helmut zbliżył się do nich.

— Dzień dobry, ojciec, witaj, mamo! — rzekł z głębokim wzruszeniem.

Pani Amelia wydała okrzyk przerażenia, na wpół przytomna opadła na krzesło i wpatrywała się w twarz syna. Starszy pan gwałtownie się wyprostował i ostrym, badawczym spojrzeniem obrzucił wytarte ubranie Helmuta. W rysach jego nic nie drgnęło, tylko wąskie wargi mocniej się zacisnęły. Twarz wyrażała sztywną, lodową wrogość.

Gdyby syn wrócił pokorny, błagając o łaskę, może uległby lekkiemu drgnieniu swego serca i mimo wszystko go przyjął. Ale stał przed nim wciąż ten sam zuchwały, uparty chłopak, który przed dwunastu laty odmówił mu posłuszeństwa. Stał z dumnie podniesioną głową i patrzył rodzicom w twarz śmiało i otwarcie. A wyglądał przy tym nędznie i ubogo. Nie osiągnął widać swego ambitnego celu. Wrócił chyba jako biedak, jak rozbitek, prawdopodobnie po to tylko, by stać się ciężarem dla rodziców i przedmiotem szyderstwa sąsiadów i znajomych. A przy tym wszystkim miał głowę wysoko podniesioną jak zwycięzca.

Myśli te sprawiły, że serce Karola Rodecka jeszcze bardziej stwardniało. Ostra zmarszczka przecięła jego czoło, a oczy spoglądały ponuro w twarz syna.

— Ważyłeś się tu wrócić?

Helmut pobladł. Spojrzał na matkę. Ona także opanowała już swą słabość, która trwała tylko chwilę. Wygląd zewnętrzny syna przekonał ją, że wrócił ubogi, bez środków do życia. A więc nie można by się nim szczycić przed ludźmi, tylko wstydzić tak samo, jak przedtem. Ta świadomość zgasła w niej cieplejsze odruchy. Obawa przed ludzkim gadaniem pokonała wszelkie inne uczucia. Helmut wyczuł, że i u matki nie znajdzie przychylności. Na jego ustach ukazał się gorzki uśmiech. Wyraz ciepła i serdeczności znikł z jego twarzy. Spojrzał na rodziców jak na obce osoby.

— Wróciłem, by się z wami pogodzić — rzekł spokojnie. Ojciec wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Dotąd mogłeś się bez tego obyć, więc niechaj dalej tak zostanie.

— Nie, ojcze, odkąd wróciłem do Niemiec, myśl o tym nie dawała mi spokoju. Gnało mnie do was. Miałem nadzieję, że z biegiem czasu złagodnieliście.

— Przecież mówiłeś, że wrócisz do domu dopiero wtedy, gdy zostaniesz wielkim człowiekiem. Jak gdyby to było takie proste! Tam, w szerokim świecie, też nie potrzebują wałkoni.

— Nie, ale potrzebują ludzi poważnych i pracowitych.

— I ty się do nich zaliczasz, ty, który bałeś się nawet obowiązków w kantorze ojca?

— Bałem się życia w kantorze dlatego, że zmarnowałbym w ten sposób moje szanse, dlatego, że chciałem być kimś więcej niż maszynką do liczenia. Ale dość już o tym mówiliśmy, nie ma sensu tego przypominać. I tak się nie zrozumiemy.

— A więc dlaczego wróciłeś?

— Przecież już wam powiedziałem, miałem nadzieję, że mi wybaczycie to, iż obrałem własną drogę wbrew waszej woli.

— A więc przyznajesz, że w bezczelny sposób odmówiłeś nam posłuszeństwa?

— Nie w bezczelny sposób, ojcze. To, co uczyniłem, musiałem uczynić. W człowieku najsilniejszy jest instynkt samozachowawczy. Uwolnienie się od twojego despotyzmu było moim obowiązkiem wobec samego siebie.

Obaj mężczyźni zmierzli się wzrokiem, jak dwóch przeciwników.

— Ojciec ma prawo ustalić drogę życiową swojego syna. Ja także uległem woli ojca i dobrze na tym wyszedłem. Ty swoim postępkami sprowadziłeś na nas wstyd i hańbę. Tego się nie zapomina!

Helmut zwrócił się do matki:

— A ty, mamó, nie masz ani jednego serdecznego słowa dla swojego syna?

Ręce starej kobiety niespokojnie drżały. Syn ciepłym głosem błagał o dostęp do jej serca. Lecz wystarczyło jedno spojrzenie na zimną, surową twarz męża.

— A czy ty się zastanawiałaś, jak cierpiałam, kiedy od nas odszedłeś? — zapytała cicho.

— Czy naprawdę tak cierpiałaś dlatego, że nie wróciłem?

— Twoje wybryki i złe zachowanie, kiedy byłeś dzieckiem, sprawiały mi wiele kłopotów. Często musiałam cię karać. Ale byłeś przecież moim dzieckiem. Jakże więc miała mnie nie boleć twoja niewdzięczność?

I cała ta hańba, która na nas spadła?

— Przecież nie uczyniłem nic hańbiącego, matko.

— Nie? A może nie była hańbą ta twoja ucieczka od rodziców, ucieczka po to, by żyć na obczyźnie?

— Ja od was nie uciekłem. Błagałem was z całych sił, byście mi pozwolili studiować. Odmówiliście mi. Moim celem nie było poszukiwanie przygód, tylko czegoś, co by mi wypełniło życie.

— Mogłeś pracować w przedsiębiorstwie ojca, miałbyś tu dość pracy. Zawód kupca jest piękny i godny szacunku.

— Dla tego, kto go lubi, na pewno. Ale nie dla mnie.

— Ponieważ ciebie ciągnęło do dzikiego, niczym nie skrepowanego życia.

— Nigdy nie byłem przykładnym, ugrzecznionym chłopcem. To prawda, że mieliście ze mną sporo kłopotów, ale tylko dlatego, że mnie nie rozumieliście. Chcieliście ze mnie uczynić niewolnika, który by wam ślepo ulegał. Ja zaś byłem wolnym człowiekiem, przynajmniej chciałem nim być. Władza rodziców nie powinna sięgać tak daleko, by tłumić w dzieciach to, co w nich najcenniejsze, dlatego tylko, że nie odpowiada to ich ambicjom rodzicielskim. A ponieważ nie daliście mi wolności, sam ją sobie wziąłem.

— Wobec tego nie rozumiem, po co wróciłeś po dwunastu latach — rzekł ojciec lodowatym tonem. — My cię nie wzywaliśmy, ponieważ wiedzieliśmy, że twoje zjawienie się od nowa wszystko by rozpełtało. Teraz znów ludzie zaczną nas wytykać palcami. Ledwie przeboleliśmy to — jego wzrok padł na siedzącą w milczeniu Katarzynę — czego doznaliśmy od innej niewdzięcznej istoty, a już znów mamy się dostać na języki ludzkie, mamy się stać przedmiotem drwin?

Helmut westchnął głęboko. Zasłonił dłonią oczy, po chwili się wyprostował.

— Wobec tego najlepiej będzie, jeśli was uwolnię od swojej kłopotliwej obecności, zanim ktoś mnie zobaczy i rozpozna. Ale nim odejdę, podajcie mi przynajmniej ręce i obiecajcie, że spróbujecie mi wybaczyć.

Wyciągnął dłoń proszącym gestem. Ale nie uścisnął jej ani ojciec, ani matka. Wprawdzie ręka matki lekko drgnęła, ale się nie uniosła. Wobec tego Helmut opuścił swoją dłoń.

Powoli wziął kapelusz, który leżał na krześle. Potem podszedł do Katarzyny i podał jej rękę.

— Żegnaj, droga Kasiu. Jak widzisz, nie zabito na moją cześć tucznego cielaka. Syn marnotrawny musi dalej iść swoją drogą. Ale my jeszcze się spotkamy, prawda?

— Tak, Helmut — rzekła Katarzyna dobitnie i serdecznie. — Ja mimo najszczerzej chęci nie mam prawa cię tu zatrzymać, sama jestem ledwie tolerowana. Życzę ci dużo szczęścia.

— Dziękuję.

Uścisnęli sobie ręce i spojrzeli na siebie. Wzrok Helmuta przesłonił cień, kiedy jeszcze popatrzył na piękną, smukłą dziewczynę. Potem odwrócił się i poszedł do drzwi.

Kiedy mijał rodziców, spojrzął na nich poważnym wzrokiem.

— Żegnajcie.

Chciał odejść. Wtedy w zastygłej twarzy ojca jakby coś drgnęło.

— Pragnę ci jednak pomóc; dostaniesz ode mnie miesięczną zapomogę, dopóki będziesz jej potrzebował. Nie chcę, byś w świecie prowadził żywot wagabundy.

Helmut spojrzął na ojca przez ramię.

— Nie potrzeba mi twoich pieniędzy. Ale nawet gdybym ich potrzebował, nie przyjąłbym proponowanej mi zapomogi. Na szczęście jest to zbędne.

— Czy to ma znaczyć, że zdobyłeś majątek? Doprawdy nie wyglądasz na to. A może masz na widoku jakąś posiadłość, która zapewni ci utrzymanie?

— I jedno, i drugie, ojczu. Z kwotą w wysokości pół miliona przystąpiłem do spółki wydawniczej. Jednocześnie zostałem mianowany redaktorem naczelnym. Jeśli w przyszłości usłyszysz coś o doktorze Helmucie Rodecku, to właśnie o mnie. Być może będziecie to nazwisko dość często spotykali w gazetach. Teraz nie musicie się już chyba za mnie wstydzić. — Wzrok jego jeszcze raz padł na matkę. Po jej twarzy spływały łzy, usta drżały. Także ojca opuścił zimny spokój.

— Czy to prawda? Nie drwisz z nas? — wykrztusił podniecony.

— Nie, to wszystko prawda.

— Dlaczego od razu nam tego nie powiedziałaś, Helmucie? Pół miliona, powiadasz? I jesteś doktorem i naczelnym redaktorem? Mój Boże, mój Boże, dlaczego nam tego od razu nie powiedziałaś?

— Tak, dlaczego nam tego od razu nie powiedziałaś?

Helmut westchnął głęboko. Trudnym do opisanego wzrokiem spojrzął na rodziców, którzy zaskoczeni i drżący stali przed nim.

Zrobiło mu się żal tych małostkowych ludzi. Był w stanie ich zrozumieć. Nikt nie może przeskoczyć samego siebie, pojął to i wybaczył. Kiedy pomyślał o ich ciasnych umysłach, opadła go nagle niepowstrzymana ochota, aby wybuchnąć śmiechem z powodu własnej głupoty. Jak mógł sobie wyobrazić, że rodzice przyjmą go z otwartymi ramionami, widząc jego zniszczone ubranie!

Byli zbyt skrepowani, byli niewolnikami swego otoczenia. Nie, nie powinien traktować serio tych starych ludzi.

Z serdecznym uśmiechem odrzucił kapelusz na krzesło i wciąż jeszcze się śmiejąc, objął i ucałował matkę. Potem objął także ojca, który nie wiedział, jaką ma przybrać minę.

— No więc czy mogę zostać? Tak? Możecie teraz głośno trąbić na wszystkie strony, że wasz syn marnotrawny wrócił jako człowiek bogaty.

— Cóż to, szydzisz sobie z nas?! — zawołał Karol Rodeck urażony.

— Nie, ojczu. Tylko skończ z tą wrogością. Niech nastanie pokój. Jestem głodny. Dajcie mi coś do jedzenia. Mamo, czy masz marmoladę porzeczkową? I do tego omlet, taki, jaki tylko ty potrafisz zrobić. Omlet z marmoladą porzeczkową często marzył mi się na obczyźnie. Nawet wtedy, kiedy stały przede mną najbardziej wyszukane dania.

— Musisz nam wszystko o sobie opowiedzieć! — zawołała pani Amelia podniecona.

— Dobrze, mamo, opowiem.

Starsza pani wyszła pośpiesznie, by przygotować dla syna jego ulubioną potrawę. Karol Rodeck kilkakrotnie przemierzył pokój. Był zdenerwowany, wciąż przyglądał włosy. Wreszcie rzucił nerwowo:

— Muszę się na parę minut oddalić. Zbyt dużo na mnie naraz spadło, muszę sam ze sobą dojść do ładu.

Helmut podszedł do Katarzyny.

— No więc jednak zabiją dla mnie tuczego cielaka. Spojrzała poważnie i ze współczuciem na jego bladą twarz.

— Biedny Helmut. Potrząsnął głową z uśmiechem.

— Mam to już za sobą, Kasiu. Nauczyłem się w świecie, aby nie żądać rzeczy niemożliwych. Życie zmusza nas do kompromisów. Tout comprendre c'est tout pardonner. Byłem głupcem, domagając się od tych starych ludzi, by dali mi więcej, niż dać mogą. Trzeba się z tym pogodzić. Gdyby mi się nie poszczęściło, pozostałbym mimo największych wysiłków synem marnotrawnym. Tylko szczęściu zawdzięczam swoje sukcesy.

— I także sobie, Helmucie. Nie umniejszaj swoich zasług, dlatego że inni ich nie doceniają. Ale to, co mówisz, jest słuszne. Ja także będę odtąd łagodniej oceniała twoich rodziców. Nikt nie jest w stanie przeskoczyć samego siebie. Muszę to sobie zapamiętać. Jesteś mądry i dobry. Cieszę się, że zostajesz.

— Naprawdę?

— Z całego serca.

— Kochana, mała Kasia.

— Czy naprawdę jestem taka mała? — zapytała z uśmiechem.

— To słowo daje mi prawo chronić cię i kochać jak starszy brat. Zobaczysz Kasiu, otoczony nimbem amerykańskiego nababa ułatwię ci ostatni okres twojej bytności tutaj. Miejscowa kołtuneria będzie musiała cię przeprosić za wszystko zło, które ci wyrządziła. Dopóki tu zostanę, będzie to moim głównym zadaniem.

— Daj sobie lepiej spokój. Tylko się znów zirytujesz.

— Nie szkodzi. Muszę mieć coś do roboty, inaczej nie wytrzymałbym tu nawet dwóch dni. A jestem ci winien wdzięczność za to, że tak ciepło mnie przyjęłaś. Ucieszyłaś się szczerze z mojego powrotu. Dowiodłaś, że dla ciebie ważny jest człowiek, a nie to, co osiągnął.

— Tak, to prawda — rzekła Katarzyna ciepło.

— Dzięki tobie łatwiej mi było pokonać rozczarowanie. Czulem przez cały czas, jak twoje oczy spoglądają na mnie z troską.

Do pokoju weszła matka zaczerwieniona z przejęcia; za nią Lina, również zaczerwieniona, niosła naczynia. Spojrzała na Helmuta radośnie.

Katarzyna szybko nakrywała do stołu, podczas gdy Lina przynosiła potrawy. Potem Karol Rodeck zszedł na dół. Odzyskał swoją sztywną godność i zaczął zwracać się do Helmuta tonem pobłażliwym. Kazał też przynieść wino z piwnicy.

Pani Amelia przyglądała się, jak syn zajadał z apetytem. Po raz pierwszy jej zacięte rysy twarzy złagodniały.

A poteni Helmut musiał opowiadać. Kiedy mówił, jak wpadł pod tramwaj, matka z lękiem położyła mu rękę na ramieniu.

Przycisnął usta do jej dłoni.

— Bardzo byś się martwiła, mamó, gdybyś wiedziała, co mi się stało?

— Przecież to zrozumiałe, synku — rzekła z wyrzutem. Roześmiał się i pogładził jej pomarszczoną rękę.

— No to dobrze się stało, że o tym nie wiedziałaś. Zresztą wszystko się dobrze skończyło.

I opowiadał dalej.

Tym razem państwo Rodeckowie dopiero o dziesiątej udali się na spoczynek. Tymczasem Lina doprowadziła do porządku dawny pokój

Helmuta, po czym pobiegła na chwilę do sklepu spożywczego. Przecież musiała obwieścić wspaniałą nowinę, że młody panicz wrócił z Ameryki jako okropnie bogaty człowiek i prawdziwy doktor, chociaż nie taki, co to leczy ludzi. „No to chyba teraz będzie sobie szukał żony” — zawyrokowała.

Nazajutrz rano, kiedy roznoszono do domów świeże bułeczki, opowieść o powrocie Helmuta Rodecka stanowiła bezpłatny dodatek.

Już następnego dnia państwa Rodecków odwiedziło sporo ludzi. Przychodziły zwłaszcza matki obdarzone licznymi córkami, by dowiedzieć się od „drogiej pani Amelii”, czy to prawda, że jej syn powrócił.

Pani Amelia wciąż od nowa opowiadała wszystko z wielką satysfakcją. Kto jednak chciał się zobaczyć z Helmutem Rodeckiem, musiał się pogodzić z obecnością Katarzyny. Helmut nie puszczał kuzynki ani na chwilę. Ogromnie go bawiło obserwowanie słodko-kwaśnych min, z jakimi goście zwracali się do dziewczyny. Kiedy matki pytały zalotnie, czy teraz myśli o ożenku, odpowiadał za każdym razem poważnie:

— Oczywiście, bardzo intensywnie o tym myślę. Ponieważ jednak nie wyznaję się na płci pięknej, poproszę Kasię, by wyszukała mi odpowiednią żonę.

Słowa te wywarły piorunujący skutek! Katarzyna stała się nagle ukochaną, serdeczną przyjaciółką wszystkich młodych panien na wydaniu. Zасыpywano ją zaproszeniami. Oczywiście, wszystkim odmawiała.

— Aleś mnie urządził, Helmutcie! To żalosne, a zarazem śmieszne. One wszystkie ostrzą sobie zęby na ciebie.

— To znaczy na moje pieniądze i na mój tytuł doktorski — odparł sceptycznie.

Spojrzała na niego zalotnie.

— No, ale człowiek, który to wszystko posiada, też chyba jest coś wart.

— Jako rzecz sama w sobie? Lecz tak sądzisz jako moja kuzynka, a więc nie jesteś dość bezstronna.

Z kuzynem Albertem Helmut nie był w najlepszych stosunkach. Czuł wstręt do tego płaszczącego się, wyrachowanego, ostrożnie sondującego sytuację człowieka, zwłaszcza że z uwag Katarzyny wywnioskował, iż ma on podły charakter. Jego żona także nie zyskała sympatii Helmuta. Do niej, jak też do jej rodziców, czuł odrazę. Cała ta czwórka była niemile zaskoczona zjawieniem się Helmuta. Dopiero kiedy okazało się, że nie jest on absolutnie zainteresowany przejęciem przedsiębiorstwa ojca, zaczęto mu okazywać większą życzliwość. Joanna zaproponowała nawet, że znajdzie mu żonę. Podziękował jej stanowczo i rzekł, że już powierzył tę sprawę Katarzynie. Joanna trochę się dąsała, ale on się tym nie przejął, więc nie gniewała się dłużej.

Helmut obserwował z delikatnym, dobrodusznym, z lekka ironicznym uśmiechem, jak z biegiem dni zmienia się zachowanie rodziców. Co prawda nie okazywali cieplejszych uczuć, nie leżało to w ich charakterze, ale darzyli go

pewnego rodzaju szacunkiem i byli z niego dumni, jak gdyby to za ich przyczyną został tym, kim jest.

Ogromnie przykry dla tych starych ludzi był fakt, że Helmut tak się zaprzyjaźnił z Katarzyną, ale nie odważyli się protestować; w głębi duszy jednak tym bardziej mieli jej to za złe. Nie mogli znieść, że Helmut okazuje Katarzynie tyle troski. A kiedy przy stole oboje młodzi rozmawiali o sprawach, których starsi państwo nie rozumieli, wówczas pani Amelia niespokojnie wierciła się na krześle i starała się przerwać rozmowę. Kiedy w dodatku rozlegał się serdeczny śmiech młodych, wówczas państwo Rodeckowie spoglądali na siebie przygnębieni.

Helmut w ogóle przewrócił cały dom do góry nogami. W tym cichym zazwyczaj domu panował teraz wesoły gwar, słychać było śpiew i trzaskanie drzwiami.

Także Lina całkiem się zmieniła. Kiedy z samego rana Helmut wołał z góry wesołym, donośnym głosem: — Lino, moja woda do golenia! — kobieta z promieniejącą twarzą spieszenie dreptała na górę, by przynieść mu to, o co prosił. Helmut zaś witał ją zawsze żartobliwym słowem, co wprawiało kobietę na cały dzień w dobry nastrój.

To zdumiewające, ile zaproszeń otrzymywała w tych dniach rodzina państwa Rodecków.

Ze względu na rodziców Helmut musiał pogodzić się z tym, że go tak honorowano. Oczywiście teraz zapraszano również Katarzynę. Dla obojga młodych ludzi przyjęcia te były istną komedią, która po trosze śmieszyła, po trosze zaś irytowała. Toteż wkrótce Helmut zaczął się dusić w tej małej mieścinie i Katarzyna spostrzegła, że gorąco pragnie jak najprędzej się stąd wydostać.

Gdy pewnego popołudnia pozostali sami w bawialni i Helmut niespokojnym krokiem chodził po pokoju, Katarzyna rzekła z uśmiechem:

— Jesteś podobny do lwa uwięzionego w klatce. Widywałam takie zwierzęta w menażeriach na jarmarkach. One także niespokojnie kręciły się w kółko, jak gdyby szukały wyjścia na wolność.

Podszedł do niej. Katarzyna siedziała przy oknie zajęta szyciem.

— Jak ty mnie rozumiesz, Kasiu! , Spojrzała na niego życzliwie.

— To wcale nie takie trudne dla mnie. Myślę, że oboje czujemy podobnie.

Helmut mechanicznie grzebał w jej koszyku do robótek.

— Że też wy, kobiety, zawsze musicie trzymać w rękach jakieś szycie. Nie można zamienić z wami rozsądnego słowa.

Katarzyna roześmiała się cicho. W oczach jej ukazał się figlarny wyraz, który dodał jej zazwyczaj poważnej twarzy dużo uroku.

— Więc porozmawiaj ze mną nierozsądnie — rzekła filuternie. On wciąż jeszcze jakby nieobecny grzebał w jej koszyku. Nagle spod kłębka wełny ukazał się list. Helmut cofnął rękę, jak gdyby się sparzył.

— Ojej! List miłosny w koszyku do robótek! Poezja i proza tuż obok siebie! — zawołał żartobliwie. Lecz oczy jego spoglądały przy tym z dziwnie bolesnym wyrazem na liścik.

Katarzyna się zarumieniła i pochyliła nad robotą. Wyglądała niezwykle uroczo. Helmut patrzył na nią i serce go bolało.

— Ten list zawiera także bardzo prozaiczne sprawy. Szukanie mieszkania, zakup mebli, dokumenty potrzebne do zawarcia ślubu i podobne rzeczy — rzekła swobodnie.

— Ale to wszystko łączy się z miłością i małżeństwem, a więc jest poetyckie.

— Wydaje się, że dobrze jesteś z tym obeznany. Czyż naprawdę chcesz się ożenić? Czy serio mam ci znaleźć żonę? A może sam już sobie wybrałeś?

— Na litość boską, ja się nie nadaję do małżeństwa. Uciekłbym od żony, tak jak uciekłem od rodziców. Jestem człowiekiem niestałym.

— Nie, na pewno nie. Jeśli natrafisz na właściwą kobietę, na pewno dasz się zatrzymać.

— Tak sądzisz?

— Oczywiście.

Helmut spojrzał na nią niepewnym wzrokiem. Westchnął.

— Dla mnie już nie ma tej właściwej, Kasiu — rzekł z trudem. Spojrzała na niego przerażona.

— Helmucie, mówisz to z takim smutkiem. Czyżbyś miał za sobą jakieś przykre doświadczenie?

Otrząsnął się z melancholijnego nastroju i usiłował zażartować.

— Nie patrz na mnie z takim współczuciem, Kasiu! Jakoś się z tym uporam.

— To znaczy, że kochasz, a ta miłość jest beznadziejna, prawda?

— Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, nie będę ukrywał. Tak, Kasiu, sądzę, że bardzo mocno pokochałem pewną dziewczynę. Byłaby dla mnie tą właściwą, a jednak nie jest. Straciłem ją, należy do innego.

Katarzyna ujęła jego rękę i spojrzała na niego wzrokiem pełnym współczucia.

— Helmut, kochany Helmut!

Zrobiło mu się gorąco. Najchętniej porwałby ją w ramiona i zawołał: „To ty, Kasiu, to ciebie kocham i boli mnie, że jesteś dla mnie stracona!”

Nagłym ruchem wyrwał swoją dłoń z jej ręki i cofnął się, by na nowo podjąć wędrówkę po pokoju. Patrzyła za nim wylęknięta. Helmut to czuł, choć na nią nie patrzył. Starał się więc opanować.

— Wybacz mi tę szorstkość, Kasiu. Była niezamierzona. Są rany, których nie należy dotykać. Czy jesteś na mnie zła?

Katarzyna potrząsnęła głową i spojrzała na niego poważnie.

— Nie, Helmucie, jakże mogłabym się na ciebie gniewać. Proszę cię tylko o przebaczenie, ponieważ nieopatrzonym słowem sprawiłam ci ból. Ach, gdybym mogła ci ulżyć, tak mi smutno, że nie jesteś szczęśliwy.

Helmut znów starał się przybrać pogodny wyraz twarzy.

— Uspokój się, moja droga! Życie z pewnością ma jeszcze dla mnie wiele rzeczy pięknych i dobrych. Nie wolno chcieć wszystkiego na raz. Nie rób takiej smutnej miny, Kasiu. Jesteś o wiele ładniejsza, kiedy się śmiejesz.

Jego wesołe słowa uspokoiły Katarzynę. Chyba mężczyzna nie przeżywa tego rodzaju uczuć tak głęboko, jak kobieta. Ale mimo to łamała sobie głowę, jaka jest ta kobieta, którą Helmut kocha. Często zastanawiała się nad tym w ciągu najbliższych dni. Teraz jednak pozornie spokojna, haftowała dalej, ale w głowie jej bez przerwy kłębiły się różne myśli.

Przez chwilę w pokoju panowało milczenie. Potem Helmut rzekł nagle:

— Muszę stąd wyjechać, jeszcze dziś, najpóźniej jutro rano. Nie służy mi tutejsze powietrze. Do głowy przychodzą głupie myśli.

Katarzyna opuściła robótkę na kolana.

— Tak prędko? Przecież chciałeś zostać dłużej.

— Nie mogę — odparł szorstko. Po chwili ciągnął dalej spokojnie: — Nie namawiaj mnie, Kasiu, bym został. I tak będę miał trudności, by przekonać rodziców, że muszę wyjechać. Wierz mi, tak będzie dla mnie lepiej. Muszę mieć jakąś pracę, nie mogę wytrzymać tego nieróbstwa.

Katarzyna złożyła robótkę i podeszła do niego. Położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała w oczy z pełnym ciepła zrozumieniem.

— Nie będę cię zatrzymywała, Helmucie, bo widzę, że pragniesz się wyrwać. Ale mam do ciebie wielką prośbę: przyjedź na mój ślub do Chemnitz. Odbędzie się ósmego października. Nie będzie nikogo z mojej rodziny, więc ty bądź moim honorowym gościem.

Helmut zacisnął zęby, by nie stracić panowania nad sobą. Potem rzekł dziwnie nienaturalnym głosem:

— Wiesz przecież, że jestem gotów ponieść dla ciebie każdą ofiarę. — Jeśli koniecznie tego chcesz, przyjadę. Ale proszę cię, nie żądaj tego ode mnie, zrozum, że taki ślub rozdrażni tylko moją ranę.

Jego ton i wyraz twarzy wzruszyły ją.

— Wobec tego nie chcę, abys przyjeżdżał.

— W porządku, Kasiu. Może odwiedzę cię kiedyś później, ciebie i twojego męża. A tymczasem pisz do mnie często o tym, jak ci się powodzi, a ja będę ci opowiadał o swoim życiu. Żebyśmy się znów nie stracili z oczu, dobrze? Będę o tobie myślał jak o ukochanej siostrzyczce i najlepszej przyjaciółce i będę się cieszył, że istnieje na świecie ktoś, kto mnie kocha i rozumie.

— Tak, Helmucie, bardzo cię kocham — rzekła Katarzyna serdecznie, objęła go ramieniem za szyję i pocałowała w usta.

Ciało Helmuta przeszło jakby ogień, serce waliło mu jak młotem. Ale ani słowem, ani wzrokiem nie zdradził, co czuje.

Katarzyna musiała go opuścić, by zająć się gospodarstwem; Helmut spoglądał za oddalającą się dziewczyną.

— Że też mnie tak wzięło — mruknął, opadł na krzesło i zamyślił się głęboko.

Czy też Katarzyna będzie szczęśliwa z człowiekiem, którego pokochała? Czy on jest jej wart? Małżeństwa aktorskie rzadko bywają szczęśliwe. I w ogóle jak ta niewinna, czysta istota, która wyrosła w ciasnych, surowych warunkach, będzie się czuła w nowym otoczeniu, w całkowicie nowej atmosferze? Czy ona, taka wrażliwa i subtelna, potrafi się oswoić, dostosować do tak odmiennego środowiska? Co prawda chciałaby żyć w swobodniejszych warunkach, ale przecież trafi nagle z jednej skrajności w drugą.

Ogarnęła go gorąca czułość. Oddałby wszystko, gdyby tylko wolno mu było wziąć ją w ramiona i ochronić przed wszelkim cierpieniem.

Potem Helmut starał się pocieszyć, że może jednak wszystko dobrze się ułoży. Może Katarzyna potrafi się dostosować i da sobie radę w nowych warunkach. Istnieją takie silne natury, które potrafią się uporać z każdą sytuacją. Przecież i tutaj odważnie broniła się przeciwko duchowej tępcie i małomiasteczkowej ciasnocie. Przecież odważnie podjęła walkę o swoją miłość i nie uległa mimo nacisków.

Rozdział dziewiąty

Wieczorem tego samego dnia, gdy siedzieli przy kolacji, Helmut rzekł do rodziców:

— Muszę wyjechać wcześniej, niż przewidywałem. Otrzymałem wiadomość, wzywają mnie, muszę być jutro w Berlinie.

Starsi państwo spojrzeli na niego zdumieni. Matka była oszołomiona.

— Ale to niemożliwe, Helmucie, zapominasz o pikniku!

— O jakim pikniku?

— Mój Boże, jak mogłeś zapomnieć! Przecież jutro urządzamy piknik na twoją cześć. Wszystko już przygotowane. Bryczki zamówione na dziesiątą rano; mają nas zawieźć do Liesling. A w tamtejszej gospodzie odbędą się tańce dla młodzieży. Nie, Helmucie, nie możesz mi tego zrobić, musisz jeszcze zostać.

— Dobrze, mamó, więc pozostanę jeszcze na jutro, aby wam nie psuć zabawy. Obiecuję nawet tańczyć do upadłego. Ale pojutrze muszę wyjechać.

— Chyba nie dostałeś przykrej wiadomości? — zapytał Karol Rodeck.

Helmut trochę się zmieszał, bo przecież wszystko zmyślił.

— Nie, nie, to nic szczególnego. Muszę tylko to i owo załatwić.

— Wobec tego muszę się pospieszyć, aby skończyć skarpetki dla ciebie. Zabierzesz ze sobą sześć par, a do Bożego Narodzenia dostaniesz jeszcze tuzin — powiedziała matka.

— Ależ, mamó, po co się męczysz? Przecież: można kupić ładne i tanie skarpetki.

— Nie zawracaj głowy. To tandeta i słabizna. Skarpetki, które masz w walizce, to istna pajęczyna, coś takiego nie ogrzeje ci nóg.

Helmut roześmiał się i pogłaskał rękę matki. Nie chciał sprawiać jej przykrości.

— Tak, masz rację, twoje skarpetki są bardzo ciepłe. Więc jeśli chcesz się poświęcić, to zrób mi jeszcze kilka par.

— Na pewno ci zrobię. I jeszcze jedno, Helmucie. Te cienkie koszule, które nosisz, musisz przysłać do domu do prania. W Berlinie praczki zniszczą ci taką delikatną bieliznę, nie mówiąc już o pralniach.

— Zastanowię się nad tym, mamó. A więc, Kasiu, jutro wyruszamy na piknik do lasu w Liesling. A potem razem zatańczymy walca. Bardzo się na to cieszę. Jako chłopiec często chodziłem do tego lasu na jagody. Chyba dojrzały już orzechy laskowe. Zawsze było ich zatrzęsienie.

O Boże, tam dopiero opadną mnie wspomnienia! Pierwsze przebiśniegi i ostatnie orzechy, a pomiędzy tym wszystkim szalona, burzliwa młodość. Jaka szkoda, że będzie dużo ludzi, popsują tylko nastrój.

— Ależ, Helmucie, to zacni, dobrzy przyjaciele i znajomi — rzekła matka z wyrzutem.

— Mimo to, mam, człowiek niekiedy wolałby być sam. Ale nie gniewaj się. Będiesz ze mnie zadowolona. Postaram się jutro być tak szarmancki, aby wszyscy mnie ze smutkiem żegnali. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdziemy z Katarzyną na Klemmberg. Chcę jeszcze raz spojrzeć stamtąd na moje rodzinne miasteczko. Kiedy spojrzę na nie w wieczornej ciszy, zapomnę o wszelkiej goryczy. A więc do zobaczenia, za godzinę wrócimy. Chyba pójdziesz ze mną, Kasiu?

Katarzyna wstała od razu.

— Bardzo chętnie!

Zaraz też wyruszyli. Zapadał już zmierzch.

Szli oboje w milczeniu ścieżką na Klemmberg. Góra wznosiła się tuż za miasteczkiem, miała wysokość mniej więcej wieży kościelnej. Cała okolica była płaska. Toteż ze wzgórza, które nosiło miano góry, roztaczał się rozległy widok. Pomiędzy górą a miasteczkiem płynęła rzeka. Oba brzegi łączył wąski most.

Ze szczytu całe miasteczko widać było jak na dłoni. Kiedy dotarli na miejsce, Helmut odetchnął głęboko, zdjął kapelusz, by rześkie powietrze owiało mu czoło.

Katarzyna usiadła na drewnianej ławce i spoglądała, tak jak Helmut, na spokojny krajobraz.

W domach powoli zapalały się światła. Wschodził księżyc i świecił coraz jaśniej. Nad rzeką unosiła się lekka mgła.

Helmut podszedł do Katarzyny i stanął tuż przed nią.

— Czemu nic nie mówisz, Kasiu?

— Bo czuję, że wolisz raczej milczeć.

— Jesteś bardzo wrażliwa. Spójrz na dół, na ten sielski widok. Czyż w tym magicznym blasku miasteczko nie wygląda jak siedlisko przyjaznych, światłych umysłów? Ale to złudny obraz. Za tymi migocącymi oknami małostkowi ludzie niszczą i szarpią najświętsze dobra, jakie im dała natura. Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Oni zaś robią z tego karykaturę.

W bladym świetle księżycy Katarzyna starała się dojrzeć jego twarz. Była blada, jakby zniekształcona bólem. Wstała i ujęła jego dłoń.

— Choć, Helmucie, zejdziemy na dół. Jesteś w takim nastroju, że widok ten bynajmniej nie działa na ciebie uspokajająco.

Trzymając się za ręce, schodzili w dół. Od szczupłej dziewczęcej dłoni płynął do jego niespokojnego serca kojący czar.

Nazajutrz o dziewiątej przed domem państwa Rodecków zatrzymał się duży konny powóz.

Siedzieli w nim pan burmistrz z małżonką, Albert, Joanna i jeszcze cztery osoby — dwie młode panny, przyjaciółki Joanny, mała, pulchna kobieta, matka obu panien, i pan aptekarz. Państwo Rodeckowie, Katarzyna i Helmut dosiedli się do nich. Pozostałe jeszcze dwa wolne miejsca zajęły koleżanka Katarzyny z lekcji tańca i jej matka — mieszkające w sąsiedztwie. Ojciec panny miał usiąść na koźle obok woźnicy, ale Helmut do tego nie dopuścił. Zeskoczył z powozu, pomógł starszemu panu zająć swoje miejsce, a sam wdrapał się na górę.

Młodym pannom wcale się to nie spodobało. Nie po to z trudem wywalczyły miejsce obok niego.

Panował minorowy nastrój. Poza tym było chłodno, powietrze zaś nasyczone gęstą mgłą. Wprawdzie zapowiadała się ładna pogoda, lecz wilgoć rozprostowała starannie ufryzowane loczki panien, które wiedziały, że wyglądają przez to wielce niekorzystnie.

Rozmowa się nie kleiła. Helmut na koźle wesoło pogwizdywał. Wreszcie Katarzyna się zlitowała. Siedziała w powozie tuż za Helmutem, oddzielona od niego tylko szarą płócienną zasłoną. Odsunęła ją.

— Helmucie, mimo wszystko chcielibyśmy mieć coś z twojego towarzystwa. Gdybyś się odwrócił, mógłbyś z nami rozmawiać.

Helmut trochę się pochylił, oparł o siedzenie obiema rękami i ze śmiechem zajrzał do środka.

— Co prawda trochę to niewygodne, ale niech będzie. Witam państwa! Bardzo mi miło, że znów państwa widzę.

I zaczął dokazywać i błaznować. Młode panie piszczały z uciechy, pan burmistrz z małżonką również świetnie się bawili, nawet wąskie wargi Karola Rodecka i jego żony rozciągały się w uśmiechu.

Lecz Helmut widział tylko twarz Katarzyny. Bardzo lubił, kiedy się śmiała. Jej czerwone usta i białe zęby lśniły tuż przy nim. Biała, delikatna cera przybrała różowy odcień, a włosy roztaczały szczególny zapach, który go bardzo podniecał.

Żartował i przekomarzał się ze wszystkimi, by zagłuszyć gorącą tęsknotę za nią.

Całe szczęście, że jutro odjeżdża. Nie mógłby dłużej panować nad sobą w jej pobliżu.

Miłość do Katarzyny ogarnęła go z ogromną siłą — nigdy jeszcze nie odczuwał tak głęboko i mocno czaru i uroku kobiety.

Przy wyjeździe z miasteczka spotkano jeszcze trzy bryki, również załadowane gośćmi.

Witano się ceremonialnie. Także teraz Helmut starał się o stworzenie wesołego nastroju. Zalecał się nie tylko do młodych panien, lecz adorował także ich matki.

Po krótkiej przerwie ruszono dalej, w głąb lasu. Zatrzymano się przy źródelku. Zaczęła się żywa krzątania.

Helmut zafundował kosz szampana jako rewanż za wszystkie zaproszenia. Butelki zanurzono w chłodnym, czystym źródelku.

Tymczasem wyjrzało słońce, zrobiło się ciepło. Śniadanie spożywano z wielkim apetytem. Potem były rozmaite gry z nagrodami, którymi wyróżniano szczególnie młode panny. Helmut z samego ranka wykupił w tym celu wszystkie bombonierki, jakie miał w magazynie jedyny w miasteczku sklep ze słodyczami.

Sam je teraz wręczał zwyciężczyniom w biegach, rozbijaniu garnków i innych grach.

Katarzyna stała niczym królowa pośród pospolitych panien. Czasami zamieniała wesołe spojrzenie z Helmutem, który raz jeszcze poddał się chętnie jej czarowi. Jutro wszystko miało się skończyć.

Później zaproponował zbieranie orzechów laskowych. Pamiętał jeszcze doskonale miejsca, gdzie było ich bardzo wiele. Propozycję przyjęto z entuzjazmem. Ojcowie i matki pozostali przy koszach z prowiantem i butelkach szampana i nie mogli się nachwalić „czarującego pana doktora”. Pani Amelia promieniała, a Karol Rodeck miał minę, jakby chciał powiedzieć: „Nic dziwnego, przecież to mój syn!”

Młodzi pod przewodnictwem Helmuta wyruszyli na zbieranie orzechów. Także doktor Kruger ze swoją narzeczoną brał w tym udział. Obaj z Helmutem czuli do siebie głęboką antypatię. Krugera irytowało, że za sprawą Helmuta przestano traktować Katarzynę lekceważąco, Helmut zaś miał doktorowi za złe, że z jego powodu Katarzyna musiała znieść tyle przykrości. Mimo to obaj panowie byli wobec siebie uprzejmi.

Wkrótce wszystkich pochłonęło zbieranie orzechów. Tylko Helmut i Katarzyna pozostali. Wziął ją pod ramię.

— A teraz, Kasiu, pragnę na godzinę zaprzestać roli uwodziciela. Choć, wejdziemy głębiej do lasu, gdzie nie ma ludzi. Bardzo chcę pozostać sam.

— Czy nie będę ci w tym przeszkadzać?

Spojrzał na nią; stała przed nim opromieniona słońcem, w skromnej białej sukni. Włosy miała w nieładzie od krzątaniny i wiatru. Jej delikatna, piękna twarz była zarumieniona, błękitne oczy błyszcząły, a czerwone usta uśmiechały się do niego. Westchnął głęboko.

— Nie, ty nie będziesz mi przeszkadzać, Kasiu.

Szli obok siebie w milczeniu wąską ścieżką leśną. Nagle Katarzyna się zatrzymała.

— Poczekaj chwilkę, tylko poprawię włosy, bo mi się potargały — rzekła z uśmiechem.

Powiesiła lekki słomkowy kapelusz na gałęzi, wyjęła z włosów grzebienie i poprosiła, aby je potrzymał.

Jej ciężkie ciemne loki opadły na białą suknię. Zaczesała je do tyłu małym ozdobnym grzebieniem i szybkimi, sprawnymi ruchami upięła loki. On zaś stał przed nią i chłonał ten cudowny widok.

Katarzyna wyglądała zachwycająco. Zieleń lasu i promienie słońca tworzyły wokół niej wspaniałe tło. Helmut nigdy nie zapomnił tego widoku i ilekroć później myślał o Katarzynie, właśnie taką ją widział przed sobą.

Katarzyna nie miała pojęcia, co się z nim dzieje. Skończyła toaletę, wyjęła lusterko i przejrzała się w nim.

— No, teraz znów wyglądam porządnie, przepraszam za tę przerwę. Poszli dalej.

Po chwili Katarzyna zapytała:

— A więc postanowiłeś jednak wyjechać?

— Tak, jutro z rana.

— Czy ci się spodoba w Berlinie? Przecież odzwyczaiłeś się już od tamtejszych warunków.

— To nie szkodzi. Wszystkie wielkie miasta są w pewnym stopniu do siebie podobne. Berlin zaś znam sprzed lat i czuję się tam swojsko. Zresztą od razu będę miał sympatyczne towarzystwo. Opowiadałem ci o moim protektorze, u którego brata byłem nauczycielem domowym. Ów pan jest głównym akcjonariuszem naszego przedsiębiorstwa. W jego domu znajdę życzliwe przyjęcie.

— Czy on ma dzieci?

— Tak, córkę, ale już zamężną. — Znasz ją?

— Bardzo dobrze, udzielałem jej lekcji francuskiego i włoskiego, zanim wyjechałem do Ameryki. W ten sposób poznałem mojego protektora. Potem ona wyszła za mąż.

Katarzyna milczała, zastanawiała się.

Może to ta kobieta, którą Helmut kocha i z której musiał zrezygnować? Czy jest ładna? Czy Helmut bardzo cierpi? Z ufnością wzięła go pod ramię. Milczała. Jeśli jest tak, jak przypuszcza, to nie powinna z nim o tym mówić, by nie sprawiać mu bólu.

— No co, Kasiu, czemu zamilkłaś? Spojrzała na niego łagodnie.

— Kiedy jestem z tobą sama, wcale nie zauważam, że milczymy.

Skinął głową.

— Trudno nazwać milczeniem, kiedy dwoje ludzi, którzy się znają, nie rozmawia ze sobą. Pomiedzy pokrewnymi duszami milczenie jest częstokroć dostatecznie wymowne. Wiedziałem teraz dokładnie, o czym myślałaś.

Zaśmiała się i spojrzała na niego.

— Masz bardzo niebezpieczny dar odgadywania moich myśli. Ale proszę, mówmy o czymś innym, nie chcę jeszcze raz rozjątrzać twojej rany. Popatrz, wiewiórka! Jak zręcznie wspina się po pniu.

Z uśmiechem jej posłuchał i zaczął mówić o zwinnym rudym zwierzątku. Niech sobie myśli, że on się kocha w córce swego protektora. Im będzie z nim swobodniejsza, tym łatwiej zmyli ją co do swego prawdziwego uczucia.

Szli dalej ramię w ramię.

Nagle rozchyliły się gałęzie i stanął przed nimi Albert Rodeck, uśmiechając się ironicznie.

— Acha, widzę, że wcale nie szukacie orzechów.

— Tak samo, jak ty.

— Wolałem pospacerować, podobnie jak ty. Niestety, nie miałem tak uroczej towarzyszkii na swym samotnym spacerze.

— Powinieneś zabrać ze sobą żonę — odparł Helmut z ironią.

— My właśnie wracamy, a zatem miłej przechadzki, bo chyba idziesz dalej?

— Nie, jeśli pozwolicie, przyłączę się do was. To nawet będzie lepiej wyglądało wobec ludzi, jeśli nie wrócicie sami. Narzeczona musi także zachowywać pozory — rzekł Albert złośliwie.

— A ty trzymaj język za zębami, mój drogi! — zawołał Helmut.

— Jest tu i tak dość złośliwych plotkarzy, nie musisz powiększać tego czcigodnego grona. Ty co prawda potrafisz znakomicie zachowywać pozory, mniejszą zaś wagę przykładasz do prawdy.

Albert rzucił jadowite spojrzenie na Katarzynę. Chyba coś wyaplała.

Dziewczyna spojrzała jednak na niego odważnie.

— Nie rozumiem, co miałeś na myśli — rzekł Albert ze złością.

— Tym lepiej dla ciebie. Ale jeśli sobie życzysz, bym powiedział wyraźniej, możemy później o tym porozmawiać w cztery oczy. I jeszcze jedno: gdyby ci przyszło do głowy swoim złośliwym gadaniem znów narażać na szwank dobre imię Kasi, to bądź przygotowany na najgorsze.

Albert się przestraszył.

— Ależ, Helmucie, tak dziwnie ze mną rozmawiasz — rzekł ze słodką uprzejmością. — Dobre imię Katarzyny jest dla mnie równie święte, jak dla ciebie, jest moją krewną tak samo, jak twoją. A że zawsze jej dobrze życzę, o tym ona także wie, prawda, Kasiu?

Katarzyna spojrzała spokojnie i poważnie na jego spąsowiałą twarz.

— Dajmy temu spokój. Chodź, Helmut, pośpieszmy się! Myślę, że zbieranie orzechów dobiegło końca.

Poszła przodem. Obaj mężczyźni ruszyli za nią. Od tej chwili stali się zaciętymi wrogami.

Zebrano bardzo dużo orzechów, a potem wszyscy przystąpili ochoczo do jedzenia. Ucztowano wśród żartów i śmiechów i popijano zafundowanego przez Helmuta szampana.

Po posiłku całe towarzystwo odbyło małą sjęstę, a po odpoczynku wszyscy ruszyli do gospody, gdzie młodzież zaczęła tańczyć.

Także Helmut tańczył niezmiernie po kolei ze wszystkimi młodymi dziewczętami. Dopiero na końcu poprosił Katarzynę do walca. Ona mało tańczyła, przyglądała się z uśmiechem, jak on się poświęcał.

— Biedny Helmucie, podczas tego ostatniego wieczoru powinieneś wypocząć.

Objął ją i poprowadził lekko i pewnie.

— To co najlepsze, zostawiłem sobie na koniec. Nie zrezygnuję z tego. Tańczysz wspaniale, Kasiu.

— Bo ty dobrze prowadzisz.

A jemu się zdawało, że nigdy jej nie puści. Kiedy jednak taniec się skończył, odsunął się od niej na pozór spokojnie i uwolnił z objęć. Wkrótce wyruszono z powrotem.

Tym razem podczas całej jazdy Helmut siedział na koźle, nie mówiąc ani słowa. Za nim w bryczce śpiewano; początkowo chórem, potem wyróżnił się głos, który sprawił, że reszta towarzystwa zamilkła. Był to głos Katarzyny, która jasnym, pięknym głosem śpiewała starą pieśń.

Brzmiało to tak pięknie, że wszyscy w milczeniu słuchali. Samotny mężczyzna na koźle słuchał całym sercem.

Dopiero żegnając się z towarzystwem Helmut powiedział, że już jutro odjeżdża. Posypały się pytania, wyrażano żal. Uwolnił się od gości dopiero wówczas, gdy zapewnił, że wkrótce znów przyjedzie. Wołano do niego „do widzenia” najśłodszymi głosami.

Helmut wyjechał i znów zrobiło się cicho w szarym, surowym domku. Nie rozlegał się śmiech ani śpiew, nie trzaskano drzwiami. Jak zawsze, panował wszędzie ostry zapach skóry.

Katarzyna bardzo dotkliwie odczuła tę zmianę i mocniej niż dotąd pragnęła opuścić ten dom. Powoli przygotowywała się do wyjazdu. Powiedziała wujostwu, że pragnie wyjechać szóstego października. Nie usłyszała ani słowa żalu, wuj powiedział jedynie, że jej pieniądze przekaże do banku w Chemnitz, oprócz kilku tysięcy marek, których chyba potrzebuje na wyprawę. Dał jej pieniądze i rozliczenie. Musiała podpisać pokwitowanie. Wszystko odbyło się chłodno, w sposób ściśle kupiecki. Tylko stara Lina, która pomagała Katarzynie w przygotowaniach do podróży, narzekała i lamentowała.

Ale kiedy nadeszła chwila pożegnania i Katarzyna stanęła przed starymi ludźmi, którzy mieli zastąpić jej rodziców, ogarnęło ją wzruszenie. Drżącym głosem podziękowała im za wszystko, co dla niej zrobili, i prosiła o wybaczenie, że musiała im sprawić przykrość. Ale w odpowiedzi usłyszała tylko chłodne ostrzeżenia i obojętne słowa pożegnania. Wówczas serce jej się zamknęło.

Lina odprowadziła ją na dworzec.

Kiedy pociąg odjeżdżał, Katarzyna jej pomachała. Na peronie było pusto. Ostro rysowała się jedynie postać starej służącej.

Katarzyna opadła na wyściełane siedzenie wagonu i gorzko zapłakała.

Tylko stara służąca ją odprowadziła, tylko ona będzie myślała o niej serdecznie... W końcu się opanowała.

„Trzeba patrzeć przed siebie, a nie wstecz!” Taka była odtąd jej dewiza.

Georg Wigand i Anna Berthold powitali Annę na dworcu w Chemnitz. Kiedy Katarzyna ujrzała ukochanego, radość przesłoniła jej wszystko, co przeżyła. Promieniejąc ze szczęścia, szła pomiędzy nim a panią Anną do swego tymczasowego domu.

Georg mógł pozostać z nią tylko parę godzin, musiał iść do teatru. Ale pani Berthold była tego wieczoru wolna i zabrała Katarzynę do siebie, gdzie było przytulniej i porządniej niż w mieszkaniu, które wynajmowała, będąc na występach w miasteczku Katarzyny.

Stół był nakryty do kawy, prócz serwisu stał tam talerz pełen małych ciasteczek. Pani Anna trzymała przez cały dzień kawę w pogotowiu i kiedy miała komuś wyświadczyć jakąś przysługę, ten ktoś musiał z nią wypić kawę.

Katarzyna wypiała bez sprzeciwu, chociaż nie była przyzwyczajona do kawy o tej porze. Starsza kobieta opowiadała rozmaite rzeczy, które w jej mniemaniu mogły Katarzynę interesować. Udzielała jej rad, gdzie najkorzystniej robić zakupy na wyprawę, i wyraziła gotowość towarzyszenia jej, gdyby to okazało się potrzebne.

Wieczór szybko minął. Po dziewiątej przyszli z teatru Georg i Hieronim Berthold. Cała czwórka udała się do restauracji na kolację. Katarzyna była zdziwiona, że jadają o tak późnej porze.

— Będiesz" się musiała przyzwyczaić do zupełnie innego trybu życia, Kasiu. My jemy zawsze dopiero po przedstawieniu i późno chodzimy spać. Czy trudno ci będzie się do tego dostosować?

Katarzyna z uśmiechem potrząsnęła głową. W drodze do restauracji młoda para szła przodem. Georg szeptał Kasi czułe słówka.

— Bogu dzięki, że to czekanie wkrótce się skończy. Najdroższa, będę szczęśliwy, kiedy znajdę się z tobą we własnym gniazdku! Jakże się na to cieszę, moja słodka dziewczyno! Czy tęskniłaś za mną?

Katarzyna przycisnęła jego ramię do swego i spojrzała ku niemu promieniejąc szczęściem.

— Chyba sobie nie zdajesz sprawy, ile dla mnie znaczysz, bo inaczej nie pytałbyś o to.

W restauracji czekali na nich Kertner i Hartenberg. Obaj panowie mieli być świadkami na ślubie. Georg ich zaprosił, by przedstawić swojej narzeczonej. Katarzyna przywitała ich życzliwie. Georg cieszył się, że brała udział w rozmowie i mówiła mądrze i rzeczowo. Obawiał się, że będzie milczała i uśmiechała się jak prowincjonalna gąska. Katarzyna śmiała się z komicznej paplaniny Hartenberga, Kertner zaś wywarł na niej bardzo korzystne wrażenie. Jego powściągliwy sposób bycia i mądra rozmowa szczególnie jej się spodobały. Twarz jego, w gruncie rzeczy brzydka, przyciągała ją, wydawała się przyjazna, a spojrzenie jego bystrych ciemnych oczu wyrażało ciepłą sympatię. Czasem przybierał wyraz zagadkowy, czego nie rozumiała. Wyglądało to niemal jak współczucie.

Rozmowa toczyła się lekko i swobodnie, dotyczyła rozmaitych dziedzin. Była to prawdziwa rozkosz dla młodej dziewczyny. Szybko poczuła się swojsko w tym małym gronie.

Hartenberg, który tymczasem pielęgnował nową nieszczęśliwą miłość, energicznie wyrwał ją z serca. Od nowa adorował Katarzynę i nie spuszczał z niej oczu.

Kiedy żegnali się tego wieczoru, Katarzyna zyskała w nim nowego wielbiciela, w Kertnerze zaś oddanego przyjaciela. Ponieważ teraz ją poznał, w dwójnasób jej współczuł, wiedział bowiem dobrze, że jej szczęście z Wigandem nie potrwa długo.

Kiedy wracali razem do domu, Hartenberg żalił się przyjacielowi:

— Co za ironia losu! Czy może być coś bardziej okrutnego niż przymus odgrywania roli świadka na ślubie ukochanej istoty z innym mężczyzną?

— Posłuchaj, zrób to dla mnie i uwielbiaj ją bardziej skrycie, abym nie musiał tego wysłuchiwać — odparł Kertner i dodał poważnie: — Dziewczyna jest naprawdę bardzo miła, chłopie, nieczęsto się kogoś takiego spotyka. Adoruj ją sobie, nie mam nic przeciwko temu, ale taktownie. Ona nie nadaje się do twoich nieporadnych zalotów. Kobiety takie, jak ona, potrzebują prawdziwych mężczyzn. Twoje bezsensownie trwonione uczucia są nic niewarte. Zatrzymaj je sobie dla siebie.

Rozdział dziesiąty

Ślub Katarzyny odbył się w tym samym gronie. Wigand postanowił dopiero później przedstawić żonę reszcie kolegów; obiecał wszystkim, że urządzi wielkie przyjęcie.

Tak więc w pierwszym okresie młoda para żyła w odosobnieniu. Dni miały Katarzynie jak sen pełen szczęścia i rozkoszy. Zastanawiała się często z niepokojem, czy takie szczęście może trwać długo. Młodzi małżonkowie cały czas spędzali razem, poza wieczorami, kiedy Georg grał. Wówczas Katarzyna siedziała w teatrze, dumna i szczęśliwa, a serce jej wyrывało się do niego. Po przedstawieniu mówiła mu, że go podziwiała, że grał cudownie. Budowali gorliwie swoje gniazdko. Wynajęli ładne mieszkanie i urządzali je solidnie i ze smakiem wedle wskazówek Georga.

Na życzenie Georga Katarzyna musiała sobie zamówić kilka eleganckich kostiumów. Włosy czesała teraz również wedle jego wskazówek i dzięki temu jej uroda w pełni się uwydatniła. Gdziekolwiek się z nim pokazała, przyciągała ogólną uwagę, co mu ogromnie pochlebiało. Był w Kasi tak zakochany, że nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia, kiedy się okazało, że jej majątek nie był taki wielki, jak sobie wyobrażał.

Był też zbyt lekkomyślny, by się tym przejmować. Na razie nie chciał, by cokolwiek zakłócało jego młode szczęście, radość z pięknej żony i nowego domu.

Katarzyna zaś była zbyt niedoświadczona w sprawach pieniężnych. Wydawała pieniądze podobnie jak on całymi garściami. Cóż znaczyły dla niej pieniądze! Jedno tylko było ważne, tylko jedno stanowiło treść jej życia — bałwochwalczo uwielbiany mąż.

Georg cieszył się bardzo, że wreszcie będzie mógł pokazać kolegom swój nowy dom, i uroczystość, jaką zamierzał urządzić, miała wypaść pod każdym względem wspaniale. Nie należało na to skąpić. Później będą żyć oszczędniej. Teraz jednak pragnął wydawać pieniądze bez ograniczeń.

Katarzyna musiała włożyć białą jedwabną suknię, którą wybrał dla niej specjalnie na ten wieczór. Potrawy zamówiono w jednym z najlepszych hoteli, wino również.

Katarzyna była równie podniecona, jak Georg. Oparta na jego ramieniu spoglądała na przystrojony stół z radosną dumą; jeszcze raz przeszła się po pokoju, wszystko sprawdzając. W ich domu było pięknie i przytulnie.

Oczywiście miała trochę tremy, przecież nie знаła jeszcze większości kolegów Georga.

— Wiesz, czuję się trochę nieswojo, przecież prawie nie znam naszych gości — powiedziała do Georga.

Ze śmiechem wziął ją w ramiona.

— Niczego się nie obawiaj, Kasiu, wszyscy będą się u nas czuli jak u siebie w domu. Nie dostrzeżesz ani odrobiny sztywności czy skrepowania.

Ze względu na kolegów, którzy tego wieczora grali, zaproszono gości dopiero na dziesiątą. Georg w tym dniu nie występował, mógł więc zostać z Katarzyną. Tuż po dziewiątej przyszli Bertholdowie.

— Chciałem nacieszyć się spokojnie waszym pięknym domem, zanim nadciągnie reszta — rzekła pani Anna serdecznie. Ubrała się odświętnie, także jej Hieronim był w wieczorowym stroju.

Kiedy pani Berthold wszystko już obejrzała, rzekła do Georga i Katarzyny:

— Na waszym miejscu urządziłabym całą zabawę w restauracji.

— Dlaczego?

— Po pierwsze, wasze mieszkanie pozostałoby w porządku. A jeśli stłucze się talerz lub szklanka, łatwiej to odkupić niż wasze śliczne naczynia.

— Tak łatwo się nie tłucze, a mieszkanie jutro szybko doprowadzę do porządku — rzekła Katarzyna ze śmiechem.

— Nie ma pani pojęcia, dziecinko, jak to u nas czasami bywa. No, może dziś nie będą zbyt bałaganić. To wszystko zależy od nastroju.

— Będę się cieszyła, jeśli wytworzy się wesoły nastrój. Pan Kertner i pan Hartenberg zawsze mają znakomite pomysły.

— No, ci dwaj wiedzą, jak się zachować. Ale reszty nie jestem taka pewna.

— Ach, daj spokój, Anno, bo wykraczesz nam nieszczęście. Kasia wie, że wyszła za aktora, i musi się oswoić z tym stylem życia. Prawda, kochanie?

Katarzyna skinęła głową z promiennym uśmiechem. Dla niej liczyło się tylko to, co on powiedział i czego chciał. Pani Anna usiadła w fotelu.

— No to w porządku — rzekła ze stoickim spokojem i rozparła się wygodnie.

Hieronim usiadł w pobliżu niej i cieszył wzrok widokiem pięknej młodej kobiety.

Kertner i Hartenberg przyszli punktualnie co do minuty. Oni także byli w wieczorowych strojach. Spojrzeli na Katarzynę zaskoczeni.

„Ile to może zdziałać uczesanie i suknia”, pomyślał Kertner. Hartenberg zaś z podziwu wytrzeszczył oczy.

Georg widział, że byli zachwyceni Katarzyną.

— Żadna z koleżanek nie może się z tobą równać — rzekł do żony, kiedy go zapytała, czy nie zaćmią jej swoją urodą.

I miał rację.

Chociaż wszystkie panie bardzo starannie zadbały o swój wygląd, chociaż umiały swe wdzięki przedstawić w jak najkorzystniejszym świetle, wszystkie zbladły jak gwiazdy wobec słońca w porównaniu z naturalną urodą Kasi.

Początkowo młoda małżonka była bardzo rada ze swobody, z jaką się wobec niej zachowywano. Panie i panowie witali się z nią tak poufale, jak gdyby znali ją od lat.

Trochę dziwne jej się wydało, że panie były z panami na ty, oczywiście także z jej mężem. A panna Dannewitz bez ceregieli pocałowała na przywitanie najpierw Georga, a potem Katarzynę.

— Do licha, aleś znalazł świetną żonę, Żorzyku! Piękna jak malowanie. A jak u was ślicznie! I pachnie dobrymi rzeczami, a ja przyniosłam ze sobą wilczy apetyt.

Ponieważ Katarzyna wydawała się trochę zmieszana, roześmiała się dobrodusznie.

— Już taka ze mnie zbzikowana baba, jak mi się ktoś podoba, to daję mu buziaka. — Po czym zwróciła się do innych gości. Hieronim dostał od niej przytyczka w nos, Kertnera pociągnęła za ucho, Hartenberga także pocałowała.

— Ponieważ ten facet jest zawsze nieszczęśliwie zakochany, nigdy w życiu nie doczekałby się porządnego całusa! — zawołała ze śmiechem.

I tak obeszała wszystkich. Kiedy zjawiła się reszta gości, udano się do stołu.

Swobodny, wesoły nastrój, który panował od początku i nie przekraczał granic dobrego smaku, bardzo się Katarzynie spodobał, kiedy już pokonała początkowe zmieszanie. Cieszyła się, że tak ochoczo i z apetytem zabrano się do jedzenia.

Georg kilkakrotnie uśmiechał się do niej zachwycony, kiedy żywo rozprawiała z gośćmi. Siedział naprzeciwko niej obok panny Hellmann. Aktorka okazywała trochę wymuszoną wesołość. Nie chciała dać poznać po sobie, co odczuwała podczas pobytu w domu swojej rywalki. Nie przeboleła jeszcze porażki.

W miarę upływu czasu nastrój stawał się coraz bardziej swobodny. Często padały słowa, które wywoływały rumieniec na twarzy Katarzyny. Szampan całkowicie rozwiązał języki. Poczynano sobie coraz swawolniej.

Pani Berthold po kolacji przeszła do salonu i drzemała w kącie kanapy, Hieronim, zadowolony, siedział spokojnie przy swoim kieliszku. Jednym z najweselszych ludzi był Georg. Najwyraźniej i na niego podziałał szampan. Wciąż namawiał do picia i sam stanowił w tym względzie przykład.

Katarzyna poczuła się nagle w tym towarzystwie okropnie nieszczęśliwa. Była przerażona, widząc, jak wszystkie panie słuchają z uśmiechem nieprzyzwoitych dowcipów, a nawet same je opowiadają. Najgorsze jednak było to, że jej mąż, jej ubóstwiany mąż, nie bacząc na nią, opowiadał sprośne kawały i śmiał się z nich do rozpuku. W ogóle Georg, którego dziś zobaczyła, wydał jej się obcy. Jego piękna twarz zmieniła się od nadmiaru alkoholu, oczy jego migotały niespokojnie i miały wyraz, którego Kasia dotąd nie знаła. Ogarnął ją jakiś niejasny, nieokreślony strach. Siedziała blada i cicha. Wśród ogólnego rozgardiaszu nikt tego nie zauważył. Panowie i panie byli już dość pijani.

Tylko jedna osoba w całym towarzystwie pozostała trzeźwa i spokojna: Kertner. On także siedział bardziej milczący niż zazwyczaj i obserwował Katarzynę ukradkiem, ale uważnie. Widział, jak cierpi.

Wstał spokojnie i stanął za jej krzesłem.

— Powinna pani stąd odejść. To nie dla pani — rzekł poważnie. Katarzyna spojrzała na niego bezradnie.

— Przecież nie mogę opuścić moich gości — odparła cicho.

— Owszem, może pani. Sami są winni. Teraz nikt tego nie zauważy. Niech pani spokojnie odejdzie. A gdyby ktoś o panią zapytał, powiem, że rozboleła panią głowa. Jest też pani zmęczona, widzę to.

Katarzyna wstała z głębokim westchnieniem.

— Tak, jestem zmęczona. Sądzi pan, że mogę odejść?

— Z całą pewnością.

Odprowadził ją do drzwi i puścił przodem. Zaraz podszedł do niego Hartenberg z pełnym kielichem.

— Adi, dokąd ona poszła? Znikła moja gwiazda! — zawołał. I on był trochę wstawiony.

Kertner spokojnie wyjął mu kieliszek z ręki i odstawił.

— Nie przepij swego i tak niewielkiego rozumu! — zawołał poirytowany. — Opamiętaj się i pomóż mi pozbyć się gości. Zasłużysz sobie na wdzięczność tej młodej kobiety.

Hartenberg najpierw spojrzał na niego tępym wzrokiem. Ale powoli coś mu zaświtało.

— Ach, tak, Adi, widzisz, a ja wcale o tym nie pomyślałem. Otrząsnął się i usiłował pozbyć lekkiego rausza. Kertner nalał mu szklanek wody.

— Masz, wypij. A potem udaj, że jesteś potwornie zmęczony, i przynaglaj do odejścia. Ja pójdę do salonu i zbudzę Annę.

Z tymi słowy zostawił Hartenberga i udał się do salonu. Pani Anna smacznie chrapała w kącie kanapy. Kertner ją obudził.

— Anno, pomóż mi wypędzić kolegów do domu. Dziś znów zachowują się nieprzyzwoicie. Ta młoda kobieta miała niezłą próbkę naszej genialności. Namówiłem ją, żeby się wycofała z towarzystwa.

Anna szybko się ocknęła.

— Znów się ta banda rozhulała?

— Jeszcze jak!

— A gdzie podziewa się nasza gospodyni?

— Nie wiem. Tak mi było żal biedaczki.

— No, musi się dopiero przyzwyczaić.

— Trudno jej to przyjdzie. W każdym razie dziś wieczór ujrzała męża w zupełnie innym świetle. Szampan splukał z niego całą politurę. Biedna dziewczyna! Kiedy zda sobie sprawę, że Georg to nie złoto, lecz tombak, przypląci to wielkim cierpieniem.

— Ach, daj spokój, nie przesadzaj z tym wielkim cierpieniem. Jakoś się pogodzi z tym, że on jest tylko człowiekiem, a nie półbogiem; z tego powodu nikt jeszcze nie umarł.

— Człowiek płytki na pewno nie. Ale wydaje mi się, że kiedy ona uświadomi sobie, jak nędznym człowiekiem jest jej mąż, zetnie ją to z nóg. Przewidziałem, że to małżeństwo nie będzie szczęśliwe.

Panna Anna wstała ziewając.

— Może jednak jakoś się do siebie dopasują, jeśli tylko Helena nie będzie się wtrącała. Nie wierzę jej ani trochę.

Oboje weszli do pokoju.

— O Boże, jak tu wygląda, istna Sodomia i Gomora! Od razu im to przepowiedziałam. Szkoda tych dywanów. A tu na obrusie palący się papieros. Oczywiście wypalił dziurę. Hieronim, ty także? No, ruszaj się, idziemy do domu, stary. Jutro będziesz miał solidnego kaca. Hej, koledzy, zbieramy się, już świta. Najwyższy czas.

Także Kertner naglił energicznie, a Hartenberg mu pomagał. Pół godziny później Adi wyszedł jako ostatni. Zanim wyszedł, rzekł cicho do Wiganda:

— Wypij butelkę wody sodowej i wystaw głowę przez okno. Twoja żona nie powinna cię widzieć w takim stanie.

Wigand roześmiał się. Ani myślał pójść za jego życzliwą radą. Zaczął szukać żony, wołając ją ochryłym głosem. Nie odpowiadała. Zataczając się i wymyślając, wszedł do sypialni. Katarzyna stała przy oknie i spoglądała na ulicę.

Na dworze padał śnieg. W blasku latarni lśnił i migotał jak małe odłamki brylantów.

Kiedy wszedł mąż, zwróciła głowę w jego stronę. Spojrzała na niego szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Czy to był jej ubóstwiany mąż, jej ideał, jej bóg? Ten potargany mężczyzna o szklistych oczach i tępym wyrazie twarzy?

— Ha, ha! Tu jesteś, Kasiu, zwiąsałaś, ty bestyjko. Ha, ha! Wesoła paczka, co? Byczo było, naprawdę byczo. Wszystkich zatkało, po prostu zatkało, ha, ha! A tę małą Hellmann tak obłaskawiłem, że teraz z ręki mi je i jest nadal we mnie zakochana. Okropnie była na mnie zła, że się z tobą ożeniłem. To jasne, bo sama miała na mnie chrapkę. Śmieszne te baby, wszystkie na mnie lecą, wszystkie bez wyjątku. Ha, ha! Chodź, Kasiu, daj mi buziaka! Jesteś jednak najładniejsza z nich, nie dorastają ci do pięt. Ale z ciebie spryciula, mała bestyjko, zamydliłaś mi oczy, że niby jesteś taka bogata. To był podstęp, co? Powiedz szczerze, chciałaś mnie usidlić. Ale nic nie szkodzi, jesteś ładna, a na jakiś czas starczy mamony. Trzeba coś z tego mieć. Do licha... ja... ja... ach, co tam, no, daj mi buziaka, moja biała gołąbeczko.

Katarzyna nieruchomo wpatrywała się w jego obrzmiałą twarz. Rozumiała tylko połowę z tego, co mówił, patrzyła z przerażeniem na jego zniekształcone rysy.

Chciał ją wziąć w ramiona. Instynktownie go odepchnęła.

— Zostaw mnie! — zawołała. Starał się wyprostować.

— Co jest, dlaczego? Co to ma znaczyć? Chodź tu i daj mi buziaka, ty szelmo!

— Nie! — zawołała Katarzyna prawie nieprzytomna. — Nie dotykaj mnie, jesteś pijany!

Wybuchnął śmiechem.

— Pijany, ha, ha! Pijany, dobre sobie. Wcale nie jestem pijany. Skądże... ja... wiesz... ja mogę znieść więcej niż inni. Jestem całkiem trzeźwy, całkiem trzeźwy, tak jest. Bądź rozsądna, masz mnie pocałować, słyszysz?!

— Nie — rzekła Katarzyna twardo i głośno.

Wówczas wpadł we wściekłość.

— Co, nie chcesz? Kto jest panem w tym domu? Myślisz, że jak wniosłaś parę tysięcy marek, to możesz się stawiać? Co to, to nie!

Znów zbliżył się do niej, lecz ona się pochyliła i wymknęła spod jego rozpostartych ramion i wybiegła z pokoju. Potem znów usłyszała jego okropny, dziki śmiech. Ciężkim krokiem, powłócząc nogami, szedł przez korytarz, trzaskał drzwiami, wreszcie wrócił do sypialni. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Katarzyna już nic więcej nie słyszała. Prawdopodobnie się położyła.

Nasłuchiwała z zapartym tchem, nieruchomo. Kiedy zapadła cisza, z jękiem zakryła bladą twarz rękami.

Jej ideał runął, jej cudowne, dumne szczęście legło w gruzach.

Siedziała tak całe godziny, dręczona strachem i rozpaczą. I w ciągu tych samotnych godzin przeżyła najcięższą walkę swego życia; w walce tej straciła piękno i szczęście, pozostały tylko gruzy, z których miało się składać całe jej dalsze życie.

Kiedy się rozwidniło, podniosła się i ocieżała i sztywna weszła do jadalni.

Buchnął na nią ciężki odór wina, potraw i dymu. Na podłodze leżały przewracane krzesła. Obrus był zalany winem i zabrudzony popiołem od papierosów. Zwiędłe kwiaty rozrzucone były na stole i na podłodze. Strzęp białej koronki wisiał na oparciu krzesła, a obok kanapy na dywanie leżał grzebień ozdobiony zielonymi błyszczącymi kamieniami. Katarzyna widziała go we włosach panny Hellmann.

Czubkami palców podniosła grzebień i położyła go na stoliku. Potem zgasła światło i otworzyła okno. Jej dom wydał się zbezczeszczone. Już się nim nie cieszyła. Ale to wszystko było niczym wobec paraliżującego przerażenia, które ogarnęło ją podczas sceny z mężem.

Usiłowała usprawiedliwić go przed sobą samą. Był pijany, każdy mężczyzna czasem za dużo wypije. Wychowano ją zbyt surowo, to w niej tkwi, mimo całego sprzeciwu z jej strony. A Georg z pewnością nie wie, jakie okropności wygadywał.

Ale jednak tyle rzeczy przemawiało przeciwko niemu.

„He wina w głowie, tyle prawdy w słowie. Pijany pokazał, kim w istocie jest. Sercem widziałeś go takim, jaki w istocie wcale nie był. Wyposażyłaś go w zalety, których nie posiada. Zbyt wysoko go ceniłaś, zbyt wzniosie o nim myślałaś. W swoich pełnych ideałów marzeniach uczyniłaś go bogiem. A on jest tylko człowiekiem, i może nawet ani dobrym, ani szlachetnym człowiekiem!”

Odruchowo podeszła do lustra i spojrzała na swoją bladą, zmęczoną twarz. Wydała się sobie kimś obcym w tej wydekoltowanej sukni i nowym uczesaniu. Przyglądała się nieruchomo swemu odbiciu.

— Kim jesteś? Gdzie należysz? — rzekła głośno do siebie.

Twarz jej wyglądała jak widmo w bladym świetle poranka. Z ulicy powiał zimny wiatr.

Potem zaczęła robić porządek w pokojach. Praca ta przyniosła jej pewną ulgę. Usiłowała sama siebie uspokoić.

„Jesteś szalona. Wmawiasz sobie czarne myśli. Nie powinnaś czuć się taka nieszczęśliwa tylko dlatego, że twój mąż sobie trochę popił! Czyż nie byłaś szczęśliwa, czyż on nie był dla ciebie dobry i czuły? Człowiek pijany nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi i co mówi. Na pewno nie chciał cię urazić. Twój opór go zirytował, dlatego w gniewie rzucił ci te słowa, których wcale nie zamierzał. Nie bądź niemądra! Lepiej się położyć i wyśpij, zamiast siedzieć i snuć czarne myśli. Teraz jesteś zmęczona i widzisz wszystko w ciemnych barwach. Bądź rozsądna, weź się żwawo do roboty i zatrzyj ślady wczorajszego wieczoru. Kiedy wszystko sprzątniesz, poczujesz ulgę. Zapomnisz tę okropną noc. Takie uczty nie powinny się powtarzać. Wcale nie trzeba utrzymywać takich szerokich kontaktów towarzyskich. Na pewno Georg to zrozumie. A potem, kiedy on wstanie, bądź rozsądna i zrób dobrą minę. Sam na pewno będzie się wstydził. Nie pokazuj po sobie, coś przeżyła”.

Tak przekonywała samą siebie, pilnie porządkując mieszkanie. Kiedy przyszła sprzątaczką — Kasia nie wynajęła służącej — wspólnie zabrały się do roboty.

O dziesiątej pokoje były posprzątane i wywietrzone. Stół był nakryty do śniadania ładnie i apetycznie, nie pozostało ani śladu wczorajszego dnia. Tylko w kuchni było jeszcze sporo roboty. Sprzątaczką zmywała naczynia. Katarzyna wiedziała, że mąż ma o jedenastej próbę. Musiała go obudzić, był najwyższy czas.

Georg zerwał się z ciężką głową, gdy Katarzyna go zawołała. Zanim oprzytomniał, ona już wyszła z pokoju.

Podniósł się i rozejrzał dokoła. Spostrzegł, że łóżko Kasi pozostało nietknięte. Zrobiło mu się bardzo głupio, bo nie mógł sobie przypomnieć, jak właściwie znalazł się w łóżku.

Wstał i zanurzył głowę w miednicy. To go orzeźwiło i przywróciło jasność umysłu.

Teraz zdał sobie sprawę, że mocno sobie popił. Do licha, co się stało? Dlaczego Kasia się nie położyła i dlaczego zaraz po obudzeniu go wyszła z pokoju? Paskudna sytuacja! Oczywiście, będzie się dąsała. Trzeba się przygotować na reprimendę.

Miał najprawdziwszego fizycznego i moralnego kaca. Kiedy po kwadransie ubrany wszedł do pokoju, Katarzyna już siedziała przy stole. Była blada, oczy jej nie były tak jasne i promienne, jak zazwyczaj. Szybko do niej podszedł.

— Kasiu, chyba wczoraj w nocy źle się zachowałem? Wybacz mi. Czy to było okropne? Doprawdy nie pamiętam, co mówiłem i robiłem. Nie powinienem był tak sobie pofolgować.

Kasia spostrzegła, jaki był zmieszany, i zmusiła się do życzliwego uśmiechu.

— Nie mówmy już o tym, Georg — rzekła spokojnie. Zadowolony pocałował ją w usta i usiadł naprzeciwko niej.

— Jesteś cudowna, Kasiu. Byłem przygotowany na długie kazanie. Spokojnie posmarowała mu bułeczki i naląła kawę. Ale ponieważ milczała, Georg poczuł się nieswojo.

— Czy byłem bardzo nieznośny, Kasiu? Spojrzała na niego proszącym wzrokiem.

— Nie mówmy więcej o tym.

— Ale nie będziesz na mnie zła?

— Nie.

— Jesteś kochana. Idę teraz na próbę, potem przyjdę do ciebie i wybierzemy się na spacer. To nam obojgu dobrze zrobi. Zgadzasz się?

— Tak.

— Jesteś taka milcząca i nie w humorze, nie taka miła i serdeczna jak zawsze. Ale właściwie nie mogę ci tego brać za złe. Zasłużyłem na to, że nie jesteś dla mnie taka czuła. Nie dąsaj się długo, kochanie. A teraz pa, muszę iść.

Pocałował ją; nie wzbraniała się, ale nie odwzajemniła pocałunku. Nie mogła się do tego zmusić.

Georg szybko wyszedł. „Znów nabierze rozumu”, pomyślał beztrasko.

Katarzyna nieruchomym wzrokiem patrzyła w ślad za nim. „Nigdy już nie będzie tak, jak dotąd, bo straciłam wiarę w niego”, pomyślała z rozpaczą. Umarło w niej coś pięknego, coś wspaniałego.

Gdy Georg wrócił do domu, przyniósł jej cudowny bukiet.

— Proszę, kochanie, niech te kwiaty za mnie poproszą, byś wybaczyła mi mój wybryk.

Katarzyna podziękowała z miłym uśmiechem i starała się zachowywać wobec niego tak, jak zawsze. Po raz pierwszy fałsz wkradł się do jej sposobu bycia. Cierpiała wskutek tego, starając się ukryć wobec męża swe prawdziwe uczucia.

Georg nie był znawcą dusz. Cieszyło go, że Katarzyna znów jest taka jak zawsze. Nie miał pojęcia, że ona się zmieniła i że on stał się dla niej kimś innym.

Rozdział jedenasty

Od tamtego wieczora minęło kilka tygodni. Katarzyna poszła z mężem do teatru. Zanim się rozstali, powiedział: — Po przedstawieniu urządzamy w restauracji spotkanie koleżeńskie. Oczywiście z paniami. Chcemy się trochę rozerwać. Poczekaj tu na mnie, pójdziemy razem. Zgoda?

Katarzyna spojrzała na niego niemile dotknięta.

— Wolałabym wrócić do domu, Georg — rzekła proszącym głosem.

Spojrzał na nią ostro.

— Dlaczego nie chcesz iść ze mną?

— Nie czuję się dobrze w tym towarzystwie, nie pasuję do was. Zrobił obrażoną minę. — No tak, jesteś dla nas zbyt wytworna.

Wobec tego nie trzeba było wychodzić za aktora — rzekł z irytacją.

— Nie powinieneś tego tak rozumieć, Georg! Kertner, Bertholdowie i Hartenberg także są aktorami. Z nimi bardzo chętnie obcuję. Ale reszta pań i niektórzy panowie... cierpiałam istne katusze. Normalna kobieta nie pasuje do tego grona, powinieneś to zrozumieć.

— Ach, daj spokój, nie znoszę pruderii i bigoterii. Przecież jesteś mężatką, więc nie udawaj niewiniątka.

— Wcale nie udaję. Proszę cię, nie każ mi tam iść. Czuję się okropnie wśród tamtych kobiet.

— To po prostu głupie, Kasiu. Ale teraz nie mam czasu na dalszą rozmowę. Jeśli ehcesz, możesz wrócić do domu, powiem, że źle się czujesz. Ale tylko ten jeden raz. Wyszłaś za aktora, więc należysz do tego grona i jako mądra kobieta musisz się dostosować. Masz jeszcze w sobie dużo cech drobnomieszczańskich. Miejmy nadzieję, że z czasem się ich wyzbędzisz.

Pożegnał się, zły na nią, Katarzyna zaś poszła na widownię.

Mimo złego humoru Georg grał wspaniale. W trzecim akcie była wielka scena miłosna. Georg odegrał ją z panną Hellmann z ogromnym zaangażowaniem i namiętnością. Kiedy opadła kurtyna, Katarzyna głęboko westchnęła.

„Ona lepiej by do niego pasowała”, pomyślała i przeszył ją ostry ból. Nie odczuwała jednak zazdrości, tylko głęboki smutek, ponieważ oczekiwania i poglądy męża i jej własne okazały się tak rozbieżne. Po przedstawieniu szybko udała się do domu. Na placu przed teatrem spotkała Kertnera. Przywitał się z nią pełen szacunku.

— Jest pani sama? Czy mogę panią odprowadzić?

— Dziękuję, mam niedaleko.

— Idzie pani do domu?

— Tak... boli mnie głowa.

— Wobec tego nie przyjdzie pani dziś wieczór na tak zwane rodzinne spotkanie?

— Nie, bo... nie czuję się najlepiej. Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

— Pani nie umie kłamać. Mnie może pani spokojnie powiedzieć prawdę. Ja też nie chcę tam pójść.

Podąła mu rękę szybko, impulsywnie.

— Czuję, że mam w panu przyjaciela, panie Kertner. Tak, jest tak, jak pan mówi. Obawiam się tego spotkania. Poza tym jeszcze panu nie podziękowałam za to, że pan mi wtedy pomógł się wyrwać. Czynię to teraz z całego serca.

— Nie ma za co dziękować. Kiedy widzę muchę, która nie może się wydostać z wody, wyciągam ją i stawiam na twardym gruncie. A pani była wtedy taką biedną muszką, dlatego odprowadziłem panią w bezpieczne miejsce.

Doszli tymczasem do domu Katarzyny.

— Dobranoc, panie Kertner, i serdecznie dziękuję. Pocałował jej dłoń i pożegnał się.

— Czy wolno mi będzie jutro dowiedzieć się o pani samopoczucie?

— Zawsze chętnie pana widzę.

— Wobec tego pozwolę sobie złożyć wizytę Katarzyna powoli szła po schodach.

Dlaczego Kertner od razu zrozumiał, że ona nie należy do tego grona? Czy Georg nie mógłby mieć dla niej takiego samego zrozumienia?

Długo jeszcze się nad tym zastanawiała.

Georg wrócił do domu dopiero późno w nocy. Jego niepewne kroki i ciche mamrotanie zdradzały, że nie jest trzeźwy.

Katarzyna z lękiem zamknęła oczy i udała, że śpi. Serce biło jej tak mocno, jakby miało za chwilę pęknąć.

W ciemności Georg potknął się o krzesło i zaczął wymyślać. Potem ciężko opadł na łóżko i po chwili krótkie ciche chrapanie obwieściło, że zasnął.

Katarzyna leżała nieruchomo i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w mrok. Już nie zasnęła do rana.

Rano przyszedł Kertner. Katarzyna przyjęła go serdecznie i żałowała, że mąż już wyszedł na próbę.

Kertner wiedział, że Wigand nie miał żadnej próby, i to go zaskoczyło. Ale nie dał nic poznać po sobie.

— Ach, tak, zapomniałem o tym.

Usiadł naprzeciwko Kasi i zobaczył, że ma zaczerwienione oczy, jak gdyby płakała.

Kiedy rozmawiali o sprawach obojętnych, Katarzyna walczyła z pewną decyzją. Nagle przerywając sobie w środku zdania, rzekła:

— Mówiliśmy wczoraj wieczorem o tym, że nie chciałam pójść na wasze spotkanie. Był pan taki wyrozumiały. Chciałabym pana o coś poprosić.

Spojrzał na nią uważnie.

— Słucham panią — rzekł po prostu.

— Jest pan przyjacielem Georga i, jak czuję, również moim. Mój mąż jest zły, że nie mam ochoty obcować z jego koleżankami i niektórymi kolegami. Mówi, że jestem pruderyjna i wyniosła, i nie może mnie zrozumieć. Pan zrozumiał mnie od razu. Czy nie mógłby pan wyświadczyć mi ogromnej przysługi i wytłumaczyć tego Georgowi? Myślę, że pana prędzej wysłucha niż mnie.

Przez chwilę Kertner patrzył na nią zamyślony, potem na jego twarzy ukazał się uśmiech.

— Zrobię wszystko, co będę mógł, aby wpłynąć na Georga.

— Iz pewnością uda się panu to, czego ja nie mogę osiągnąć, bo pan jest dobry i mądry.

— A pani jest wielką idealistką, łaskawa pani — rzekł Kertner z uśmiechem.

— Przecenia pani ludzi, chce ich wyposażyć w przymioty, których wcale nie posiadają. Ja, na przykład, wcale nie jestem dobry, lecz bardzo złośliwy.

Katarzyna spojrzała życzliwie na jego twarz.

— Mimo to mam do pana zaufanie i uważam, że jest pan szlachetnym człowiekiem.

— Pani zaufanie mi pochlebia, postaram się na nie zasłużyć. Ale powinna pani być ostrożniejsza. Zbyt prędko obdarza pani ludzi zaufaniem.

— Gzy to błąd?

— Tak, ja uważam to za błąd.

— Ale to takie przyjemne, kiedy można komuś ufać.

— Owszem, są rzeczy przyjemnej które jednak przynoszą nam szkodę.

Przez chwilę milczeli. Potem Katarzyna powiedziała z uśmiechem:

— To dziwne, że z panem rozmawiam zawsze o poważnych sprawach. A kiedy potem widzę pana na scenie i śmieję się z pana komizmu, wydaje mi się, że tam na scenie znajduje się całkiem inna osoba.

Kertner bawił się pasemkiem nici z koszyczka do robótek Katarzyny.

— Bo też jest to całkiem inna osoba, proszę mi wierzyć. Ten błazen, który sypie dowcipami przed publicznością i zmusza ją do śmiechu, nie ma nic

wspólnego z człowiekiem, którego widzi pani teraz przez sobą. Jestem w gruncie rzeczy poważny, melancholijny, tylko niechętnie to okazuję. Bo to także uważano by za komiczne.

— Brzmi to tak, jak gdyby pański zawód nie dawał panu zadowolenia.

— Mój zawód, owszem, ale nie sposób, w jaki muszę go wykonywać. Miałem kiedyś głowę i serce pełne ideałów. Z ogromnym entuzjazmem, zgodnie z życzeniem rodziców, zostałem aktorem. Oczywiście, pragnąłem grać role wielkich bohaterów. Ale cokolwiek grałem, zawsze budziłem śmiech. Wystarczyło mi wyjść na scenę, a ludzie wybuchali śmiechem. Niejednokrotnie płakałem z wściekłości. Chciałem jednaj zwyciężyć. Wreszcie pomyślałem, że rozśmieszam ludzi moim małymi wzrostem. Kazałem zrobić sobie obuwie na grubych podszewkach i wysokich obcasach i wyciągałem się w górę, jak tylko mogłem. Niestety, śmiano się podczas najtragiczniejszych scen. Dyrektor chciał mnie zwolnić. Wówczas zachorował nasz komik. Przejąłem jego role ze swoistym wisielczym humorem. „Tym razem nie będą się śmiali”, pomyślałem. Ale stało się inaczej. Odniosłem ogromny, bezsporny sukces. Odtąd pozostałem komikiem.

— A pana gra sprawia radość tysiącom ludzi. Czy to nie jest cudowne, kiedy może pan rozweselać smutnych, zatroskanych ludzi? Obojętne, czy pobudza pan ich do śmiechu, czy do łez, i jedno, i drugie odrywa ich od rzeczywistości. Nie wiem, co jest lepsze.

Kertner patrzył na nią z ciepłem w oczach. Nieczęsto spoglądał na kogoś w taki sposób.

— Jest pani kochaną, dobrą istotą. Dziękuję, pani słowa dobrze mi zrobiły.

— Dobra, kochana? Teraz pan jest idealistą — rzekła Katarzyna żartobliwie.

— Nie, ja mam większe doświadczenie niż pani. Jestem niezłym znawcą ludzi i rzadko się mylę. Odzwyczaiałem się od ideałów. W teatrze ich nie ma.

Wstał.

— Widocznie Georg nieprędko wróci. Nie chcę dłużej zajmować pani czcą gadaniną.

Gdy Kertner skręcił za róg, ujrzał Wiganda. Szedł jednak nie od strony teatru.

— Witaj, Georg, właśnie byłem u ciebie, dowiedziałem się jednak, że masz próbę — rzekł, podkreślając ironicznie ostatnie słowa.

Wigand wyraźnie się zmieszał.

— Rozmawiałeś z moją żoną?

— Tak, ale nie martw się, nie powiedziałem jej, że nie masz próby.

Wigand odrzucił głowę do tyłu.

— Owszem, miałem, próbowałem z Heleną trudną scenę z nowego dramatu Sudermanna.

— Ach, z nią. To chyba dobrze się przy tym bawiłeś?

— Znów jesteś uszczypliwy!

— Ależ skąd! Dlaczego?

— Bo mi dokuczasz. W Helenie widzę tylko koleżankę, nic więcej. Kertner spoważniał.

— Wołałoby to o pomstę do nieba, gdyby było inaczej. Nie twierdzę, że jesteś złym człowiekiem. Uważam nawet, że wczoraj okazałeś dużo taktu, nie zabierając ze sobą żony. To bardzo rozsądne, że trzymasz ją z daleka od naszych wesołych wieczorów. Bo zazwyczaj zachowujemy się nazbyt swobodnie.

— Ależ pozwól...

— Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć; obawiasz się, że możemy ci to brać za złe albo uznać, że twoja żona jest zarozumiała. Nic podobnego. Ci rozsądni spośród kolegów uważają, że to bardzo przyzwoite z twojej strony, iż chronisz swą żonę, a reszta się nie liczy.

Wigand znalazł się w potrzasku, tak mądrze podszedł go Kertner, ale podobało mu się takie wyjście. Gotów był twierdzić, że to jego własny pomysł. Poza tym mógł wobec Kasi odegrać rolę wielkodusznego. Z rana był wobec niej bardzo gwałtowny, teraz mógł to naprawić.

Kiedy pożegnał się z Kertnerem, szybko ruszył do domu. Katarzyna czekała już z obiadem. Powiedziała mu przy stole, że był Kertner.

— Wiem, spotkałem go po drodze. Rozmawialiśmy chwilę. Wiesz, Kasiu, byłem dziś z rana bardzo niedobry dla ciebie. Wybacz mi, proszę, bolała mnie głowa. Wróciłem wczoraj dość późno trochę zawiany. Ale przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że nie ma sensu, abyś uczestniczyła w naszych koleżeńskich spotkaniach. Sam czuję podobnie jak ty, ale zirytował mnie twój opór.

Katarzyna pomyślała, że zmianę tę zawdzięcza Kernterowi, ale nie dała nic po sobie poznać.

— Dziękuję ci za twoją wyrozumiałość, Georg — rzekła spokojnie i życzliwie; ale nie mogła zdobyć się na dawny serdeczny ton wobec niego. Za dużo było do przezwyciężenia. Między małżonków wkradła się obcość.

Rozdział dwunasty

Mijały tygodnie i miesiące, Katarzyna przeżyła dużo ciężkich chwil. Nie tylko to, że między nią a mężem stosunki z każdym dniem stawały się coraz bardziej oziębłe. Doszły jeszcze inne troski, takie, których dotąd nigdy jeszcze nie zaznała. Oboje młodzi ludzie wciąż podejmowali pieniądze i procenty stale się zmniejszały. Georg potrzebował na przykład ubranie do współczesnej sztuki, to znów miał inne wydatki i prosił Katarzynę o podjęcie pieniędzy. Początkowo robiła to bez namysłu, ale kiedy spostrzegła, że ubytek pieniędzy mocno zaważył na gospodarstwie domowym, przestraszyła się. Zrozumiała, że jej rzekome bogactwo topniało jak śnieg na słońcu.

Chciała teraz żyć skromniej. Nawet kiedy Georg żądał od niej pieniędzy, prosiła go, by był bardziej oszczędny. Wtedy stawał się nieprzyjemny i robił jej wyrzuty, że jest małostkową sknerą. Więc ulegała jego woli i podejmowała pieniądze.

Nadeszło lato, a wraz z nim pora, kiedy teatr w Chemnitz zamykał swe podwoje. Aktorzy planowali wyjazdy do okolicznych miasteczek na gościnne występy.

Georg Wigand jednak nie miał na to ochoty. Pragnął choć raz całkowicie odpocząć. Przynajmniej tyle powinien mieć ze swego ożenku, by móc sobie pozwolić na taki luksus.

Uznał już swój ożenek za zbyt pochopny. Minał krótki okres oczarowania. Nudziło go poważne usposobienie Katarzyny. Nie rozumiał jej dążenia do wiedzy, do poszerzania horyzontów myślowych. Pozostawiał Kertnerowi prowadzenie z nią długich dysput intelektualnych; sam siedział wtedy przeważnie ziewając.

Kertner stał się dla Katarzyny prawdziwym przyjacielem. Stale z nim obcując, nauczyła się patrzeć trzeźwo na życie. Umiał subtelnie i przekonywająco ukazywać jej rzeczywistość, nie budząc przerażenia. Pozbawiając ją przesadnych ideałów, dawał w zamian nowe wartości. Pokazywał jej piękno życia i głębię rzeczywistości. Katarzyna było mu nieskończenie wdzięczna i cieszyła się zawsze, kiedy przychodził.

Hartenberg w dalszym ciągu adorował ją w swój nieśmiały, zabawny sposób, a ona serdecznie bawiła się razem z nim. Także Bertholdowie bywali u niej. Pani Anna przychodziła każdego tygodnia na popołudniową kawę. Katarzyna również ją odwiedzała. Stara, rezolutna i doświadczona kobieta przyczyniła się do tego, że Katarzyna bardziej realnie podchodziła do swoich radości i cierpień. Tak więc dziewczyna powoli oswajała się ze swoim nowym życiem. Mimo

wszystko dawało jej ono dużo dobra i piękna, nigdy nie tęskniła za życiem, jakie prowadziła w domu wuja.

Największym źródłem radości była dla niej regularna korespondencja z Helmutem. Brał on żywy udział w jej duchowym i intelektualnym dojrzewaniu, posyłał jej w tym celu książki i pisma i udzielał poparcia pod każdym względem. Tak więc mimo gorzkiego zawodu, jaki sprawił jej mąż, życie Katarzyny stało się bogatsze i głębsze.

W ten sposób jednak niepostrzeżenie stopniowo oddalała się od męża. Był on utalentowanym aktorem, ale poza teatrem niewiele go interesowało. Wolny czas wypełniał błażostkami. Jedynie aktorstwo traktował poważnie, ale raczej z próżności niż z potrzeby serca. Bardzo dużo czasu spędzał z Heleną Hellmann. Pociągała go coraz bardziej swą uległością, swoją tolerancją wobec jego słabostek i wad. Im bardziej oddalał się od Katarzyny, tym bliższa stawała mu się Helena.

Na razie częste szukanie jej towarzystwa było dla niego tylko ucieczką przed nudą. Lecz ta kobieta usidlała go coraz bardziej swoją wyrafinowaną kokieterią.

Katarzyna nie miała o niczym pojęcia.

Tak nadeszły wakacje. Georg nagle stał się bardzo szarmancki wobec żony. Mówił jej, że cudownie byłoby spędzić wspólnie urlop w jakiejś ładnej nadmorskiej miejscowości.

— Byłabyś zachwycona, Kasiu, gdybyś poznała morze. A mnie odpoczynek bardzo dobrze by zrobił. Nerwy mam potwornie stargane.

Pragnąłbym choć raz porządnie odpocząć. Nie sądzisz, że faożemy sobie na to pozwolić?

Katarzyna była mocno zakłopotana.

— To by bardzo drogo kosztowało, Georg. W tym czasie nie będziesz dostawał gaży, poza tym musielibyśmy płacić podwójnie za mieszkanie, a życie w miejscowości nadmorskiej jest podobno bardzo drogie.

— Ach, daj spokój, pozwól sobie na odrobinę beztroski, przecież nie mamy nic z życia oprócz kłopotów.

— Bardzo mi przykro, Georg, że nie mogę nic na to poradzić. Byłam bardzo naiwna, myślałam, że mój majątek jest ogromny. Nie wyobrażałam sobie, że życie jest takie drogie.

— Tak, tak, nie szkodziłoby, gdybyś miała więcej. Jestem teraz w gorszej sytuacji niż jako kawaler, za krótka kołdra... Właściwie to już wszystko jedno, czy podejmiemy jeszcze kilka tysięcy, czy nie. Przynajmniej raz spędzimy cudowne wakacje. Przynajmniej raz przeżyjemy kilka beztroskich miesięcy, potem będziemy sobie znowu wszystkiego odmawiać.

Kiedy Katarzyna nadal nie chciała się zgodzić, rozzłościł się i zaczął wymyślać na nędzne życie i na to, że własna żona żałuje mu odrobiny radości.

Katarzyna nie mogła tego znieść i zgodziła się.

Od razu stał się szarmancki i pogodny, nazywał ją „wspaniałą dziewczyną”, zaczął z nią układać plan podróży. Pojadą do Sopotu, to z góry postanowili. Był tam kilka lat temu i bardzo mu się podobało.

Katarzyna z ciężkim sercem pożegnała się z aktorami, którzy stworzyli zespół i pojechali na gościnne występy — z wyjątkiem panny Heleny; powiedziała, że ma zamiar odwiedzić krewnych.

Katarzyna z niepokojem jechała nad morze. Przyszłość przedstawiała się groźnie. Co będzie, kiedy jej zasoby stopnieją? Często budziło się w niej pragnienie, aby samej zacząć zarabiać na życie, nie wiedziała tylko, jak się do tego zabrać. Czego się nauczyła? Robótki ręczne były nędznie płatne. A poza tym? Jeden z listów Helmuta nagle naprowadził ją na pewną myśl. Zwierzyła mu się ze swych trosk materialnych. zaproponował jej więc, by zaczęła robić tłumaczenia dla jego wydawnictwa i obiecał wysokie honorarium. Przecież zna doskonale francuski, może więc teraz tę umiejętność wykorzystać.

List nadszedł w dniu ich wyjazdu, i to Katarzynę bardzo podniosło na duchu. Postanowiła jednak nie mówić nic Georgowi, by nie budzić w nim przedwczesnych nadziei.

Zachęciłoby go to tylko do szastania pieniędzmi.

Zawiadomiła Helmuta, że będą jechali przez Berlin, i poprosiła, by spędził z nimi kilka godzin. Nie wiedziała, że stawia mu wymagania ponad jego siły, nie miała pojęcia, że ją kocha i obawia się spotkania z nią. Ale kiedy odpowiedział odmownie, sama poczuła ulgę. Bała się przenikliwego wzroku przyjaciela, wolała ukryć przed nim fakt, że jej szczęście legło w gruzach. Nie zdawała sobie sprawy, że on to już dawno zauważył.

Kiedy przybyła z mężem na Dworzec Anhalcki, nie wiedziała, że Helmut Rodeck stoi ukryty za filarem i obserwuje pasażerów.

Ujrzał ją u boku Wiganda, jak schodziła po szerokich schodach, i serce w nim zamarło. Jakże była zmieniona w swym eleganckim kostiumie podróżnym i twarzowym angielskim kapeluszu z woalką. Była nieco bledsza niż dawniej, lecz czerwone usta jeszcze lśniły kusząco, oczy natomiast miały teraz całkiem inny wyraz. Stała się piękniejsza, nieco się zaokrągliła i robiła wrażenie bardziej dojrzałej.

Helmut nie mógł oderwać od niej wzroku, aż znikła w dorożce. Potem wrócił do domu.

Katarzyna początkowo była przerażona wysokimi cenami mieszkań w Sopocie, ale kiedy opanowała ten lęk i minęło kilka dni, nie mogła oprzeć się urokowi kąpieliska. Morze, które się nieustannie zmieniało, działało na nią z czarodziejską mocą. Mogła godzinami leżeć na plaży i przyglądać się przypluwającym i odpływającym falom. Rozmarzona patrzyła w bezkresną dal.

Także kąpiele sprawiały jej przyjemność. Z rozkoszą walczyła z falami.

Mąż jej bawił się na swój sposób. W nienagannym białym ubraniu plażowym przechadzał się po promenadzie i po plaży, rzucając wokół kuszące spojrzenia. Na jego widok niejedno kobiece serce mocniej zabiło. Ale także Katarzyna zwracała na siebie uwagę. Kiedy przystojna młoda para ukazywała się na promenadzie, biegło za nią niejedno pełne zachwyty spojrzenie.

Minęły przeszło dwa tygodnie; pewnego ranka Katarzyna siedziała w koszu na plaży i jak zwykle przyglądała się falom. U jej stóp leżał Georg i przesypywał piasek przez palce, pozornie zatopiony w tej zabawie. Jednak jego na wpół przymknięte oczy drgnęły, kiedy w pobliżu rozległ się szelest.

Plaża była, jak zawsze o tej porze, bardzo zaludniona. Kuracjusze leżeli lub siedzieli grupkami albo pojedynczo i wygrzewali się w promieniach słońca. Od morza wiał rzeński wiatr. Fale klaszcząc uderzały o mokry piasek i splukiwały go. W oddali bieleły się pływające żaglówki.

Nagle jakaś smukła postać okrążyła kosz Katarzyny i zatrzymała się, wydając okrzyk zdumienia.

— Czy to możliwe? Czy mnie oczy nie mylą? Pani tutaj, pani Wigand?

Katarzyna obejrzała się zdziwiona, a potem na jej twarzy wraz z rumieńcem ukazał się wyraz niemiłego zaskoczenia. Stała przed nią Helena Hellmann w szykownym stroju plażowym. Zbliżyła się z uradowaną miną, wyciągając rękę.

— Dzień dobry, cóż za przypadek! Do głowy by mi nie przyszło! Katarzyna podała aktorce rękę wielce przygnębiona.

— Zaskoczenie jest obustronne, panno Hellmann. Jak słyszałam, miała pani pojechać do krewnych.

— Zgadza się. Moi krewni mieszkają w Gdańsku. Poprosiłam ich o cztery tygodnie urlopu, by zażywać tutaj kąpiele. Moje nerwy wymagają odpoczynku. Ach, jakże się cieszę, że spotkałam tu znajomych. A pani małżonek jest także tutaj?

— Leży u twoich stóp. Proszę, nie stratuj mnie na śmierć! — zawołał Georg z wymuszoną wesołością i podniósł się. — Zaniemówiłem z wrażenia, widząc nagle przed sobą moją piękną koleżankę. Witaj, Lenko, jak się masz?

Po koleżeńsku uścisnęli sobie dłonie i zaczęli żywo rozprawiać. Nie mogli się nadziwić temu przypadkowemu spotkaniu.

W Katarzynie obudziła się nieufność, choć broniła się przed tym uczuciem. Czy to nagłe pojawienie się Heleny naprawdę było tylko przypadkiem?

Oczywiście, Helena przyłączyła się do Wigandów. Oboje z Georgiem mieli sobie tyle do powiedzenia. Katarzyna siedziała w milczeniu, jakby nieobecna. Ale kiedy wracała z mężem do domu, on rzekł z wyrzutem:

— Proszę cię, nie bądź taka małostkowa i nie okazuj jej swojej niechęci! Helena to bardzo miła dziewczyna, a poza tym jest moją koleżanką, z którą, że tak powiem, muszę pracować ręką w rękę. Ona zresztą wie, jaka jesteś pruderyjna, i niczym cię nie urazi. Więc nie masz się czego obawiać.

Katarzyna spojrzała mu badawczo w oczy.

— Naprawdę nie, Georg? Czy naprawdę nie mam się czego obawiać?

Jej pytanie brzmiało bardzo znacząco. Georg starał się omijać jej wzrok.

— Na pewno nie — rzekł nader gorliwie.

Helena Hellmann stała się nieodłączną towarzyszką młodej pary. Kilku mężczyzn zawarło bliższą znajomość z Georgiem i poprosili go, aby ich przedstawił żonie i pannie Hellmann. Byli to nieciekawi, dość prymitywni młodzi ludzie, którzy sobie wyobrażali, że nawiążą mały flirt. U Katarzyny nic nie osiągnęli, odprawiła ich z wdziękiem, Helena zaś była za bardzo zajęta Georgiem i prawie nie reagowała na ich awanse. Mimo to młodzieńcy często przebywali w towarzystwie pań i Georga i zazwyczaj bardziej starali się o względy Katarzyny, ponieważ była o wiele ładniejsza.

Tak się składało, że Georg często przebywał sam z Heleną. Dla Katarzyny był to stan nie do zniesienia. Ogromnie ją to przygnębiało, ponure myśli zatruwały jej pobyt nad morzem. Opanowało ją groźne przeczucie.

Georg jakby niczego nie zauważył. W każdym razie nie przejmował się tym ani trochę. Sam natomiast bawił się wspaniale i cieszył każdym dniem.

Nadzieja Katarzyny, że Helena po upływie czterech tygodni wróci do Gdańska, okazała się złudna. Oświadczyła, że podoba jej się w Sopocie i że zostanie do końca wakacji. Katarzyna najchętniej wróciłaby do domu, ale Georg nawet nie chciał o tym słyszeć. Robił jej sceny, wymyślał, że jest rozkapryszona, i uciekał z domu. Woląла więc milczeć.

Przeznaczone na pobyt w Sopocie pieniądze szybko stopniały i Katarzyna z przerażeniem myślała o przyszłości. Jediną pociechą były widoki na zarobek, który zaproponował jej Helmut. Toteż napisała do niego z Sopotu i Helmut szczegółowo jej wszystko wyjaśnił i utorował drogę. Jak tylko wróci do Chemnitz, może rozpocząć pracę. Wrócili dopiero w ostatnich dniach września.

— Słyszałeś już? Helena była przez całe wakacje z Wigandami w Sopocie — rzekła Anna Berthold do swego Hieronima. — Dowiedziałam się o tym na próbie. I co ty na to?

Mąż wzruszył ramionami.

— A cóż można na to powiedzieć?

— Rzuciłabym się na nich z pięściami! — zawołała krewka pani Anna. — Wy, chłopcy, wszyscy jesteście jednakowi!

— O ile wiem, Helena nie jest chłopem.

— Nie, ale diabłem w ludzkiej skórze! I nie spocznie, dopóki nie wlezie pomiędzy nich. A ta biedna głupia Katarzyna jest potulna jak jagnię. No, ja bym zrobiła z tym porządek. Ale to gruntowny!

— Co do tego nie mam wątpliwości, moja droga. Nie rób takiej wściekłej miny, przecież ja tu nic nie mogę zmienić.

— Nie, ale ja nie będę się dłużej temu przyglądać. Przy najbliższej sposobności wyłożę tej kobiecie kawę na ławę.

— Lepiej się do tego nie wtrącaj.

— A więc mam siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak oni okłamują to naiwne, biedne dziecko? Nie, mój staruszk, tego się po mnie nie spodziewaj.

— Nie irytuj się tak, nie mam nic przeciwko temu. Rób, co chcesz. Anna Berthold splukała irytację filiżanką kawy. Wkrótce potem przyszedł Kertner.

— Witajcie! — zawołał. — Cóż to, awantura małżeńska? Macie takie skwaszone miny.

— Wściekam się z powodu Heleny i Wiganda — odrzekła Anna. Kertner spoważniał.

— Czy byłaś już u Katarzyny, Anno?

— Nie, nie miałam jeszcze czasu. Ale jutro się do niej wybiorę.

— Wobec tego bądź tak dobra i nie mów z nią o tej sprawie.

— Dlaczego nie?

— Bo mimo pozorów nie ma dowodów na to, że Wiganda łączy z Heleną coś więcej niż tylko stosunki koleżeńskie.

— Co ty wygadujesz, przecież na ogół nie jesteś taki naiwny.

— Ale pragnąłbym uchronić tę kobietę od przykrości. Może to jest zbędne. Porozmawiam z Wigandem. Tak czy inaczej poczekaj, aż będziesz miała niezbity powód do takiej rozmowy.

— Jak uważasz, ale moim zdaniem należy ją przestrzec. Kertner rzekł spokojnie:

— Kiedy zawoła się na lunatyka, on spada w dół. Może uda nam się zachować jej spokój.

Anna poklepała Kertnera po ramieniu.

— Jesteś bardzo mądry i masz dobre serce, chociaż udajesz złośliwego draba. Chodź, wypij z nami filiżankę kawy. Nie jest co prawda tak mocna, jak lubisz, ale za to nie szkodzi urodzie.

— Skoro nie szkodzi, to mi nalej! Przymknę oczy, żeby nie czuć jej smaku.

— Oszczędź sobie złośliwości — rzekł Hieronim oschle i zapalił papierosa.

Już nazajutrz Kertner znalazł sposobność, by porozmawiać w cztery oczy z Wigandem. Skończyli jednocześnie próbę i razem wyszli z teatru.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę z tobą. Chciałbym się przywitać z twoją żoną.

— Proszę bardzo! Chodź! Katarzyna ucieszy się, jak cię zobaczy. Ona cię najbardziej lubi spośród wszystkich kolegów. To dziwne, prawda? Jesteś przecież w gruncie rzeczy najbardziej niesympatyczny. Moja żona ma szczególny gust.

— Jestem dumny z tego, że mnie lubi.

— Ale też starasz się, jak możesz, trzymać wobec niej swój złośliwy język na wodzy.

— Wcale nie muszę się starać. Trzeba być naprawdę bardzo złym człowiekiem, by sprawiać przykrość twojej żonie.

— No, no, nie rób z niej anioła, ona także ma swoje wady. Gdybyś był jej mężem i musiał znosić jej humory, ślicznie byś podziękował. Podczas całych wakacji była w jak najgorszym nastroju.

Kertner kilka razy zaciągnął się papierosem, wyjął go z ust i przyglądał mu się z uwagą.

— Hm, może miała powód ku temu.

— Najmniejszego! Była piękna pogoda, doskonałe wyżywienie i wesołe towarzystwo.

— Zdaje się, że pod tym względem macie bardzo różne gusta. Czy naprawdę uważasz, że Helena była najlepszym towarzystwem dla twojej żony? Nie powinieneś się był z nią umawiać. Twoja żona musiałaby być wyjątkowo naiwna, gdyby uwierzyła, że to czysty przypadek.

Wigand się zmieszał.

— To był czysty przypadek — rzekł szorstkim tonem Kertner spojrzawszy na niego i zmrużył oczy.

— Nie oszukasz mnie. Wiem, że się umówiłeś z Heleną.

— Wypraszam sobie...

— Czy chcesz dalej kłamać? Daj spokój, to nie ma sensu. Przypadkowo słyszałem, jak wołałeś do niej: Do zobaczenia w Sopocie!

Wigand poczerwieniał.

— Ciekawe, gdzie i kiedy to słyszałeś?

— To nie ma nic do rzeczy, ale ci powiem. W domu, gdzie mieszka Helena, nasz fryzjer ma zakład. Kiedy przed wakacjami zegnałeś się przed drzwiami z Heleną, wychodziłem właśnie z zakładu i usłyszałem twoje słowa. Natychmiast to sobie skojarzyłem, bo przecież nie jestem głupi.

Wigand, wściekły, przygryzł usta, ale nic nie odpowiedział. Kertner wyrzucił niedopałek.

— Tak, tak, bracie, miałeś pecha. W tych sprawach należy być bardziej ostrożnym.

— Mogę cię zapewnić, że cała sprawa jest jak najbardziej niewinna. Łączą nas tylko koleżeńskie kontakty, Helena jest moją niezastąpioną partnerką i przyjaciółką. Słowo ci daję, że nie zamierzam nawiązywać z nią bliższych stosunków.

— Ale ona z całą pewnością ma taki zamiar. Jej uczucie do ciebie bynajmniej nie jest platoniczne i koleżeńskie. No a ty jesteś bohaterem tylko na scenie. Posłuchaj mojej rady i powoli, ale stanowczo odsuń się od niej. Bo inaczej dojdzie do katastrofy, to pewne.

— Nonsens! A właściwie to dlaczego wtrącasz się do moich spraw? Sam wiem, co mam robić, nie pozwolę, aby ktoś mną dyrygował. Nie jesteśmy aż takimi przyjaciółmi.

— Dlaczego się wtrącam? Tylko dlatego, że żal mi twojej żony.

— Ach, wcale nie dzieje jej się krzywda, powinna być tylko bardziej rozsądna.

Kertner przeciął laską powietrze.

— Dość tego! Widzę, że moje życzliwe ostrzeżenie było bezcelowe. Więc skończmy temat.

Szli w milczeniu do domu Wiganda. Katarzyna przywitała się z Kertnerem ciepło i serdecznie i umówili się, że już od jutra będą kontynuowali swe miłe wieczorne spotkania.

Wigand przystał na to uprzejmie, lecz chłodno. Był zły na Kertnera, że ten wtrąca się do jego spraw, i nie miał humoru.

Gdy Kertner wyszedł, usiadł przy stole naprzeciw żony. Grzebał od niechcienia widelcem w talerzu, w końcu go odsunął.

— Nie chcesz jeść? — zapytała Katarzyna zdziwiona.

— Nie, dziękuję. Nasze posiłki świadczą o tym, że zamierzasz oszczędzać. Widać chcesz odbić sobie naszą wakacyjną podróż.

W jego głosie czuło się szyderstwo.

Katarzyna spokojnie złożyła serwetkę i poważnie spojrzała w jego ponurą twarz z opuszczonymi kącikami ust. W tej chwili jej mąż nie był ani przystojny, ani czarujący.

— Myślę, że i tak nie zdołałabym tego nadrobić. Wiesz przecież, że wydaliśmy dwa razy tyle, ile początkowo zamierzaliśmy.

— Tak, tak, wiem. Nie zaczynaj znów tego okropnego tematu.

— To ty zacząłeś o tym mówić.

— A ty zawsze musisz mieć ostatnie słowo. Mierzi mnie twoje sknerstwo. Już nie wiem, jak mam się ograniczać, a przy tym wobec kolegów muszę udawać krezusa.

— Dlaczego musisz? Roześmiał się sarkastycznie.

— Myślisz, że nie narażę się na śmieszność? Oni wszyscy są przekonani o twoim wielkim bogactwie, podobnie zresztą jak ja sam myślałem. Dopiero mieliby uciechę, gdyby się dowiedzieli, że się przeliczyłem.

Katarzyna zbladła i wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami. To, co wtedy rzucił jej po pijanemu, teraz oświadczył na trzeźwo.

— A więc na to liczyłeś?

— Miłością jeszcze nikt się nie najadł do syta, a to, co zarabiałem, starczało z ledwością dla mnie. Nie mógłbym się ożenić z kobietą niezamożną, to przecież jasne. Ty także o tym wiedziałaś, inaczej nie oszukiwałabyś mnie, przekonując o swym wielkim majątku.

Katarzyna boleśnie ściągnęła brwi.

— Na pewno nie chciałam cię oszukiwać — rzekła głucho.

— No dobrze, teraz to nieważne. Muszę się ograniczać. Oczywiście, tracę przy tym artystyczny polot. Gdybym nie miał Heleny jako partnerki, wkrótce stałbym się partaczem.

— Więc jestem dla ciebie ciężarem?

— Ach, nie tragizuj! Gdybyś przynajmniej okazała rozsądek i zechciała być miłą dla Heleny, wtedy mogłaby ona bywać u nas, tak jak Kertner, Hartenberg i Bertholdowie. Miałbym wówczas jakąś podniętę do pracy.

Katarzyna westchnęła głęboko.

— To bardzo gorzko słyszeć, że nic dla ciebie nie znaczę.

— O Boże, przecież ja nic takiego nie powiedziałem! Rozumiesz moje słowa całkiem opacznie. Nie można się z tobą dogadać. Nie nadajesz się na żonę aktora.

Katarzyna wstała i zebrała talerze.

— Jesteś wobec mnie niesprawiedliwy, Georg. Czuję, że staliśmy się sobie obcy. Tyś się zawiódł na mnie, ja zaś na tobie. Musimy się z tym pogodzić i

spróbować znów do siebie zbliżyć. Nie musisz apelować do mojego rozsądku. Jeśli to ma ci pomóc, niech panna Hellmann przychodzi na nasze wieczory. Nie będzie to dla mnie przyjemne, bo wiem, czuję to, że ona jest do mnie wrogo nastawiona i... kocha cię.

Jej słowa zawstydziły Georga. Zdał sobie sprawę, że Katarzyna przewyższa go w myślach i uczuciach. Ale to jeszcze bardziej go zirytowało.

— Nonsens! To tylko wytwór twojej wyobraźni. Więzy koleżeńskie są inne niż więzy miłosne. A w ogóle nie znoszę scen zazdrości.

Katarzyna przesunęła dłonią po czole.

— Nie jestem zazdrosna — powiedziała spokojnie i stanowczo. Przez chwilę oboje milczeli, potem Wigand powiedział jakby od niechcenia:

— Czy mogłabyś mi dać pięćset marek? Potrzebne mi są szminki, nowa bielizna i inne drobiazgi.

Katarzyna spojrzała na niego przerażona.

— Aż tyle ci na to potrzeba?

— Inaczej bym cię nie prosił. Z mojej gaży nie mogę na to przeznaczyć ani grosza; wiesz przecież, że nie starcza już nawet na dom.

— Dobrze, potem pójdę do banku. Przed wieczorem będziesz miał pieniądze.

Po jej słowach Wigand stał się miłszy, opowiedział kilka zabawnych wydarzeń z próby i oświadczył, że w nowej sztuce „Mona Vanna” dostał odpowiednią dla siebie rolę.

— Zobaczysz, Kasiu, to będzie bardzo dobre przedstawienie. Helena jest znakomita jako Mona Vanna. Bardzo się z tego cieszę. Pojutrze odbędzie się premiera. Załatwiłem ci już bilet.

Dostosowała się do jego tonu, ale było jej bardzo ciężko na sercu.

Rozdział trzynasty

Katarzyna zabrała się do swej nowej pracy z wielkim zapałem. Gdy przebrnęła przez nieco trudny początek, tłumaczenie zaczęło jej sprawiać ogromną radość. Szło jej bardzo dobrze. Gruntowna znajomość francuskiego ułatwiała jej zadanie.

Już po upływie kilku tygodni mogła przesłać Helmutowi gotowy przekład i była uszczęśliwiona, gdy się dowiedziała, że zarobiła kilkaset marek. Nie miała pojęcia, że Helmut dał jej tak wysokie honorarium dlatego, aby jej w ten sposób pomóc. Poprosiła go, by przekazał od razu pieniądze do banku. Nie chciała na razie nic mówić Georgowi o swej intratnej pracy. Przy jego skłonnościach do wydawania pieniędzy przyniosłoby to tylko szkodę.

Zadowolona, że pozbyła się trosk materialnych, pracowała dalej. A praca ta dawała jej jeszcze inne korzyści niż tylko materialne. Wyzwoliła ją duchowo i dała poczucie pewności. Poza tym odciągała ją od zbyt rychłych dociekań, a miała teraz po temu bardzo dużo powodów.

Georg przebywał teraz w domu tylko podczas tych wieczorów, kiedy przychodziła do nich Helena. W inne dni wychodził także po teatrze. Rzadko wracał do domu zupełnie trzeźwy. Czasem budziła się w Katarzynie dławiąca odraza do męża, kiedy widziała, w jakim stanie wraca. Spał potem długo, jeśli nie miał tego dnia próby, a później był zrzędlawy i poirytowany.

Wobec Heleny Katarzyna zachowywała się chłodno, ale uprzejmie. Podczas wspólnych wieczorów starała się możliwie jak najwięcej zajmować innymi gośćmi. Kertner w bardzo subtelny sposób pomagał jej wybrnąć z niejednej przykrew sytuacji. Podobnie jak inni goście był niezadowolony z udziału Heleny w spotkaniach. Nie zrezygnowali oni z tych spotkań tylko ze względu na Katarzynę.

Pewnego dnia uwagę zebranych zwrócił piękny pierścionek z brylantem, jaki Helena miała na palcu. Pierwszy zauważył to Hartenberg.

— Masz przepiękny pierścionek, Heleno! Kto ci go ofiarował?

— Nie bądź taki ciekawy. Ładny, prawda?

Z przyjemnością przysunęła dłoń pod światło, aby brylant rzucał blask.

— Masz, widać, bogatych wielbicieli, skoro mogą ci robić takie prezenty. Z gaży nie mogłabyś sobie na to pozwolić — rzekła Anna Berthold, spoglądając na koleżankę badawczym wzrokiem.

Helena roześmiała się trochę wymuszenie, a jej oczy błyszczały jak u kotki.

— Skąd wiesz, a może mnie stać. Ale skończmy lepiej ten temat, bo pani Katarzyna patrzy złym wzrokiem. Ona nie lubi, jak się mówi o wielbicielach.

Kertner zręcznie przeszedł na inny temat, uwalniając w ten sposób Katarzynę od odpowiedzi.

Pewnego popołudnia Anna Berthold przyszła do Katarzyny na kawę. Wciąż jeszcze odwiedzały się regularnie. Dotąd obie panie nigdy nie rozmawiały o Helenie. Dziś jednak pani Anna postanowiła uświadomić młodą kobietę. Wzmocniwszy się dla otuchy kilkoma filiżankami kawy, powiedziała:

— Dlaczego Helena przychodzi do was zawsze wtedy, kiedy i my jesteśmy? Czy czuje pani do niej taką sympatię, drogie dziecko?

Katarzyna przez chwilę spoglądała przed siebie, potem odpowiedziała:

— Mój mąż sobie tego życzy.

— A pani? Czy pani także?

— Właściwie nie, ale nie mogę okazywać swojej niechęci. Georgowi jest nieodzownie potrzebne towarzystwo panny Hellmann. Czerpie z niego podniecie artystyczną.

— Ach, tak, to pod tym pozorem przemycił ją do pani domu.

— Droga pani Berthold...

— Moje dziecko, krew mnie zalewa. Nie mogę dłużej patrzeć, jak pani daje się oszukiwać. Powinna się pani bronić, niech pani nie pozwala się tak odsuwać w cień. Przecież Helena najbezczelniej stara się panią odstawić.

— Gdyby tak było, jak pani mówi... to jak mam temu zapobiec?

— Niech pani kategorycznie zabroni, aby mąż pani przebywał z nią poza teatrem.

— Nie mogę tego zrobić. A gdybym nawet mu zabroniła, to i tak by to nie poskutkowało.

— Do licha! Ale z pani naiwne stworzenie! Wobec tego muszę wyłożyć kawę na ławę, by wzbudzić w pani bojowego ducha. Helena jest po uszy zakochana w pani mężu.

— Wiem o tym — odparła Katarzyna. Pani Anna rzekła energicznie:

— Tak, wie pani?! I nie przeciwdziała?!

— Ona nic na to nie poradzi, że kocha mojego męża. Pani Anna z trudem łapała powietrze.

— No, koniec świata! I nic na to nie można poradzić, że ze wszystkich sił stara się odbić pani męża?

— On powinien wiedzieć, co jest winien mnie i samemu sobie — rzekła Katarzyna najspokojniej, jak potrafiła. Ta rozmowa była dla niej ogromnie przykra.

— Ach, co tam! Niech pani na to nie liczy! Wszyscy mężczyźni są jednakowi. Brak im silnej woli. Jeśli nie weźmie się pani energicznie do dzieła, ona osiągnie swój cel.

— Nie sędzę.

Pani Anna zirytowana trzasnęła małą pulchną pięścią w stół.

— Wobec tego muszę mówić jeszcze wyraźniej, inaczej nic nie wskóram. Jeśli się mężczyznom pofolguje, przychodzą im do głowy głupie pomysły. Krótko i zwięźle: trzeba, aby pani wiedziała, że to mąż pani podarował Helenie ten pierścionek z brylantem, którym się ostatnio tak chełpiła. Kosztował pięćset marek. Teraz chyba pani rozumie, że coś jest nie w porządku. W każdym razie na pani miejscu byłabym mniej szczodra wobec męża. Do czego to podobne, aby tak szastał pani pieniędzmi!

Katarzyna stała się o odcień bledsza, ale sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej. Spojrzała błagalnie na starszą panią swymi pięknymi, szczerymi oczami.

— Droga pani Anno, proszę, nie mówmy już o tym! Wiem, że jest mi pani życzliwa i pragnie uchronić mnie przed cierpieniem. Ale ja nie mogę się bronić, tak jak pani ode mnie wymaga. Szczęście, jakie bym sobie w ten sposób wywalczyła, nie byłoby dla mnie żadnym szczęściem.

— Więc mamy się spokojnie przyglądać, aż będzie za późno! — złościła się pani Anna.

Katarzyna spojrzała w twarz pani Berthold cierpiącym wzrokiem.

— Jeśli jest tak, jak pani mówi, to i tak już za późno.

— Nonsens, dziecinko! Nie chciałam doprowadzać pani do rozpacz, tylko pobudzić do śmiałego oporu. Powinna się pani energicznie przeciwstawić mężowi. Może pani powiedzieć, że to ja panią podburzyłam, mam dobre oczy. Byłoby dziwne, gdyby pani nie pokonała Heleny. Jeśli pani naprawdę zechce, ona wkrótce przestanie pani zagrażać.

Katarzyna mogłaby powiedzieć, że walka z Heleną jest poniżej jej godności. Cóż warte byłyby wierność i miłość, gdyby musiała o nie walczyć z inną kobietą! Jeśli Georg nie jest jej wierny, więc jej nie kocha. Takie miała przekonanie. Ale wolała o tym nie mówić. By zakończyć tak bardzo dla niej przykrą rozmowę, powiedziała:

— Powtórzę mężowi, co mi pani powiedziała o tym pierścionku.

— Niech pani to zrobi, powinien wiedzieć, że pani się o tym dowiedziała. I jeszcze jedno, dziecko. To nie tylko pani prawo, ale i obowiązek, aby zadziałać. Proszę o tym nie zapominać.

Gdy pani Anna poszła, Katarzyna długo siedziała bez ruchu. Jej obowiązek? Czy naprawdę obowiązek?

„Tak, to twój obowiązek — powiedziała sobie — inaczej będzie to nie tylko wina twojego męża, jeśli coraz bardziej się od siebie oddalicie. Nie wolno ci z niego zrezygnować tylko dlatego, że stracił w twoich oczach, bo okazał się inny, niż sobie wyobrażałaś. Postaraj się mu pomóc, jeśli jest słaby; inaczej będziesz tak samo winna, jak on”.

Obudziła się w niej niezłomna woła ocalenia tego, co było jeszcze do ocalenia.

Gdy Wigand wkrótce po odejściu pani Anny wrócił do domu, musiał przygotować się do wieczornego przedstawienia. Katarzyna pomagała mu pakować różne rzeczy. Była milcząca i zamyślona. Wigand kilkakrotnie zerknął na nią.

— Jesteś taka milcząca. Znów masz zły humor?

— Nie, tylko myślę o tym, co mi powiedziała pani Berthold dziś po południu.

— A więc miałaś gościa. Co takiego ważnego ci powiedziała? Katarzyna wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

— Że podarowałaś pannie Hellmann pierścionek z brylantem za pięćset marek.

Wigand stał przed nią w poczuciu winy jak przyłapany na gorącym uczynku. Był to dla Katarzyny przykry widok. Ale szybko się opanował. By ukryć zmieszanie, stał się ordynarny.

— Ach, ta stara plotkara nie miała nic innego do roboty, tylko ci o tym donieść.

— Miała jak najlepsze zamiary. Proszę cię, weź pod uwagę, że ludzie o tym mówią i że nie jesteśmy na tyle bogaci, by pozwalać sobie na takie wydatki.

— Nie masz powodu się oburzać i prawić mi morałów. Chyba wolno mi zrobić prezent kobiecie w dowód wdzięczności za to, że inspiruje mnie swoim talentem i wzbogaca mój kunszt aktorski. Jeśli nawet tego mi nie wolno, to dziękuję za cały ten kram!

— Czy ten „kram” to ożenek ze mną? Wiem, że moje naiwne poglądy co do wielkości mojego majątku wprowadziły cię w błąd, myślałeś, że jestem o wiele zamożniejsza. Ale w obecnej sytuacji nie możesz sobie pozwalać na tak kosztowne prezenty. Poza tym musisz zachować dystans wobec panny Hellmann. Nie jesteś jej obojętny, może ona spodziewa się po tobie czegoś więcej niż tylko koleżeństwa. Musisz stanowczo temu przeciwdziałać.

— Coś ci powiem! Przede wszystkim nie przemawiaj do mnie takim wyniosłym tonem, nie znoszę tego tak samo, jak scen zazdrości. Po prostu nie mam ochoty jak uczeń wysłuchiwać pokornie reprimendy.

— Wcale nie mam zamiaru prawić ci reprimendy. Po prostu chciałam omówić z tobą spokojnie tę sprawę.

— No więc już to zrobiłaś, załatwione. A może chcesz, bym kazał zwrócić pierścionek?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale proszę cię, byś więcej nie zapraszał do nas Heleny.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ w tajemnicy przyjmuje od ciebie prezenty. Jest to nieuczciwe z jej strony, tym bardziej że udaje przy tym wobec mnie życzliwość i szczerłość.

— Ach, te twoje drobnomieszczańskie poglądy! Ale dobrze, wolę powiedzieć jej otwarcie, jak sprawy stoją. Dziś wieczorem gram Romea. O Boże, i jak tu można być w dobrej formie!

Katarzyna nie odezwała się.

Po zakończeniu przedstawienia, kiedy Wigand opuścił garderobę, zobaczył Katarzynę przy wyjściu dla aktorów. Był niemile zaskoczony.

— Ty tutaj? Co się stało?

— Nic, chciałam cię tylko zapytać, czy jeszcze gdzieś idziesz?

— Tak, umówiłem się z kolegami.

— Czy pozwolisz, że i ja pójdę? Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Tak nagle? Czyżbyś była zazdrosna?

— Nie, po prostu zrozumiałam, że nie miałam racji, nigdzie z tobą nie chodząc. Toteż teraz będę ci częściej towarzyszyć.

Roześmiał się.

— Abym nie zszedł z drogi cnoty! Powinnaś była wyjść za męża za szacownego, bogobojnego kołtuna. Byłabyś wówczas na właściwym miejscu. Wyobrażałaś sobie tylko, że pragniesz się wyrwać do swobodniejszego życia. Ale tak ci wbili do głowy kołtuńskie zasady, że nie potrafisz się ich wyzbyć.

— Może masz rację — rzekła cicho Katarzyna — sama już nie wiem tak naprawdę, gdzie moje miejsce z moimi odczuciami i poglądami.

— W dziurze zabitej deskami, zapewniam cię — rzekł Wigand gorzko.

Doszli tymczasem do restauracji, w której zawsze zbierali się aktorzy. Byli tam już Kertner, Hartenberg, Bertholdowie i Huber z żoną. Trochę się zdziwili na widok Katarzyny, ale nic nie powiedzieli. Tylko pani Anna szepnęła jej:

— Bardzo słusznie, dziecinko, niech pani nie puszcza go stale samopas.

Wigand zirytowany usiadł i kazał sobie podać coś do jedzenia. Był małomówny.

Pani Anna spoglądała na niego wojowniczo. Za kulisami wielokrotnie zerkała na nią z wściekłością, mruknął coś nawet o „wstrętnych plotkarach”.

Wówczas stanęła przed nim odważnie.

— Jeśli mnie masz na myśli, mój chłopcze, to się nie krępuj. I żebyś wiedział, mam zamiar także na przyszłość psuć humor tobie i twojej rozkosznej Helenie. Poznałeś swoją żonę u mnie i czuję się w obowiązku przychodzić jej z pomocą, kiedy tylko jest to potrzebne. Nie jesteś wart takiej żony.

Zostawił ją i odszedł.

Ale i Helenie się dostało, kiedy rzuciła zjadliwą uwagę o „zazdrosnych koleżankach”.

— Wiesz co, Heleno — rzekła pani Anna spokojnie — nie zazdroszczę ci twego pierścionka. Na twojej białej rączce wygląda o wiele ładniej, niżby wyglądał na moich grubych palcach. Ale mimo to nie chwal się zanadto. Widać po nim, że został kupiony za pieniądze kobiety, której chcesz odbić męża.

Helena rzuciła się na nią jak furia. Starsza pani tylko podniosła rękę.

— Trzymaj się ode mnie z daleka, bo pogadam z tobą inaczej — rzekła spokojnie.

Tak więc całe towarzystwo było dość milczące i wszyscy bardzo szybko się rozeszli.

Wigand szedł obok Katarzyny zły i zacięty. Był wściekły na żonę, na panią Berthold i na cały świat. Przeklinał swoją lekkomyślność, z jaką dał się wciągnąć w ożenek. Katarzyna już nic dla niego nie znaczyła. Była mu tylko ciężarem.

Rozdział czternasty

Katarzyna wiedziała od Helmuta, że jej dawni opiekunowie prowadzą swój dawny, spokojny tryb życia. W ostatnim jednak liście Helmut napisał, że matka poważnie zachorowała. Na tę wiadomość Katarzyna zwróciła się do wuja z propozycją, że przyjedzie, by opiekować się chorą. Gotowa jest przybyć w każdej chwili.

W dwa dni później dostała wiadomość o śmierci ciotki Amelii. Karol Rodeck dopisał: „To zawiadomienie jest zarazem odpowiedzią na Twój list”. I nic więcej.

Katarzyna była wstrząśnięta. W takich wypadkach śmierć zaciera wspomnienie dawnej goryczy. Mimo innego widzenia świata dziewczyna była do ciotki przywiązana i zastanawiała się, czy sama nie ponosi winy za obcość, jaka się wkradła pomiędzy nią a wujostwo. Bardziej dojrzała życiowo, surowiej osądzała siebie, a łagodniej innych. Zbyt dużo wymagała od wujostwa, więcej, niż zdołali jej dać, a przecież to ona sama powinna się do nich dostosować. Czyż nie mieli takiego samego prawa do własnego stylu życia i charakteru, jak ona? Żaden człowiek nie może przeskoczyć samego siebie. Ona ani na krok nie odstąpiła od tego, co uważała za słuszne, tak samo jak wujostwo. Lecz młodzież ma większą zdolność dostosowywania się niż ludzie starzy. Tak więc tego, co jej wydawało się niemożliwe, nie powinna była wymagać od innych. I czyż doświadczenie ich długoletniego pożycia małżeńskiego nie dowodziło, że w dużej mierze mieli rację? Czyż nie spełnili swego obowiązku, sprzeciwiając się jej małżeństwu z Wigandem? A że uczynili to w sposób zimny i oschły — taki mieli charakter. Tego rodzaju myśli kłębiły się w głowie Katarzyny, gdy spoglądała na nekrolog ciotki. Postanowiła niezłomnie, że odda ciotce Amelii ostatnią posługę. Powiedziała o tym mężowi. Wzruszył ramionami:

— Rób, jak chcesz. Może uda ci się pogodzić ze starym. I coś ci przy tym skapnie, jakiś spadek. Bardzo by się nam przydało.

Katarzyna zmarszczyła czoło.

— Na to nie licz! Mój kuzyn Helmut jest jedynym spadkobiercą. Jadę tylko na pogrzeb, bo uważam to za swój obowiązek.

— Obowiązek! To co trzecie twoje słowo. Niedobrze mi się robi, kiedy je słyszę.

Katarzyna w milczeniu podeszła do okna i spoglądała na ulicę. Ludzie pospiesznie mijali ich dom, ludzie biedni i bogaci, młodzi i starzy. Jedni szli krokiem lekkim, swobodnym, z podniesioną głową, inni z ponurą miną i

wzrokiem wbitym w ziemię. Czy wszyscy doświadczali trosk i cierpień? Czy był wśród nich ktoś, komu to zostało oszczędzone?

— Kiedy chcesz jechać? — zapytał Georg po chwili.

— Jutro rano o dziewiątej trzydzieści. Będę tam przed jedenastą. O pierwszej jest pogrzeb.

— A kiedy masz zamiar wrócić?

— Nie wiem dokładnie. Jeśli będę mogła w czymkolwiek wujowi pomóc, zostanę dłużej. W takim wypadku będziesz się musiał przez kilka dni obywać beze mnie. W każdym razie dam ci znać. Posługaczka zatroszczy się o dom. Jeśli będziesz chciał, przyniesie ci w południe obiad z restauracji.

— To zbędne. Przez ten czas będę jadał poza domem. Możesz mi dać trochę pieniędzy na wszelki wypadek.

Katarzyna podeszła do biurka i wyjęła małą kasetkę. Podsunęła mężowi sto marek; resztę pieniędzy trzymała w portmonetce.

— Nie mam więcej w domu, to ci wystarczy. Niedbale wsunął pieniądze do kieszeni.

— Należy być wdzięcznym Bogu za wszystko — rzekł ze śmiechem. Potem odszedł, pogwizdując wesoło.

Katarzyna poczyniła w domu wszelkie przygotowania na wypadek, gdyby jej nieobecność się przedłużyła. Potem zapakowała małą podręczną torbę, tę samą, z którą kiedyś opuściła dom wujostwa. Miała na sobie czarną suknię, a krótki czarny żakiet uzupełniał strój żałobny.

Wieczorem przyszli Kertner i Hartenberg, Bertholdowie przysłali kartkę, że nie mogą przyjść. Hieronim jest zaziębiony i nie powinien wychodzić z domu. Katarzyna i Kertner prowadzili filozoficzną rozmowę o życiu i śmierci, Hartenberg rozkoszował się widokiem uroczej gospodyni, Wigand zaś ziewał z nudów.

Nazajutrz rano Katarzyna wstała po cichu, by nie obudzić Georga. Dopiero kiedy była gotowa do wyjścia, podeszła do jego łóżka, by się pożegnać.

Wyciągnął do niej rękę zaspany.

— Do widzenia, Kasiu, miłej zabawy — rzekł ziewając. A potem, spojrzawszy na jej ubranie: — Brr, wyglądasz jak zakonnica. Właściwie powinienem cię odwieźć na dworzec, co? Trzeba było mnie wcześniej obudzić.

— Pojadę taksówką. Śpij dalej. Do widzenia! Dotknęła leciutko ustami jego czoła. Potem wyszła.

Po prawie dwuletnim małżeństwie po raz pierwszy rozstawali się na dłużej i oboje czuli jedynie ulgę z tego powodu.

Katarzyna wysiadła z pociągu i powoli poszła ulicami, przez most, na Fischgasse. Widziała po drodze znajome twarze ludzi, którzy okazywali zaciekawienie, podziwiali ją lub odwracali wzrok. Ale wszyscy ukradkiem przyglądali się wysokiej, smukłej kobiecie.

— Przecież to Katarzyna od Rodecków! — mówili.

— Tak, oczywiście, na pewno przyjechała na pogrzeb. Ale się zmieniła! Jak dziwacznie jest uczesana! Widać, że przyjeżdża z wielkiego miasta i że obraca się wśród artystów.

Katarzyna nie przejmowała się tym, co ludzie o niej myślą. Szła spokojnie, z gracją, w stronę domu wuja. Przed drzwiami pociągnęła za dzwonek; otworzyła jej Lina i w pierwszej chwili oniemiała.

— Panienska Katarzyna! — zawołała po chwili z podziwem i radosny uśmiech opromienił jej twarz. Miała zaczerwienione oczy. Wierna służąca szczerze żałowała swojej pani.

Katarzyna wyciągnęła do niej rękę.

— Dzień dobry, kochana, dobra Lino.

— Dzień dobry, dzień dobry, droga panno Katarzyno! Ach, nasza biedna, droga pani Rodeck!

I łzy popłynęły jej po pomarszczonej twarzy. Katarzyna pogłaskała suchą dłoń kobiety. Wzruszyły ją łzy starej służącej.

— Czy wuj jest w domu, Lino?

— Tak, pan jest przy naszej drogiej pani. Niech panienska wejdzie, teraz tam jeszcze nikogo nie ma. Potem przyjdą inni.

Otworzyła drzwi do salonu, gdzie ułożono zmarłą. Młoda kobieta weszła po cichu.

Wstrząśnięta, pochyliła się i pocałowała złożone białe ręce zmarłej. W geście tym była niema prośba o przebaczenie. Potem położyła duży bukiet fiołków na zimnych dłoniach.

Powoli się odwróciła. Przy oknie stał wuj Karol, sztywny, wyprostowany, i patrzył na Katarzynę chłodnym wzrokiem. Podeszła do niego i podała mu rękę.

Czubkami palców dotknął jej dłoni.

— Dzień dobry.

Serce jej jakby ścisnęła lodowata obręcz. Ale trzymała się ze wszystkich sił.

— Czy mogę ci w czymś pomóc, wuju?

— Dziękuję. Wszystko już załatwione. Joanna i jej matka mi pomogły. Nie sądziłem, że przyjedziesz.

— Ależ, wuju, przecież to zrozumiałe, że chcę oddać cioci Amelii ostatnią posługę.

— Zrozumiałe byłoby wiele innych spraw. Nie liczyliśmy na wdzięczność z twojej strony.

Katarzyna milczała. Bo cóż miała odpowiedzieć? Po chwili pan Rodeck rzekł spokojnie:

— Idź do bawialni i poczekaj, aż inni przyjdą.

Powoli skierowała się w stronę drzwi. Zanim wyszła, zapytała go cichu:

— Helmut nie przyjechał?

— Owszem, ale jeszcze załatwia rozmaite sprawy i niedługo wróci. Katarzyna usiadła w bawialni na swoim dawnym miejscu przy oknie i rozejrzała się po pokoju. Ogarnęło ją przygnębienie. Czuła chłód i niepokój w sercu, jak gdyby to ona sama umarła. Dookoła panowała cisza, nie przedostawał się do niej żaden odgłos. W domu rozchodził się ostry zapach zwiędłych kwiatów, świadczący o śmierci i przemijaniu.

Oczami duszy ujrzała ogrom cierpienia, które naznaczyło już jej młode życie. Wydawało jej się, że wróciła tu jeszcze bardziej samotna i uboga, niż kiedy stąd wyjeżdżała. Bo wówczas miała nadzieję na lepszą przyszłość. Teraz te marzenia minęły bezpowrotnie.

Siedziała zatopiona w ciężkich, smutnych myślach. Nagle rozległ się głośny dzwonek. Zaraz potem otworzyły się drzwi bawialni i ukazała się wysoka postać Helmuta. Gdy ujrzał Katarzynę, podbiegł do niej i mocnym, niemal bolesnym uściskiem ujął jej dłoń.

— Kasiu... ty!

W tych dwóch słowach mieścił się cały świat. Jego szare oczy oblały ją strumieniem miłości. Ucisk w sercu Katarzyny zelżał. Dwie duże łzy potoczyły się z jej oczu. Instynktownie trzymała się jego rąk. W tej chwili oboje nie myśleli o zmarłej, tylko o tym, co sami przeżyli i przecierpieli od czasu, kiedy widzieli się tu po raz ostatni.

— Jak ci się powodzi, Helmucie? Wydaje się, że zeszczipłaś na twarzy — rzekła Katarzyna, kiedy się wreszcie opanowała. I pomyślała o tym, co jej mówił o miłości do kobiety, która była dla niego stracona. Czy to z jej powodu jego usta miały gorzki wyraz?

Helmut pokonał wzruszenie, lecz nie odrywał wzroku od jej twarzy, jak gdyby pragnął wynagrodzić sobie długi okres cierpienia.

— Powodzi mi się dobrze. Tylko mam dużo pracy. Nasza firma rozwija się z każdym dniem i tyle spraw przechodzi przez moje ręce.

— Czy nikt nie może cię odciążyć? Potarł czoło szczupłą dłonią.

— To nie takie proste, Kasiu. Od pewnego czasu szukam kogoś, kto poprowadziłby mi sekretariat; ale ta osoba musiałaby mieć tyle zalet, że nie

wiem, czy kiedykolwiek taką znajdę. Musiałaby być zręczna, pracowita i mądra. No i sympatyczna, bo miałbym ją przez cały dzień w pobliżu siebie. Poza tym musiałaby mnie rozumieć w pół słowa, bym nie potrzebował zbyt wiele jej tłumaczyć, słowem: musiałaby to być wyjątkowa osoba. Ale takie rzadko się trafiają. Tak więc muszę sobie sam radzić.

Helmut mówił to wszystko, by przybrać swobodny ton. Teraz nastąpiła przerwa. Siedzieli w milczeniu i patrzyli na siebie.

— To tak szybko poszło z twoją matką — powiedziała Katarzyna cicho.

— Tak, smutno mi, że już nie zdążyłem z nią porozmawiać. Kiedy teraz leży taka spokojna na łożu śmierci, wydaje mi się, że powinienem ją za niejedno przeprosić.

— Ja czuję to samo, Helmutcie. Życie uczy nas poznawać własne błędy. Wobec nich błędą błędy innych.

— Jesteś młodą kobietą, a w twoich słowach brzmi rezygnacja. W twoim wieku jeszcze się żąda, a nie rozmyśla o szczęściu.

To chyba zależy od okoliczności. Ujął jej rękę.

— Kasiu, nie znalazłaś szczęścia, którego pojechałaś szukać? Wypowiedział te słowa bez tchu, głęboko przejęty. Spojrzała na niego poważnym, pełnym cierpienia wzrokiem.

— Nie — rzekła głucho — sięgałam za wysoko, za wiele żądałam. I dłoń moja pozostała pusta. Ale chyba nie istnieje takie szczęście, jakie sobie wymarzyłam. Należy zadowolić się czymś mniejszym. Mimo to znalazłam dużo dobra i piękna. Nade wszystko twoją przyjaźń. Poza tym pracę, która przynosi mi podwójną korzyść. Pieniądze i wewnętrzną satysfakcję. To bardzo dużo i tobie to zawdzięczam, tak samo jak niejedno dobro, jakiego zaznałam w życiu. Znalazłam także ludzi, których nauczyłam się cenić. Pisałam ci o Bertholdach, a także o Kertnerze. On jest dla mnie oparciem, jemu zawdzięczam w dużym stopniu moje wewnętrzne dojrzewanie. Mimo wszystko dopiero kiedy się stąd wydostałam, zaczęłam żyć.

— A twój mąż? Nic o nim nie mówisz. I mało mi o nim piszesz. Katarzyna oparła głowę na dłoni i spoglądała przed siebie nieruchomo. Helmut patrzył pełen niepokoju w jej piękną, smutną twarz.

Katarzyna się wyprostowała, jakby chciała strząsnąć z siebie ciężar.

— To, co mogłabym o nim napisać, byłoby to albo za dużo, albo za mało. To nie tylko jego wina, że staliśmy się sobie obcy. Nie chcę go oskarżać. Widziałam w nim boga i jako takiego kochałam, a on jest tylko zwykłym człowiekiem, i nie potrafię go kochać takim, jaki jest. Nasze małżeństwo było

błędem i oboje uginamy się pod jego ciężarem. Ja dałam mu równie mało szczęścia, jak on mnie.

— Już go nie kochasz? — zapytał Helmut głosem, który wyraźnie drżał.

— Kochałam go tak długo, póki podobny był do wizerunku, jaki ja, niemądra dziewczyna, stworzyłam w swojej wyobraźni.

— Więc dlaczego nie odejdziesz od niego? Kto cię zmusza do tego, aby tkwić w tym błędzie, kiedy już go sobie uświadomiłaś?

Pytał ją, z trudem zmuszając się do spokoju. Katarzyna nie miała pojęcia, jaką burzę w nim rozpętała.

— Dlaczego? Bo to mój obowiązek wytrwać przy nim. Ale dość o tym. Nie martw się o mnie. Mówię tak, jak ty: życie i tak ofiaruje nam tyle dobra i piękna. Słyszę, że inni nadchodzą. Chodźmy do twojej matki.

Poszła przodem. Helmut szedł za nią i myślał: „Jaką trzeźwo myślącą, silną duchowo kobietą stała się ta romantyczna i marzycielska niegdyś dziwczyna!” I do jego gorącej miłości dołączył podziw. Teraz, kiedy znów ją ujrzał, odczuł z całą siłą, ile dla niego znaczyła, i na nowo ogarnął go ból, że ją stracił. Trudno mu było nie zdradzić się ze swym uczuciem. Gdyby jego słowa o utraconej miłości nie wprowadziły Katarzyny w błąd, chyba zaczęłaby się czegoś domyślać.

Po ceremonii pogrzebowej, w której wzięli udział wszyscy znajomi, Katarzyna i Helmut wrócili do domu wuja.

Starszy pan siedział sztywno i nieruchomo w bawialni. Katarzyna podeszła do niego i patrząc łagodnie, powiedziała:

— Wuju, jeśli sobie życzysz, pozostanę tu kilka dni, aż minie najgorsze.

Wuj odparł, omijając ją wzrokiem:

— Nie, dziękuję, to zbędne. Wówczas podszedł do niego Helmut.

— Powinieneś przyjąć propozycję Kasi, ojcze. Ja za dwie godziny muszę wracać do Berlina, a ty zostaniesz sam.

— Jest tu Lina, a wieczorem przyjdzie Albert z Joanną. W ciągu dnia jestem w kantorze. Katarzyna może spokojnie wracać do domu.

Brzmiało to chłodno i obojętnie.

Młodzi ludzie spojrzeli na siebie i instynktownie ujeli się za ręce, jak gdyby chcieli się nawzajem chronić przed chłodem emanującym ze starego człowieka.

Czy naprawdę był taki spokojny i zimny, jak się pozornie wydawał? Czy tak niewiele obeszło go to, że stracił towarzyszkę życia, która pozostawała u jego boku przez trzydzieści pięć lat? Kto zdoła zbadać serce ludzkie, które otoczyło się mocnym pancerzem?

W tej sytuacji Katarzyna postanowiła wracać od razu. Jej pociąg odjeżdżał o kwadrans wcześniej niż pociąg Helmuta. Pożegnawszy się z Karolem Rodeckiem, poszli razem na dworzec.

Rozmawiali jeszcze o tym i o owym jak przyjaciele. Potem Helmut rzekł nagle, głęboko nabierając tchu:

— Może to źle, Kasiu, ale rad jestem, że mogę znów odjechać. Atmosfera w ojcowskim domu dławi mnie jak zmora. To okropne, że nawet w takiej sytuacji nie jest w stanie okazać, że coś drgnęło w jego sercu.

— Tak, odczuwam to samo, co ty. Jesteście do siebie tak zupełnie niepodobni. To takie smutne, że kiedy człowiek usiłuje uzyskać dostęp do tego twardego serca, staje jak przed zamkniętymi drzwiami.

Szli powoli, każde zajęte własnymi myślami, a jednak przekonani, że mają takie same usposobienia, że jest im ze sobą dobrze i rozumieją się nawet bez słów.

Nadeszła chwila rozstania.

Katarzyna siedziała w przedziale, jej piękną bladą twarz miał tuż przed sobą. Czerwone usta lśniły nęcąco, śliczne oczy spoglądały na niego ciepło.

— Żegnaj, Helmucie. Będziemy w przyszłości także często do siebie pisać, prawda? I będziesz mi dawał pracę?

— Tak, Kasiu, droga, mała Kasiu. I pamiętaj, jeśli będzie ci potrzebna pomocna dłoń przyjaciela, jestem gotów na twoje wezwanie.

Uścisnęła mu rękę.

— Dziękuję ci, drogi, wierny przyjacielu!

Ale nie pocałowała go na pożegnanie. Pociąg odjechał. Patrzyli sobie w oczy, póki to było możliwe.

Helmut długo jeszcze stał na peronie, choć pociąg dawno już odjechał. Potem się opamiętał, odrzucił energicznie głowę do tyłu.

„No, a teraz do roboty! Nie okazywać słabości! Uszy do góry!”

Ale nie mógł odpędzić od siebie widoku pięknej twarzy Katarzyny; stała przed oczami jego duszy i mimo wysiłku z jego strony nie odstępowała go.

Rozdział piętnasty

Kiedy Katarzyna dotarła do domu, była już prawie dziewiąta. Ku swemu zdziwieniu ujrzała z dołu, że pokoje są oświetlone. Co prawda wiedziała, że tego wieczora Georg nie występuje, ale nie spodziewała się zastać go w domu.

Powoli szła na górę, nie śpieszyło jej się.

Po cichu otworzyła drzwi. Może Georg zasnął na kanapie, jak mu się nieraz zdarzało. Kiedy go wówczas budziła, był zły.

Ostrożnie zdjęła kapelusz i chciała powiesić go na wieszaku. Nagle ręce jej opadły, oczy wpatrywały się w damski kapelusz z szerokim rondem.

Katarzyna poznała ten kapelusz, należał do panny Hellmann.

Jak nieprzytomna cicho otworzyła drzwi do bawialni. Była pusta. Za to z salonu, oddzielonego od bawialni tylko ciężką kotarą, dobiegały czułe odgłosy i cichy śmiech kobiecy.

Wówczas Katarzyna ocknęła się ze swego odrętwienia. Szybkim krokiem weszła do bawialni i odsunęła kotarę; spojrzała z przerażeniem na to, co się tam działo.

Panna Hellmann siedziała wtulona w fotel i z czułym uśmiechem patrzyła na zaczerwienioną twarz Georga. Miała na sobie białą powiewną suknię, która odsłaniała jej piękne ramiona. W dłoni która zwisała leniwie z oparcia fotela, trzymała palącego się papierosa. Drugą dłonią czule gładziła ciemne włosy Georga. Ten zaś właśnie się nad nią pochylił i pocałował, kiedy nagle poderwał się przerażony z tłumionym okrzykiem. Zatopieni w pieszczotach nie usłyszeli szmeru, który spowodowało wejście Katarzyny. Teraz oboje patrzyli przerażeni w nieruchomą, ubraną na czarno kobietę stojącą przy kotarze.

Helena pierwsza się opamiętała. Zerwała się ze sztucznym śmiechem i złożyła ukłon przed Katarzyną.

— Przeszkodziła nam pani w próbie, pani Katarzyno; właśnie ćwiczyliśmy scenę z nowej sztuki — rzekła swobodnie. Ale jej głos brzmiał niepewnie.

Na twarz Katarzyny powróciło życie. Weszła do pokoju i zmierzyła Helenę poważnym wzrokiem.

— Chyba pomyliła pani scenerię. Moje mieszkanie nie jest właściwym miejscem do takich prób.

I powoli podeszła do drzwi, otworzyła je i rzekła zimno: — Żegnam, panno Hellmann.

Cofnęła się spokojnie, z godnością, by przepuścić aktorkę. Ta stanęła wyniośle i obrzuciła swoją przeciwniczkę gniewnym wzrokiem.

— Coś podobnego! Pani pokazuje mi drzwi!

— Chyba pani sama chciałaby stąd jak najszybciej odejść.

Na twarzy aktorki malowała się wściekłość. Ofuknęła Katarzynę ze złością:

— Tylko nie tak wyniośle, szanowna pani! Sądzi pani, że może mnie obrażać, bo jest pani zbyt pruderyjna, by zrozumieć swobodne koleżeńskie stosunki między aktorami. Wobec tego coś pani powiem. Czy to uczciwe zwabiać mężczyznę, fałszując fakty? Georg mnie kocha, i to kocha już od dawna, tylko pani pozorne bogactwo go zaślepiło i pociągnęło ku pani. A czy to uczciwe trzymać na siłę tego człowieka, który chce się od pani uwolnić, który przy pani zszedłby na psy, gdybym się nad nim nie zlitowała? Nie ma pani dla niego zrozumienia. Małżeństwo z panią ciąży mu jak kajdany, jak kamień u szyi. Bo ten rzekomy majątek bynajmniej nie wystarcza, by zaspokoić pani wymagania, a jeszcze mniej, by pozwolić mu na swobodny rozwój artystyczny. Tylko mnie i mojej ofiarnej, pozbawionej przesądów miłości zawdzięcza to, że przy pani całkiem nie ogłupiał. Ściąga go pani do siebie, w dół, ja natomiast podnoszę go na jasne wyżyny sztuki. Tak, moja pani, oto moja odpowiedź na pani obrazę. Żegnaj, Georg, jutro się zobaczymy. — I wyszła pośpiesznie, zatraskując za sobą drzwi.

Katarzyna stała śmiertelnie blada, jej usta drżały. Te obelgi obezwładniły ją. A mąż stał obok i nie bronił jej przed tymi niesłychanymi wyrzutami.

Powoli zwróciła ku niemu swą bladą twarz. Georg przez cały czas starał się opanować. Wstydził się i dlatego był wobec żony tym bardziej niesprawiedliwy. Gdy spojrzała na niego z nieopisaną goryczą, napadł na nią:

— Dlaczego nie zadeszowałaś, tak jak było umówione? Dlaczego zakradasz się tu i mnie szpiegujesz?

Katarzyna spokojnie podniosła z dywanu żarzącego się papierosa, który upuściła Helena. Zgasiła go, po czym otworzyła okno, by wypuścić ostry zapach perfum.

— Czemu nic nie mówisz? — zapytał Wigand zirytowany i chwycił ją za ramię.

Uwolniła się szarpnięciem.

— Nie tutaj. Chodź tam! — rzekła stanowczo i głośno.

Poszła przodem do jadalni. Stół nie był jeszcze uprzątnięty. Widać było ślady luksusowej kolacji: kilka pustych butelek po szampanie, na wpół opróżnioną paterę z owocami, resztki potraw. Georg zwolnił posługaczkę, zanim przyszła Helena, dlatego wszystko jeszcze stało na stole.

Georg poszedł za Heleną. Trochę się uspokoił i opanował.

— Czemu nie zawiadomiłaś mnie o swoim powrocie? Wówczas oszczędzilibyśmy sobie tej sceny. Moglibyśmy równie dobrze odbyć tę próbę gdzie indziej.

Katarzyna spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

— Daj spokój tym wykrętom, nie jestem już taka naiwna, jak sądzisz. Lepiej pomówmy otwarcie i szczerze. Kłamstwem nic się nie osiągnie. Pytam cię poważnie i stanowczo, proszę, powiedz prawdę: czy ta Hellmann ma choć trochę racji w tym, co powiedziała? Czy to prawda, że czujesz się uwięziony, że jestem dla ciebie ciężarem?

Jej pełne powagi słowa zrobiły na nim wrażenie.

— Nie pasujemy do siebie, to chyba także już rozumiałaś — rzekł niepewnie.

— Owszem.

— Twój sposób bycia paraliżuje mój artystyczny polot, masz mi za złe wszelką swobodę i odwracasz się ode mnie pogardliwie, kiedy czasem przcholuję. Nie rozumiesz mnie. Było nierozsądne z mojej strony wyrywać cię z twego środowiska. Mamy zbyt różne usposobienia.

Katarzyna przycisnęła ręce do skroni. Tam, skąd właśnie wróciła, w tym szarym, ponurym domu, przesiąkniętym zapachem skóry — tam także wyraźnie dano jej do zrozumienia: Ty do nas nie należysz, jesteś inna niż my. A teraz jej mąż mówi także, że ona nie pasuje do jego świata. Więc gdzie właściwie należy? Czy nigdzie nie ma dla niej miejsca, w którym mogłaby zapuścić korzenie? Czy nigdzie nie może poczuć się swojsko? Westchnęła głęboko.

— Powinieneś był wcześniej wziąć się na odwagę i mi to powiedzieć. Nie chcę być ci ciężarem. Jedynie poczucie obowiązku trzymało mnie przy tobie, bo i ja od dawna czułam, że popełniliśmy błąd, wiążąc się ze sobą. Zwracam ci wolność, jeszcze dziś wieczorem opuszczę twój dom.

Podszedł do niej. Jednak było mu jej żal.

— Nie tak, Kasiu, to ja odejdę, ten dom należy do ciebie! I rozejdźmy się w zgodzie, nie miej do mnie żalu.

— Nie, nie mam żalu. Nic na to nie poradzisz, że jesteś inny niż ja. Zostań tutaj. Ja nie mogłabym tu wytrzymać w tych pokojach, które wydają mi się sprofanowane. Spakuję tylko swoją odzież, resztę pozostawiam tobie.

— Nie możesz odejść jeszcze dziś. Spakowanie rzeczy zajmie ci kilka godzin. I dokąd pójdziesz w nocy?

Katarzyna zastanowiła się chwilę.

— Proszę cię, abys mi wyświadczył ostatnią przysługę i odprowadził do hotelu, jak już się spakuję. Jeśli chcesz tymczasem wyjść, nie krępuj się. Za trzy godziny będę gotowa. Teraz jest dziewiąta.

Wyszła, by od razu zabrać się do pakowania. Wigand chodził po pokoju, czuł się bardzo nieswojo. Nie mógł się cieszyć swoją odzyskaną wolnością. Czuł przecież, że odegrał żalostną rolę.

Czasami nasłuchiwał. Słyszał, jak Katarzyna krzątała się po mieszkaniu. Zbierała swoje rzeczy. Potem opadł na fotel i zgnębiony oparł głowę na rękach. Siedział tak jeszcze wówczas, kiedy żona po kilku godzinach znów weszła do pokoju.

— Jestem gotowa, możemy iść — rzekła spokojnie. — Walizki prześlesz mi, kiedy podam ci adres.

— A cała reszta, twoje meble, cały sprzęt, naczynia, czy to wszystko ma pozostać?

— Tak. Może ci się przyda, kiedy ktoś inny zajmie moje miejsce.

— A co będzie z tobą? Czy wrócisz do wuja? To byłoby dla ciebie najlepsze. Uśmiechnęła się z goryczą:

— Najlepsze? Tak sądzisz? Jeszcze nie wiem, co zrobię. Ale tam na pewno nie wrócę. Znajdę swoją drogę. Reszta mojego majątku na razie zabezpieczy mnie przed biedą, a ja pragnę pracować. Tylko w tym moja nadzieja, to jest moim dążeniem.

Katarzyna zabrała tylko małą walizkę. Georg wziął ją od niej, nie protestowała. Szli w milczeniu obok siebie przez cichą letnią noc. Katarzyna drżała z chłodu. W hotelu podała mu rękę. Poczuł, że była lodowata.

— Bądź zdrow — rzekła cicho. Uścisnął jej dłoń.

— Bądź zdrowa, Kasiu, i wybacz mi, jeśli możesz.

— Jestem równie winna jak ty. Niech cię nie gnębi myśl o mnie. Kiedy usłyszę, że osiągnąłeś najwyższe szczyty, będę się cieszyła. I pozdrów ode mnie Kertnera! Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze o mm usłyszę, był moim szczerym przyjacielem. Przekaż również pozdrowienia Hartenbergowi i Bertholdom. Niestety, nie mogłam się z nimi pożegnać. Jak tylko będę wiedziała, gdzie zamieszkam, dam ci znać.

Jeszcze raz skinęła mu głową i poszła po schodach wyłożonych dywanem do swego pokoju. Jak zahipnotyzowany spoglądał na jej smukłą postać.

Na górze Katarzyna odwróciła się i skinęła mu ręką, potem znikła. Wigand wyszedł, mijając gapiącą się służbę hotelową. W najbliższej restauracji kazał sobie podać butelkę wina i przesiedział przy niej do rana. Wrócił do domu, słaniając się na nogach.

W tym samym czasie Katarzyna siedziała jeszcze przy oknie swego pokoju w hotelu. Wciąż jeszcze nie mogła odzyskać równowagi, za dużo musiała przezwyciężyć. Już nie kochała Georga, ale przecież dwa lata przeżyli wspólnie. A kiedyś była z nim szczęśliwa — co prawda bardzo krótko, ale w tym krótkim okresie zdawało jej się, że otwarło się nad nią niebo.

Teraz wszystko się skończyło. Znow miała zacząć nowe życie. Jak ono się ułoży? Co ma robić? Kto mógłby jej szczerze poradzić, jak ma dalej żyć?

Helmut!

Naraz stało się dla niej jasne: zwróci się do niego, on ją zrozumie i pomoże.

Drżąc podniosła się, by położyć się do łóżka. Kiedy zamknęła palące powieki, raz jeszcze przypomniała sobie scenę z Heleną.

„Nie, po tym, co się stało, nie mogłam dalej z nim żyć — pomyślała z odrazą. — Tak jest lepiej.”

Po kilkugodzinnym wypoczynku Katarzyna kazała przywołać taksówkę. Pociąg pośpieszny do Berlina odchodził za godzinę. Przedtem musiała pójść do banku, by załatwić formalności i podjąć pieniądze. Prawie połowa jej majątku została wydana. Ale tym się teraz nie martwiła; miała nadzieję, że Helmut znajdzie dla niej dobrze płatną pracę, by mogła zarobić na swoje utrzymanie. Była wielkoduszna i szczodra — więc włożyła pięćset marek do koperty i dodała kilka słów: „Będiesz miał teraz różne nieprzewidziane wydatki, więc ci przekazuję tę sumę. Nie chcę, byś z mojego powodu zaciągał długi”.

Tak napisała do męża i poleciła przekazać mu kopertę. Potem pojechała na dworzec.

W Berlinie przeszła przez Potsdamer Platz na Leipziger Strasse. Ujrzała przed sobą rozległy, barwny obraz. Na widok ruchliwego, przepychającego się tłumu wstąpiło w nią nowe życie. Wszyscy ci ludzie zmierzali do jakiegoś celu, każdy ze swymi jednostkowymi sprawami stanowił część całości.

To życie i ruch tak przykuły jej uwagę, że prawie zapomniała o własnym cierpieniu; dopiero kiedy doszła do celu, ocknęła się.

Badawczym spojrzeniem obrzuciła wielki budynek. A więc tutaj pracuje Helmut!

Przez bramę przechodzili ludzie. Poszła za nimi i niezdecydowana stanęła na dużym wyasfaltowanym dziedzińcu. Nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt nie miał dla niej czasu. Rozglądała się onieśmielona. Na jednych drzwiach przeczytała napis: „Portier”. Weszła tam. W małym pomieszczeniu przy stole siedział wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w uniformie i coś pisał. Uniósł głowę.

— Słucham panią?

— Chciałabym się widzieć z panem doktorem Rodeckiem. Proszę mi powiedzieć, którądy mam iść do niego?

— Godziny przyjęć w redakcji od drugiej do trzeciej. A więc musi pani przyjść jutro.

— To sprawa osobista. Czy może mnie pan zameldować? Wiem na pewno, że pan doktor mnie przyjmie.

Portier spojrział na nią badawczo, potem wskazał drogę. Wkrótce Katarzyna stanęła przed drzwiami z napisem „Redaktor Naczelny”.

Podeszła zdecydowanym krokiem, zapukała, a ponieważ nikt się nie odezwał, weszła. Znalazła się w dużym, jasnym pokoju z wysokimi regałami pełnymi książek i potężnym biurkiem.

Przed tym biurkiem, odwrócony do niej plecami, siedział Helmut Rodeck. Zanim podniósł głowę, dopisał jeszcze zdanie do końca. Potem powoli się odwrócił, ale zaraz zerwał się raptownie.

— Kasiu!

Ten okrzyk zawierał zdumienie, przerażenie i ogromną radość.

— Tak, to naprawdę ja — rzekła cicho.

Wciągnął ją za ręce dalej do pokoju i podsunął wygodny fotel.

Usiadła i spojrzała na niego. Zrozumiał, że stało się coś szczególnego. To dodało mu siłę, by się opanować. Przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Potem znów ujął jej dłonie.

— Czy mogę się cieszyć, że tak prędko znów cię widzę, czy też sprowadziło cię do mnie coś przykrego?

Katarzyna głęboko westchnęła.

— Powiem ci bez ogródek, co się stało. Odeszłam od męża, nigdy do niego nie wrócę.

Zerwał się i kilkakrotnie szybko przemierzył pokój. Burza, jaką rozpętały w nim te słowa, nie pozwalała mu spokojnie usiedzieć na miejscu. Czuł się, jakby go unosiła potężna fala: „Ona jest wolna!” Jego dusza triumfowała i rosła w nim ogromna nadzieja. Spojrział na nią. Jej przerażony, trwożny wzrok przywrócił mu spokój. Zacisnął zęby, by słowa radości nie wydarły mu się z ust; zbliżył się do niej.

— Przestraszyłem cię, Kasiu, nie patrz na mnie z takim lękiem! Moje zaskoczenie było ogromne. Powiedz, czemu to poszło tak prędko? Jeszcze wczoraj nie myślałaś o rozstaniu.

Opowiedziała mu wszystko. W tej godzinie wejrzał głęboko w dzieje jej małżeństwa. Niczego przed nim nie ukryła, niczego nie upiększyła, mówiła jasno i bez ogródek.

Słuchał, z trudem hamując podniecenie. Najchętniej porwałby ją w ramiona i pocieszył, utulił jak dziecko. Ale przezwyciężył się, trzymał tylko jej rękę w swojej i spoglądał ze współczuciem w jej oczy.

Kiedy skończyła, odetchnął głęboko.

— Chcesz się z nim rozwieść?

— On chyba zechce ożenić się z tamtą kobietą, przy rozwodzie pójdę mu na rękę pod każdym względem.

— A co będzie z tobą?

— Chciałabym, abys mi coś doradził, dlatego przyszłam do ciebie. Proponowałeś mi swoją pomoc. Pragnę zostać tu, w Berlinie, i pracować gorliwie, ze wszystkich sił. Ale musisz mi wskazać, jak mam to zrobić, jak mam żyć z pożytkiem i ku własnemu zadowoleniu. Czy chcesz mi w tym pomóc?

— Przecież wiesz, że zawsze jestem do twoich usług. Twój ostatni przekład jest doskonały, naprawdę znakomity. Ale czy taka praca wystarczy ci na dłuższy czas, czy nie wyda ci się zbyt monotonna?

— Nie mogę się podjąć innej pracy, brak mi doświadczenia.

— Powoli wszystko się ułoży. Na Boga, Kasiu, wydaje mi się snem, że cię widzę u siebie! I cieszę się, cieszę się nieopisanie, że chcesz tu zostać. Popatrz, jaki ze mnie egoista, myślę o swojej radości zamiast o twoim zmartwieniu. Ale poczekaj chwilę, muszę jeszcze napisać kilka słów. Potem zwolnię się na dzisiejszy dzień. Pokażę ci Berlin, pojedziemy na spacer, a potem pójdziemy coś zjeść. Na pewno jesteś głodna, a tutaj nie mogę ci niczego zaproponować. Wieczorem zabiorę cię gdzieś, abys mogła zapomnieć o wszystkich zmartwieniach. Już moja w tym głowa! Aha, jeszcze mieszkanie dla ciebie... poczekaj, mam tu adres pewnej znajomej autorki, bardzo miłej starszej pani. Zachwalała mi pensjonat, w którym mieszka. Będiesz chyba mogła się tam ulokować. Najpierw zawiozę cię tam, abys wiedziała, że masz gdzie mieszkać. A teraz przepraszam, poczekaj chwilę.

Usiadł przy biurku i pisał dalej. Czasami unosił głowę, jak gdyby chciał się upewnić, że ona naprawdę tu jest. Kiedy skończył, zatelefonował do różnych wydziałów i wydał polecenia.

— No już, Kasiu, na dziś jestem wolny, chodźmy.

Wyszła u jego boku.

Na dworze Helmut zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, pomógł Katarzynie wsiąść i usiadł obok niej. Przede wszystkim pojechali do pensjonatu. Tam przyjęto Kasię życzliwie. Najchętniej zostałaaby w swoim pokoju, teraz dopiero odczuła całe przeżyte nerwowe napięcie. Ale nie chciała psuć Helmutowi

przyjemności i pozwoliła się zawieźć, dokąd chciał. Wszystko, co zobaczyła, tak ją ożywiło, że zapomniała o zmęczeniu. Dopiero kiedy po kolacji odwiózł ją do domu, poprosiła go na pożegnanie:

— Pozwól mi jutro zostać w domu, Helmucie. Muszę dojść ze sobą do ładu, wszystko uporządkować.

— Jak sobie życzysz, ale pojutrze będę cię mógł odwiedzić? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się czuję, mając świadomość, że jest tu ktoś bliski, komu jestem potrzebny, kogo mogę trochę rozpieszczać. Dobranoc, droga, mała Kasiu. Śpij dobrze.

Z uśmiechem uścisnęli sobie dłonie.

— Dobranoc, mój drogi! Dzięki tysiącrotnie za twoją przyjaźń. Gdybym ciebie teraz nie miała...

Helmut wracał ożywionymi jeszcze o tej porze ulicami; wstąpił po drodze do kawiarni. Nie mógł wracać do domu, mając tak przepełnione serce.

„Droga, mała Kasia,” powtarzał czule przed siebie. I ogarnęło go ogromne uczucie szczęścia. Kasia była wolna, wolna! I miłość do niej nie była już niczym nagannym.

Nazajutrz Katarzyna spała długo. Gdy potem weszła do jadalni na śniadanie i piła kawę, przysiadła się do niej właścicielka pensjonatu i zaczęła ją trochę wypytywać. Wtedy Katarzyna poczuła, jakie to przykre, kiedy ma się nie uporządkowaną sytuację rodzinną. Przecież nie mogła powiedzieć, że opuściła męża. ale strój żałobny, który miała na sobie, dopomógł jej uniknąć osobistych pytań. Ogólnie jednak Kasia czuła się tu dość dobrze. Potem wróciła do swego pokoju i napisała kilka listów. Do Anny Berthold wysłała słowa pożegnania i dołączyła dwie wizytówki dla Kertnera i Hartenberga, na których napisała kilka słów. Kiedy załatwiła korespondencję, usiadła przy oknie i z zaciekawieniem obserwowała ożywiony ruch na ulicy. Teraz żałowała, że Helmut dziś już nie przyjedzie. Czuła się znów rześko i chętnie by z nim pospacerowała po mieście. Jego ciepło, życzliwość, rycerskość i czuła troska, którą jej okazywał, dobrze na nią działały. Tęskniła za jego obecnością i żałowała, że na dziś pozbawiła się jego towarzystwa.

Nazajutrz Helmut przyszedł około czwartej. Chciał załatwić przedtem swoje sprawy.

— Jak to dobrze że jesteś, Helmut — rzekła Katarzyna serdecznie — bez ciebie czułam się samotna i opuszczona.

— Ale za to teraz możesz mną bez reszty dysponować.

— Nie chciałbym cię brać za słowo. Masz z pewnością wiele zobowiązań towarzyskich.

Helmut się roześmiał. Był to ten sam dawny wesoły śmiech, który tak swojsko brzmiał w uszach Katarzyny.

— Nie jest z tym tak źle, Kasiu. Właściwie bywam w domu mojego dawnego protektora Sartoriusa i u jego zamężnej córki, gdzie czasem spędzam wieczór. Chcę cię tam wprowadzić. Możemy razem tam pójść.

Katarzyna trochę się zaniepokoiła.

— Czy to wypada, Helmucie? Wiesz, wczoraj, kiedy nie wiedziałam, co mam o sobie powiedzieć, poczułam się bardzo nieswojo. Co oni pomyślą o kobiecie, która porzuciła męża?

Ujął jej dłoń.

— Moja droga, naucz się myśleć rozsądnie. Zarówno mój stary przyjaciel, jak i jego córka i zięć są ludźmi bez uprzedzeń, o szerokich horyzontach. Przyjmą cię serdecznie, ręczę za to. Ale teraz przychodzę do ciebie z planem, a właściwie z prośbą. Od razu będziesz miała dowód, jakim jestem egoistą. Mówiłem ci, że szukam sekretarki i nie mogę znaleźć odpowiedniej osoby. Teraz znalazłem, siedzi tu przede mną. Powiedz, czy przyjmiesz tę posadę?

Spojrzała na niego zdumiona.

— Ja?

— Tak, ty.

— Ach, chyba żartujesz. Czyż potrafiłabym podołać takiej pracy?

— Istotnie, miałabyś dużo pracy.

— To by mi bardzo odpowiadało. Nie to budzi moje wątpliwości.

— Tylko co?

— Nie jestem właściwą osobą na takie stanowisko. Ono wymaga dużych umiejętności, dużej wprawy.

— Popatrzmy trzeźwo: masz świetny, wyraźny charakter pisma, dobry styl, umiesz stenografować, znasz doskonale język francuski, co przy naszych stosunkach z Francją jest nieodzowne. Rozumiesz mnie niemal bez słów, jesteś mądra, taktowna i... i... — roześmiał się — i sympatyczna. Ponieważ muszę mieć sekretarkę przez cały dzień w pobliżu, jest to dla mnie bardzo ważne. Więc jak, masz ochotę objąć tę posadę?

— Ochotę? Och, tak, miałabym ogromną ochotę. To byłoby cudowne, ale...

— Ale stawiasz jakieś warunki?

— Nie.

— Owszem, stawiasz. Żądasz pensji w wysokości dwustu marek miesięcznie. Jeśli się sprawdzisz, będzie wyższa. Poza tym żądasz trzech-czterech tygodni urlopu wypoczynkowego i zobowiązujesz się pracować w redakcji od dziewiątej rano do piątej po południu. Zgadza się?

Katarzyna się uśmiechnęła.

— Poczciwy Helmut. Jak ty o mnie dbasz!

— W tym wypadku dbam przede wszystkim o siebie. A więc powiedz: Tak!

— Z radością, jeśli uważasz, że podołam wymaganiom.

— Owszem, tak uważam. Ale... jest jeszcze coś. Helmut Rodeck bywa czasem niecierpliwy i nerwowy. Może kiedyś wybuchnąć, jak coś nie będzie po jego myśli. Wtedy jego sekretarka musi okazać rozsądek i nie brać mu tego za złe.

Katarzyna z uśmiechem ujęła jego dłoń.

— Jeśli chodzi tylko o takie trudności, chętnie się zgadzam.

— To pięknie, a więc załatwione. Kiedy możesz rozpocząć pracę?

— Kiedy tylko zechcesz.

— A więc w przyszły poniedziałek. Daruję ci kilka dni złotej wolności. Potem przykuję cię do biurka w redakcji. O Boże, Kasiu, to będzie cudowna współpraca! Cieszę się ogromnie. Teraz dopiero odżyjesz, teraz dopiero poznasz smak życia. Zaprowadzę cię wszędzie, gdzie będziesz się mogła czegoś nauczyć, moja spragniona wiedzy dziewczynko. Wkrótce zaczniesz się znów śmiać, przecież tak pięknie to potrafisz. No a teraz pospacerujemy po Berlinie. Dokąd masz ochotę pójść? Ubieraj się!

Katarzyna uległa jego gwałtownym naleganiom i w kwadrans później szli wśród tłumu ludzi. Była trochę onieśmielona. Mężczyźni patrzyli na nią z nie ukrywanym podziwem. Katarzyna przysunęła się do Helmuta. On z uśmiechem ujął ją pod ramię.

— Będziesz się musiała do tego przyzwyczaić, Kasiu. Nie można być bezkarnie tak piękną, jak ty.

Katarzyna przycisnęła swe ramię mocno i ufnie do niego. Helmut zaś szedł obok niej nieopisanie szczęśliwy. Jakie to cudowne, że może się nią opiekować!

Rozdział szesnasty

Katarzyna objęła nową posadę. Pracowała już od czternastu dni i ku jej wielkiej radości wszystko szło gładko. Rozpoczęło się dla niej nowe życie. Pracowała z takim zapałem, że Helmut musiał ją powstrzymać, żeby zbyt wiele na siebie nie brała.

Dla Helmuta był to okres dość trudny. Im dłużej przebywał w pobliżu ukochanej kobiety, tym więcej kosztowało go to wysiłku, aby się nie zdradzić ze swymi uczuciami. Wiedział, że gdyby cokolwiek dał po sobie poznać, natychmiast by ją spłoszył. Ale jego zachowanie wobec niej, jego sposób bycia był ukrytym ubieganiem się o jej miłość.

Wiedział, że serce Kasi jest wolne, i ta pewność napełniała go radosną nadzieją. Kiedy przeboleje wszystko, co ją spotkało, kiedy jej serce znów będzie zdolne do nowej miłości, wtedy nadejdzie właściwy czas dla niego. Jego gorąca miłość, pokonująca wszelkie przeszkody, na pewno skruszy jej serce!

Na razie Katarzyna czuła się swobodnie. Była po prostu miła, serdeczna i pełna ufności. A dążeniem jego było nie zawieść tego zaufania.

Podczas pracy w redakcji stosunki ich były rzeczowe, choć czasem wkładał się do nich ciepły, poufaly ton. Katarzyna siedziała w dużym jasnym pokoju tuż obok jego gabinetu, i Helmut, kiedy tylko chciał, mógł wejść do niej i cieszyć się radosną pilnością promieniejącą z jej twarzy. Wchodził też bardzo często. Spoglądał na nią ukradkiem, a ona bezwiednie przyciągała go swoim urokiem.

Katarzyna dopiero tutaj, w tym otoczeniu mogła odpowiednio ocenić energię i zapał, jakie cechowały osobowość Helmuta. Z imponującą pewnością siebie kierował wielką firmą. Obserwowanie jego poczynań było wielką przyjemnością.

— Onieśmiela mnie wprost rola, jaką tu pełnisz — rzekła do niego Katarzyna pewnego razu. — Nie miałam pojęcia, jak wielkie zadania stoją przed tobą. Jesteś władcą w tym niewielkim państwie. Powinnaś się do siebie zbliżać z nabożnym szacunkiem.

— Zlituj się, Kasiu! Co ty wygadujesz! Daj spokój z tym nabożnym szacunkiem. Powinnaś natomiast być dla mnie miła i dobra na cześć mojej tak zwanej wielkiej roli. Zewsząd doznaję szacunku i wprost nie wiem, co z nim począć. Ale nikt tak naprawdę serdecznie mnie nie lubi. Mogłabyś mi to wynagrodzić.

— To wcale nie będzie dla mnie takie trudne — rzekła Katarzyna z uśmiechem, odpowiadając żartem na jego żart.

Helmut wprowadził Kasię do domu państwa Sartoriusów. Szacowny starszy pan i jego dobroduszna, energiczna małżonka przyjęli serdecznie młodą kobietę. Tam też poznała Katarzyna panią Issen, córkę państwa Sartoriusów.

Z ciekawością spoglądała na ładną, jasnowłosą kobietę o żywych ciemnych oczach. A więc to do niej należało serce Helmuta, i chyba jeszcze nadal ją kocha?

Zerknęła w jego stronę. Czy odgadnie jej myśli?

Helmut oczywiście odgadł. Obserwował ją i starał się odczytać ich treść.

Pani Issen poprosiła Katarzynę i Helmuta, by częściej ją odwiedzali, o oni bardzo chętnie przyjęli to zaproszenie. W tym gościnnym domu Katarzyna poznała inną sferę towarzyską, inne obyczaje i ludzi całkiem innych niż dotychczas. Chłonęła wszystko, co rozszerzało jej horyzonty.

Kiedy wracała z Helmutem do domu, pieszo lub samochodem, zależnie od pogody, zawsze była dla niego szczególnie serdeczna i miła, jak gdyby chciała go pocieszyć w tym ukrytym cierpieniu. On wkrótce to wykrył i egoistycznie z tego korzystał. Im bardziej był milczący i poważny, tym serdeczniej Kasia tuliła się do jego ramienia i rozmawiała z nim pogodnie, aby go oderwać od ponurych myśli.

On zaś wcale nie wstydział się swej przebiegłości. Był niesłychanie szczęśliwy, kiedy starała się go pocieszyć.

Tak minęło kilka tygodni. Z Chemnitz Katarzyna nie miała żadnych wiadomości.

Aż pewnego dnia zameldował się w redakcji Adi Kertner. Katarzyna bardzo się ucieszyła.

— Czy pozwolisz, Helmut, że go tutaj przyjmę?

— Oczywiście. Czy mam zostawić was samych?

— Nie. Nie mamy żadnych tajemnic. Wszedł Kertner, elegancki, starannie ubrany. Katarzyna wyszła mu naprzeciw i uścisnęła rękę.

— Cieszę się, że znów pana widzę. Pocałował jej dłoń.

Katarzyna przedstawiła sobie obu mężczyzn.

— Szukałem pani w domu, łaskawa pani, i tam się dowiedziałem, że tutaj panią zastanę.

Poprosiła go, by usiadł.

— Tak, tu jest moje pole działania.

— Jak się wydaje, jest pani zadowolona. Bardzo się cieszę. Obawiałem się, że zastanę panią w całkiem innym stanie. Nie muszę pani zapewniać, że my wszyscy, którzy mieliśmy zaszczyt bliżej z panią obcować, myśleliśmy o pani z serdecznym współczuciem.

— Tak, wiedziałam o tym, że mam w was przyjaciół. I ta świadomość pozwoliła mi przetrwać wiele ciężkich chwil. A mój kuzyn, mój najwierniejszy przyjaciel, miał dla mnie najlepsze lekarstwo, pracę. Ale teraz wróćmy do pana. Wydaje mi się, że jest pan jakiś zmieniony. Wygląda pan... Nie umiem ująć tego w słowa.

Jego oczy straciły swój blask, były smutne.

— Zaraz wszystko pani zrozumie, kiedy powiem, co mnie sprowadziło do Berlina. Kiedyś pani opowiadałem o mojej Hannie, dziewczynie, którą kochałem i której rodzice zabronili wyjść za aktora. Umarła wczoraj na moich rękach.

Katarzyna przerażona ujęła jego dłoń.

— Drogi, biedny przyjacielu. Dlaczego tak się stało?

— Już od dawna była chorowita. Smutek nie dodaje zdrowia. Powaliło ją przeziębienie. Kiedy zdała sobie sprawę, że życie jej zbliża się do końca, wołała mnie. I w obliczu śmierci jej ojciec ustąpił. Zatelegrafował do mnie, żebym przyjechał. Wziąłem kilka dni urlopu i przyjechałem tu, gdzie mieszkała moja biedna Hanna. Darowano nam jeden cały dzień, pozostałem przy niej aż do końca. Jutro wracam i będę dalej rozśmieszał ludzi.

W jego słowach brzmiał bezgraniczny smutek i gorycz. Katarzyna, głęboko wzruszona, w milczeniu uścisnęła mu rękę. Kertner się opanował i starał się pokonać nastroj rozpacz.

— Ale nie przyszedłem tutaj, by przygnębiać panią swoim smutkiem, przecież wiem, że pani mi współczuje.

— Tak, oczywiście. I niech pan wobec mnie nie stara się ukrywać swego smutku. Rozumiem, co pan teraz czuje, ale niech pan nie będzie taki rozgoryczony, drogi przyjacielu! A skoro sprawa pana i pańskiej Hanny była i tak beznadziejna, niech pan jej teraz użyczy spokoju. Jest bliżej pana niż za życia.

— Sam sobie tak tłumaczę i powoli chyba to przeboleję. Ale rozumie pani, teraz, kiedy jedyne serce, które dla mnie biło, nagle bić przestało, jestem zupełnie sam, i to jest okropne uczucie. Gdybym choć miał tę dziecięcą wiarę w to, że się spotkamy po śmierci! Ale dość już o tym. Poza gorącym pragnieniem ponownego ujżenia pani i przekazania pozdrowień do Hartenberga i Bertholdów, sprowadza mnie do pani pewna misja. Jeśli wzbudzę tym w pani gorycz i smutek, proszę mnie za to nie winić. Wziąłem na siebie ową misję, bo sobie pomyślałem, że nikt nie jest tak pani oddany, jak ja.

— Wiem, drogi panie Kertner, i domyślam się, co pan chce mi powiedzieć. Chodzi chyba o... rozwód?

— Tak, istotnie. Wigand prosił mnie, bym panią odwiedził. Ponieważ okazała pani tyle wyrozumienia i wielkoduszności, ośmiela się prosić o zgodę na rozwód i pójdzie mu na rękę pod każdym względem.

Katarzyna przesunęła dłonią po czole.

— Proszę mu powiedzieć, że nie będę robiła żadnych trudności. Kertner spoglądał na swoje ręce, wyraźnie czuł się zmieszany.

— Zgoda na rozwód to nie wszystko. Ta sprawa nie jest taka prosta; małżeństwo łatwiej zawrzeć niż rozwiązać. Wigand dokładnie się poinformował. Sprawę o rozwód musiałaby wnieść pani i... musiałaby pani oskarżyć go o zdradę. On jest gotów wziąć całą winę na siebie.

Tylko prosi panią, by oszczędziła pani Helenę. Gdyby ona była współoskarżona, utrudniłoby to im zawarcie małżeństwa. Georg liczy na pani wielkoduszność. Ale należy wziąć pod uwagę wiele szczegółów... i byłoby mi ogromnie przykro omawiać to wszystko z panią. Gdyby zechciała pani upoważnić pana doktora Rodecka w tej sprawie... między mężczyznami byłoby to wszystko łatwiejsze. Katarzyna nieśmiało spojrzała na Helmuta.

— Czy mogę cię tym obarczać? — zapytała po cichu.

— Wiesz przecież, że możesz mną dowolnie dysponować. Pan Kertner ma rację, postaramy się możliwie w jak najmniejszym stopniu niepokoić cię tą sprawą.

— Serdecznie ci dziękuję. Helmut zwrócił się do Kertnera:

— Proszę przejść ze mną do mojego gabinetu.

Obaj panowie odbyli w gabinecie Helmuta długą konferencję.

Wreszcie, pożegnawszy się z Katarzyną, obaj pojechali do adwokata, by zasięgnąć jego rady i pomocy. Trzeba było poruszyć pewne sprawy, które bardzo by uraziły uczucia Katarzyny. Wreszcie znaleziono wyjście. Wigandowi można było zarzucić niejedno, i to dawało żonie prawo wniesienia sprawy o rozwód. A że gotów był wziąć winę na siebie, byle tylko rozwiązać małżeństwo, sprawa nie wyglądała beznadziejnie. Na wszelki wypadek Wigand zapoznał Kertnera z wszelkimi niezbędnymi szczegółami, ponieważ już wcześniej zasięgnął rady prawnika.

Kiedy panowie wyszli od adwokata, Helmut poprosił Kertnera, by spędził z nim wieczór. Prosił tak serdecznie i szczerze, że Kertner chętnie przyjął zaproszenie. Umówili się i pożegnali serdecznym uściskiem dłoni.

Wspólny wieczór jeszcze bardziej ich przybliżył, Katarzyna zaś była ogniwem łączącym obu mężczyzn. Kiedy Kertner pożegnał się z nimi, by wrócić nocnym pociągiem do domu, był już wmurowany kamień węgielny pod ich przyjaźń, która miała trwać przez całe życie.

Sprawa rozwodowa Katarzyny nastęrczała wiele trudności, przyniosła młodej kobiecie wiele przykrych, ciężkich chwil. Helmut wziął na siebie, co tylko się dało, ale nie mógł jej oszczędzić wszystkiego. Wreszcie po długim, pełnym udreń okresie sąd orzekł rozwód i Katarzyna była wolna.

Wigand wkrótce ożenił się z Heleną Hellmann, lecz pomimo „inspirującego wpływu” swej drugiej żony coraz bardziej się staczał.

Pani Berthold pisała Katarzynie w drastyczny sposób, bez ogródek, że Wigand coraz bardziej „chleje”, a jego „rozkoszna żona” ma z nim coraz więcej kłopotów. Mimo to czuje się ważną „panią Hellmann-Wigand” i ogromnie się szcyci swoim pięknym, eleganckim mieszkaniem.

Katarzyna przyjmowała to wszystko jedynie jako odgłosy dawno minionych czasów. Miała teraz bogate życie, które coraz bardziej splatało się z życiem Helmuta. Nie mogła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek mogłoby być inaczej. Była do niego całym sercem przywiązana. Sama tego nie spostrzegła, jak jej uczucie do niego stawało się z każdym dniem cieplejsze. Uczucie to nie było w żadnym stopniu podobne do egzaltowanej miłości, jaką obdarzała kiedyś Wiganda. Było to wciąż rosnące przywiązanie, wyrosłe z szacunku i bezgranicznego zaufania.

Helmut wciąż jeszcze potajemnie zabiegał o jej miłość. Ale jego niecierpliwość rosła z dnia na dzień.

Katarzyna spostrzegła, że coś go gnębi. Lecz jej dociekania obrały fałszywy kierunek. Sądziła, że powodem złego nastroju Helmuta jest pani Issen.

I niepostrzeżenie zbudziła się w niej chęć uleczenia go z tego beznadziejnego uczucia. Był doprawdy zbyt wiele wart, by całe życie poświęcać nie odwzajemnionej miłości.

Taki mężczyzna jak Helmut mógł zdobyć każdą kobietę. Kiedy Katarzyna doszła do tego wniosku, przeraziła się.

Co będzie, jeśli pewnego dnia Helmut się ożeni? Co stanie się z nią? Wystraszona podniosła wzrok znad swej pracy i spojrzała mu w twarz. On ją cały czas obserwował, oczy ich się spotkały i po raz pierwszy pod wpływem jego spojrzenia Kasia oblała się mocnym rumieńcem.

— Czy chciałaś czegoś ode mnie, Kasiu? Odwróciła od niego oczy.

— Nie, ja... ach, to była tylko taka głupia myśl.

— Chciałbym wiedzieć, jakie są twoje głupie myśli — rzekł z zadumą. Katarzyna zaśmiała się trochę zmieszana.

— Właśnie sobie wyobrażałam, jak to będzie, kiedy pewnego dnia się ożenisz.

— I ta myśl tak wytrąciła cię z równowagi? — zapytał dziwnym, przytłumionym głosem.

Nie oderwała wzroku od swej pracy.

— Człowiek jest strasznym egoistą. Co stanie się ze mną, kiedy się ożenisz?

— Przecież ty także jesteś jeszcze młoda, Kasiu. Masz przed sobą całe życie. Jeśli znów wyjdiesz za mąż, co wówczas stanie się ze mną?

Katarzyna głęboko westchnęła.

— Nie, ja już nigdy nie wyjdę za mąż. Najchętniej pozostałabym na zawsze przy tobie — rzekła cicho.

Helmut wstał i podszedł do okna. Czuł, że wkrótce nadejdzie jego czas. Tylko jeszcze trochę cierpliwości!

Rozdział siedemnasty

Mniej więcej dwa tygodnie po tej rozmowie Helmut wszedł pewnego dnia do pokoju, gdzie pracowała Katarzyna; na ramieniu miał przewieszony płaszcz.

— Kasiu, miałem pecha. Proszę, przyszyj mi guzik do płaszcza. Katarzyna z miejsca zabrała się do roboty.

Helmut jej się przyglądał.

— Życie samotnego mężczyzny to coś żalospnego. Chyba będę musiał rozejrzeć się za żoną — rzekł na pozór bardzo poważnie.

Katarzyna się przeraziła, aż ukłuła się w palec. Poczwała nagle silny ból w sercu, do oczu napłynęły jej łzy. Ale pilnie szyła dalej. Nagle na robotę spadła łza. Helmut to zauważył i ujął mocno jej dłoń.

— Kasiu!

Jeszcze bardziej się przeraziła. Jego głos był zmieniony, inaczej niż zwykle wypowiedział też jej imię.

— Co? — zapytała cicho, ale nie mogła powstrzymać płynących z oczu łez.

— Kasiu, spójrz na mnie!

Wyjęła chusteczkę i szybko otarła łzy.

— Co za głupota, te łzy, ukłułam się w palec... — usiłowała ratować sytuację.

Helmut spojrzał na jej palec. Była na nim kropelka krwi. Delikatnie pocałował to miejsce.

— Biedny paluszek. Czy bardzo boli? Wtedy łzy trysnęły całym potokiem.

— Ależ, Kasiu, przecież nie płacze się z powodu takiej drobnostki! Coś jest w tym podejrzanego. Powiedz szczerze, czy mam sobie szukać żony, czy nie?

— Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo — rzekła pośpiesznie. Energicznie otarła łzy, przyszyła guzik i usiadła przy biurku. Helmut wolno chodził po pokoju, nie spuszczać z niej wzroku.

Widział, że w jej wnętrzu wszystko płonie. Jej piękna twarz miała teraz szczególny, bolesny wyraz.

Kasia wsłuchiwała się w siebie.

„Co się z tobą dzieje? Dlaczego tak cię zabolalo, że on chce się ożenić? Czy nie życzysz mu szczęścia? Ależ tak, życzę mu całego szczęścia świata! Ale nie z inną kobietą. Kasiu, ty chyba nie... Tak, tak, tak jednak jest, kochasz go nie jak brata i przyjaciela. Nie, zupełnie inaczej, o wiele goręcej, czulej. Ale opanuj się! Nie daj nic po sobie poznać! Wyśmiałyby cię... albo by się przestraszył. Ale dlaczego jest taki dziwny, taki łagodny, czuły, dlaczego?...”

Nie doszła dalej w swych myślach. Helmut nagle podszedł do niej i wyjął jej pióro z ręki.

— Co ty tam rysujesz, jakieś tajemnicze esy-floresy? — zapytał niepewnym głosem.

Katarzyna przestraszona spojrzała na leżący przed nią arkusz. Był pokryty niewyraźnymi zawijasami.

— O Boże! — westchnęła zaniepokojona. Objął ją ramieniem.

— Musisz mi to przetłumaczyć, kochana, mała Kasiu — szepnął jej czule do ucha.

Katarzyna siedziała milcząca, drżała jak schwytyany ptak. Nie miała odwagi się poruszyć, w jego ramionach ogarnęło ją niewypowiedziane rozkoszne uczucie.

— No więc, Kasiu, co znaczą te gryzmoły na papierze?

— Ja... ja nie wiem, wiesz... mój palec...

Wtedy Helmut zaśmiał się cicho, a ten śmiech ukoił jej serce.

— Więc ja ci to odczytam. Uważaj, czy się zgadza. Napisałaś: „Drogi Helmutcie, nie szukaj sobie żony, to by mnie ogromnie zabolalo! Bo muszę ci powiedzieć, że cię kocham, tak bardzo kocham, że najchętniej sama zostałabym twoją żoną”.

Umilkł. Katarzyna się nie poruszyła. Wówczas odwrócił do siebie jej głowę i spojrzał w oczy. Spojrzenia obojga pełne były miłości i czułości. Przyciągnął ją do siebie.

— Najdroższa Kasiu, kocham cię, tak bezgranicznie cię kocham. Czy chcesz zostać moją żoną?

Patrzyła na niego jak urzeczona.

— A tamta, którą kochasz? Którą kochasz już od dawna... pani Issen... to ona, prawda?

— Nie, Kasiu, ta inna to ty, tylko ty. Kocham cię, odkąd ujrzałem cię po długiej nieobecności. Ale wtedy ty kochałaś innego, więc ukryłem przed tobą tę miłość i skierowałem cię na fałszywy trop. Nie chciałem zakłócać twego spokoju. A kiedy do mnie przyszałaś, nie wyprowadzałem cię z błędu moim zachowaniem, by cię nie spłoszyć. Ale przychodziło mi to z wielkim trudem, kochanie. Musisz mnie mocno pokochać, by wynagrodzić mi tę całą mękę. Powiedz szybko, że zostaniesz moją żoną.

Katarzyna wciąż jeszcze się w niego wpatrywała.

— Ale jeśli zostanę twoją żoną, czy znów nie doznam zawodu? Może lepiej pozostawmy sprawę tak, jak dotąd.

Przytulił ją mocno do siebie.

— Kasiu, jak możesz tak myśleć? Nie zdajesz sobie sprawy, ile opanowania wymagał ode mnie ten długi okres! Pragnę cię mieć jako ukochaną żonę, słyszysz, pragnę tego gorąco, bo ty mnie kochasz, a ja ciebie. Nie obawiam się rozczarowania. Zbyt dobrze się znamy i mieliśmy dość czasu, by się sprawdzić. Zaufaj mi, kochanie!

Wówczas Katarzyna ujęła jego głowę i pocałowała go nieśmiało. On radośnie przytulił ją do siebie i całował ze wszystkich sił. Nie broniła się, tylko się dziwiła, że jest tak niewypowiedzianie szczęśliwa. Myślała, że do jej serca nigdy już nie zawita nowa wiosna, nowa miłość.

Helmut przekonał ją, że się myliła. Prawdziwej miłości doznała dopiero teraz. I całą czułością serca przylgnęła do niego. Znalazła teraz własne miejsce na ziemi.

Postanowili wziąć cichy ślub w jak najkrótszym czasie. Helmut targował się o każdy dzień.

Początkowo, po zaręczynach, Katarzyna chciała zatrzymać swoją pracę sekretarki. Ale nic z tego nie wyszło. Helmut wciąż kręcił się koło niej, całował ją i był taki niepohamowany w okazywaniu swej miłości, że Katarzyna nie mogła go poskromić. Tak więc praca na tym cierpiała i Helmut miał coraz większe zaległości.

Wówczas Katarzyna ze śmiechem wymówiła pracę. Helmut prosił, błagał na wszystkie świętości, żeby została do czasu, aż się pobiorą, inaczej on tego nie wytrzyma. Przyrzekał, że potem wszystko nadrobi. I Katarzyna nie miała siły mu się oprzeć.

Została jego szczęśliwą żoną. Żyli oboje w pełnej harmonii.

Helmut zawiadomił ojca o swoim ślubie z Katarzyną.

Odpowiedź, jaka nadeszła, brzmiała: „Od dawna zrezygnowałem ze zrozumienia Ciebie i Katarzyny. W głowie mi się nie mieści, że rozwiązuje się jedno małżeństwo i zawiera drugie. Jesteście bardzo lekkomyślni; zawsze zresztą tacy byliście. Mimo to życzę Wam, abyście nie żalowali tego kroku”.

Katarzyna i Helmut razem czytali ten list.

— Widzisz, ty lekkomyślny chłopcze?! — rzekła Kasia.

— Ciebie też wspomniał, lekkomyślna dziewczyno! Pocałował ją czule.

— Co ludzie mogą wiedzieć o naszym szczęściu, moja najdroższa! Mamy podobne usposobienia i świetnie się rozumiemy. Nie boję się przyszłości.

Spleceni mocnym uściskiem spoglądali na siebie z miłością i ufnością.